

SABINE DURRANT

SKŁAM  
ZE  
MINA

ZYSKI-SKA  
WYDAWNICTWO

SABINE DURRANT

SKŁAM  
ZE  
MNA

Przełożył  
Jacek Spólny

---

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

---

Francesce

## Sierpień 2015

W nocy przyszło mi na myśl, że może wszystko zaczęło się wcześniej. Usiadłem przerażony i w ciemności wydrapałem paznokciem na wewnętrznej stronie przedramienia słowo KSIĘGARNIA. Teraz już nie ma po nim śladu: skóra w tym miejscu jest rozpalona od ukąszenia owada, które dodatkowo musiałem rozdrapać we śnie. Na szczęście pomogło pisanie, jak zwykle. Dzisiaj pamiętam to całkiem dobrze.

Hudson & Co: antykwariat przy Charing Cross Road. Zakładam, że zaczęło się tam — że nic z tego by się nie zdarzyło, gdyby mojej uwagi nie zwróciły rude włosy głupawej sprzedawczyni. Ale może się mylę? Czy odpowiednie moce działały już wiele tygodni i miesięcy wcześniej? Czy trop trucizny prowadził na studia, długo przed zniknięciem tej cholernej dziewczyny? Lub jeszcze dalej wstecz — do szkoły, dzieciństwa, do owej chwili w 1973 roku, gdy sinofioletowy od wrzasku wynurzyłem się na ten bezlitosny świat?

Chyba zadaję teraz pytanie, w jakim stopniu jesteśmy współautorami własnego zniszczenia. Jaka część tego koszmaru jest moją winą? Można narzekać i nienawidzić. Wierząc na znak protestu. Robić głupie rzeczy w przypiływie rozpacz, ale może czasami trzeba jednak podnieść rękę i się przyznać.

## PRZEDTEM

### Rozdział 1

Był deszczowy dzień, jedno z tych dżdżystych londyńskich popołudni, kiedy niebo, chodnik i zasnutę mżawką budynki zlewają się w szarą bezkształtną masę. Już dawno nie widziałem takiej pogody.

Skończyłem właśnie lunch z moim najstarszym przyjacielem, Michaeliem Steele'em, w winiarni Porter's w przejściu podziemnym przy Charing Cross, do której zachodziliśmy, odkąd w wieku szesnastu lat odkryliśmy dyskrecję jej lokalizacji i właściciela. Rzecz jasna teraz o wiele bardziej wolelibyśmy spotkać się w jakimś mniej mrocznym i wilgotnym miejscu (*par -exemple* w pewnym szykownym bistro na St Martin's Lane, którego specjalnością były wina znad Loary), lecz nostalgia potrafi być tyranem. Żaden z nas nie śmiałyby nawet napomknąć o takiej możliwości.

Z reguły wychodziłem ze spotkań z Michaeliem napuszony jak paw, z rozpierającym krocze poczuciem wyższości. Miotający się między wymaganiami żony, synów bliźniaków i praktyki adwokackiej w Bromley, słuchał opowieści o moich tarapatach — nocne pijaństwa w Soho, młode dziewczyny — z zawiścią w oczach.

— A ta ile ma lat? — pytał, rozcinając jajko po szkocku. — Dwadzieścia cztery? Rany boskie.

Nie czytał książek i w swojej połączonej z niewiedzą lojalności ciągle uważał mnie za literackiego geniusza. Nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy, że napisana dwadzieścia lat temu książka, która zdobyła niejaki rozgłos, może nie wystarczyć do podtrzymywania w nieskończoność marki dobrego prozaika. Jawiłem mu się jako gwiazda „literackiego Londynu” (jak to ujmował) i gdy płacił rachunek — na co można było jak zwykle liczyć — miało się wrażenie, że robi to nie w odruchu miłosierdzia, lecz na znak hołdu. Jeżeli zachowanie status quo wymagało od nas obydwu odrobiny ściemy, nie była to wygórowana cena. Jestem pewien, że mnóstwo przyjaźni zbudowano na kłamstwach.

Jednak tym razem wyszedłem na ulicę ze spuszczoną głową. Szczerze mówiąc, chociaż nikomu tego nie zdradziłem, miałem ostatnio pod górkę. Moja najnowsza powieść została właśnie odrzucona, a Polly, wspomniana dwudziestoczworoletka, odeszła do jakiegoś nieopierzonego blogera politycznego czy kogoś podobnego. Co najgorsze, dosłownie tego samego dnia rano dowiedziałem się, że czeka mnie eksmisja z darmowego mieszkania w Bloomsbury, które przez sześć ostatnich lat nazywałem domem. Mówiąc krótko, byłem bez grosza, miałem czterdzieści dwa lata, a przed sobą upokarzającą perspektywę zamieszkania z matką w East Sheen.

W dodatku, jak już wspomniałem, padał deszcz.

Wlokłem się William IV Street w stronę Trafalgar Square, uchylając głowę przed parasolami. Przy poczcie zagroziła mi drogę jakaś grupa zagranicznych studentów z plecakami i w odblaskowych trampkach i zostałem zepchnięty z krawężnika. Jeden but wylądował w kałuży; przejeżdżająca taksówka obryzgała mi nogawkę sztruksów. Przeklinając i sadząc susy, pokonałem jezdnię, klucząc między czekającymi

samochodami, skręciłem w St Martin's Lane, przeciąłem Cecil Court i znalazłem się na Charing Cross Road. Świat zatrzęsł się w posadach — ruch, prace budowlane, szcęk rusztowań, dantejskie sceny przy budowie linii Crossrail. Deszcz nie przestawał lać się z nieba, ale dobrnąłem już za stację metra, gdy sznur nadciągających turystów znowu zmusił mnie do zboczenia z kursu i przycisnął do witryny sklepu.

Tkwiłem tak, przywierając do szyby, dopóki nie przeczłapali, i wtedy zapaliłem papierosa. Stałem przed Hudson & Co, antykwariatem specjalizującym się w fotografii i filmie. W głębi mieli niewielki dział literacki, skąd, o ile dobrze pamiętałem, zwędziłem kiedyś wczesne wydanie *Jima szczęściarza*. (Nie pierwsze, ale pomarańczowego Penguina z 1961 roku z rysunkiem Nicolasa Bentleya na okładce — fajne).

Zajrzałem do środka. Księgarnia była pełna kurzu, sprawiała wrażenie miejsca pamiętającego lepsze czasy — na wyższych półkach panowała przygnębiająca pustka.

I wtedy zobaczyłem dziewczynę.

Gapiała się w okno, żując kosmyk długich rudych włosów, a rysy miała ociążałe od nudy tak zmysłowej, że opuszkom mych palców udzielił się jej dreszcz.

Oderwałem zapalony koniuszek papierosa, wsunąłem resztę do kieszeni płaszcza i otworzyłem drzwi.

Nie jestem brzydki (a wcześniej, przed tym wszystkim, było jeszcze lepiej), twarze takie jak moja — zmarszczki wokół niebieskich oczu, mocne kości policzkowe, pełne usta — kobiety podobno uwielbiają. Dbałem o wygląd, chociaż chciałem osiągnąć efekt, jakby mi nie zależało. Czasami przy goleniu zwracałem uwagę na długość palców na tle wyrzeźbionej symetrii szczęki, na regularność zarostu i lekko haczykowaty, rzymski nos. Uważałem, że zainteresowanie życiem duchowym nie uzasadnia lekceważenia ciała. Klatkę piersiową mam szeroką; do dzisiaj staram się zachować jej twardość — ćwiczenia, których nauczyłem się w Pulsie Mocy, klubie fitness w Bloomsbury, w czasie darmowego miesiąca, ciągle się przydają. Wiem też, jak wykorzystać swój wygląd: nieśmiały, bojaźliwy uśmiech, oszczędny kontakt wzrokowy, odruchowe masowanie szopy blond włosów, jakby w zamyśleniu.

Dziewczyna nie zwróciła na moje wejście większej uwagi. Miała na sobie długi geometryczny top, legginsy i grube trapezy; trzy ćwieki wewnątrz jednego ucha, mocny makijaż. Niewielki tatuaż w kształcie ptaka na boku szyi.

Schyliłem głowę, potrząsając szybko włosami.

— No, kurde — odezwałem się niby-cockneyem. — Leje jak z cebra.

Lekko się zakołysała, wsparła na piętach i opadła na metalowy stołek, wypuszczając z ust kosmyk rubinowych włosów. Rzuciła okiem w moją stronę.

Podniosłem głos:

— Naturalnie Ruskin twierdził, że nie ma czegoś takiego jak zła pogoda, są tylko różne rodzaje dobrej.

Nadęte usta poruszyły się nieznacznie, jak gdyby zamierzały ułożyć się w coś na kształt uśmiechu.

Postawiłem przemoczony kołnierz płaszcza.

— Tylko trzeba by to powiedzieć mojemu krawcowi!

Uśmiech zbladł, nie zmaterializował się. Krawcowi? Skąd miała wiedzieć, że aluzja

do płaszcza, znalezione go za grosze w sklepie Oxfamu w Camden Town, jest ironiczna?

Postąpiłem krok bliżej. Na stoliku przed nią stał kubek ze Starbucksa z wypisanym czarnym flamastrem imieniem „Josie”.

— Josie, co? — zapytałem.

— Nie — rzuciła prosto z mostu. — Takie imię podałam barości. Za każdym razem przedstawiam się inaczej. Czym mogę służyć? Szuka pan czegoś konkretnego? — Zlustrowała mnie wzrokiem, rejestrując chłonny tweed, sztruksy, przeciekające brogry, słowem żalostnego faceta w średnim wieku, który to wszystko nosił.

Komórka na ladzie zadrżała i co prawda dziewczyna jej nie odebrała, ale przeniosła na nią wzrok i wolną ręką odsunęła od kubka, żeby zobaczyć ekran — w geście lekceważenia.

Urażony wyniosłem się w głąb sklepu, gdzie kucnąłem i udałem, że przeglądam książki na najniższej półce (dwie za pięć funtów). Być może dopiero co skończyła szkołę i była zbyt nieopierzona, by należeć do mojego fanklubu. Ale i tak... co za bezczelność. Kurwa.

Z tego poziomu czuło się zapach wilgotnego papieru i potu; plamy pozostawione przez innych ludzi, inne palce. W dodatku przenikliwy chłód. Gdy omiatałem wzrokiem rządki pożółkłych wydań kieszonkowych, przypomniały mi się urywki ostatniego maila od wydawcy: „Zbyt eksperymentalna (...). Nie pasuje do współczesnego rynku (...). Może napisałby Pan powieść, w której coś się po prostu zdarza?”. Wstałem. Do dupy z tym. Wyjdę z całą godnością, na jaką mnie stać, i wpadnę do London Library albo — rzut oka na zegarek — do Groucho. Dochodziła trzecia. Może trafi się ktoś, kto postawi mi drinka.

Potem często próbowałem sobie przypomnieć, czy drzwi zabrzęczały, czy były to drzwi, które wydają takie dźwięki. Gdy wchodziłem, księgarnia wydawała się pusta, ale jej układ pozwalał na schowanie się i zaczajenie, co zresztą sam teraz robiłem. Czy był już w środku, gdy wchodziłem? Czy też nie? Czy zapamiętałem zapach kosmetyków West Indian Limes? Mam wrażenie, że to istotne. Ale może się mylę. Być może to tylko mój umysł stara się znaleźć wyjaśnienie dla czegoś, co mogło być oczywiście czystym przypadkiem.

— Paul! Paul Morris!

Stał po drugiej stronie regału, widać było jedynie głowę. Szybko podsumowałem cechy fizyczne: blisko osadzone oczy, powiększająca się łysina, która nadawała twarzy kształt niedorzecznie małego serca, słabo zarysowana linia podbródka. Skojarzyłem go dzięki dużej szparze między przednimi zębami. Anthony Hopkins, rówieśnik z Cambridge — historyk, o ile się nie myliłem. Natknąłem się na niego kilka lat temu podczas wakacji w Grecji. Miałem nieprzyjemne uczucie, że tamto spotkanie nie wypadło dla mnie korzystnie.

— Anthony? — odezwałem się. — Anthony Hopkins!

Na jego czole pojawiła się zmarszczka rozdrażnienia.

— Andrew.

— Andrew, no jasne. Andrew Hopkins. Przepraszam. — Puknąłem się w głowę. — Miło cię widzieć.

Gorączkowo usiłowałem przypomnieć sobie coś więcej. Pływaliśmy wycieczkowcem dookoła wyspy z Saffron, imprezowiczką, z którą wtedy chodziłem, i kilkoma jej znajomkami. Gdy wyszliśmy na ląd, zgubiłem ich. Lał się alkohol. Czy Andrew pożyczał mi pieniądze? Stał teraz przede mną w prążkowanym garniturze, wyciągając rękę, którą uściśnałem.

— Sznat czasu — stwierdziłem.

Zaśmiał się.

— Fakt, od Pyros. — Przez ramię miał przerzucony płaszcz, na którym błyszczały krople deszczu. Sprzedawczyni patrzyła w naszą stronę, podsłuchując. — Co u ciebie? Cały czas piszesz? Widziałem twoje nazwisko w „Evening Standard” — recenzje książek, tak? Strasznie podobała nam się tamta twoja powieść. Moja siostra tak się cieszyła, kiedy wyszła.

— A, dziękuję. — Ukłoniłem się. Jego siostra, jasne. Kręciłem z nią trochę w Cambridge. — Chodzi ci o *Notatki z życia*. — Powiedziałem to najgłośniej, jak się tylko dało, żeby smarkata zdała sobie sprawę, jaką okazję przepuściła. — Tak, całkiem sporo ludzi dobrze się o niej wyrażało. Zdaje się, że była na czasie. Nawet autor recenzji w „New York Timesie” pisał...

Przerwał mi.

— A co nowego?

Dziewczyna włączała farelkę. Kiedy się nachyliła, przesunąłem się w bok, by lepiej widzieć miękka krzywiznę jej piersi w różowym staniku, które odsłoniły się pod jedwabnym topem.

— Jakoś leci. — Nie miałem zamiaru wspominać klapy kontynuacji *Notatek* i kiepskiej sprzedaży kolejnych książek.

— No tak, artyści. U was zawsze dzieje się coś ciekawego. Nie to, co u nas, nudnych prawników.

Dziewczyna wróciła na stołek. Od strumienia ciepłego powietrza na gładkiej bluzce tworzyły się zmarszczki i falbanki. Andrew nie zamykały się usta. Pracował w kancelarii Linklaters, opowiadał, ale już jako partner.

— Coraz dłuższe dniówki. Pod telefonem dwadzieścia cztery godziny na dobę. — Opadły mu ramiona — gest rezygnacji skrywającej entuzjazm.

Ale co na to poradzić? Dzieci w prywatnej szkole, bla, bla, dwa samochody, „kosmiczny” kredyt. Parę razy wtrąciłem: „O kurczę, no tak”. Nie męczył się. Udowadniał, jakie odnosi sukcesy, chwając się żoną, udając przy tym, że robi coś wręcz przeciwnego. Tina rzuciła City, „biedactwo się wypaliło”, i otworzyła małą firmkę w Dulwich Village, to znaczy niszowy sklep z przędzą. Co okazało się zaskakująco dobrym pomysłem.

— Kto by pomyślał, że na wełnie można tyle zarobić? — Wybuchnął podobnym do czkawki śmiechem.

Nudził mnie, a na dodatek drażnił.

— Ja na pewno nie — oświadczyłem śmiało.

Z roztargnieniem wziął z półki książkę, *Hitchcocka* François Truffauta.

— Ustatkowałeś się? — zapytał, uderzając książką o dłoń.



Potrząsnąłem głową. Czy się ustatkowałem? Znów przypomniała mi się jego siostra — też ze szparą między zębami. Krótka fryzura pixie, młodsza od niego. Zapytałbym o nią, gdybym pamiętał, jak ma na imię. Lottie? Lettie? Na pewno mało lotna. I przytulińska. Spaliśmy ze sobą?

Nagle poczułem atak klaustrofobicznego gorąca: chęć wydostania się na zewnątrz.

Hopkins powiedział coś, czego nie dosłyszałem, choć w głowie utkwiło mi wyrażenie „domowe żarcie”. Żartobliwie poklepał mnie *Hitchcockiem* w przedramię, jak gdyby coś, co zaszło w ciągu ostatnich dwudziestu lat, a może tylko dwóch minut, dało mu prawo do takiej kumpelskiej poufałości. Wyjął telefon. Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że czeka na mój numer.

Spojrzałem w kierunku drzwi, za którymi wciąż padał deszcz. Rudowłosa kusicielka coś czytała. Zapуściłem żurawia, by odcyfrować nazwisko autora. Nabokov. Pretensjonalne bzdety. Naszła mnie wielka ochota, żeby wyrwać jej książkę, złapać garść włosów i przycisnąć kciuk do tatuażu na szyi. Dać nauczkę.

Z uśmiechem odwróciłem się do Hopkinsa i dałem mu, czego chciał. Zapewnił, że zadzwoni, a ja pomyślałem, że trzeba o tym pamiętać i nie odbierać.

## Rozdział 2

Dwa tygodnie później, we wtorkowe popołudnie pod koniec lutego, odezwał się znowu. Mieszkałem jeszcze — powiedzmy — w Bloomsbury. Układ był taki: Alex Young, właściciel, skrzypek w Filharmonii Nowojorskiej, pozwolił mi tam mieszkać pod warunkiem, że będę karmił kota. Musiałem wynosić się tylko na czas, gdy pokazywał się w Londynie z chłopakiem. Lamb's Conduit Street, z lokalami z organiczną kawą i szykownymi, „staromodnymi” sklepami z odzieżą dla dżentelmenów, była moim duchowym domem. Mieszkanie na najwyższym piętrze wysokiego budynku w stylu georgiańskim — bez żadnego mojego drobiazgu, za to wypełnione jego rzeczami (obrazy i biała pościel, meble z połowy stulecia, włoska kawiarka) — przedstawiało światu obraz człowieka, którym chciałem być. Ale układ dobiegał końca, a ja wolałem o tym nie myśleć.

Gdy zadzwonił telefon, siedziałem w fotelu z wytartego pluszu i czytałem „London Review of Books”, rozkoszując się chwilą zimowego słońca. Jego promienie wpadały przez wysokie okno, a cień kwadratowych ramek tworzył na tureckim chodniku deseń jak z gry w klasy. Na stole obok mnie stały filiżanka kawy i kanapka z serem; dojadłem końcówkę chleba. Persefona, którą polubiłem, leżała mi na kolanach zwinięta w kłębek jak pasek futra z norek.

Nie rozpoznałem numeru, ale nie zachowałem czujności. W pubie wczoraj wieczorem poznałem młodą dziewczynę po studiach, Katie, która próbowała zaistnieć jako dziennikarka. Wypisałem jej swoje namiary na dłoni, mówiąc, że może się skontaktować, jeśli będzie potrzebować rady. Odbierając, już wyobrażałem sobie to spotkanie („u mnie chyba najlepiej”), jej zadyszana uległość, butelkę wina, wdzięczność, opadnięcie na łóżko.

— Paul Morris — burknąłem z szorstkością zabieganego profesjonalisty.

— O! Nareszcie cię złapałem.

Nie Katie. Męski głos, którego nie poznałem od razu. Jakiś biuralista z jednego z literackich organów, które czasem korzystały z moich usług? Dominic Bellow, inna ćma barowa z Soho, redaktor czasopisma „Stanza”, podrzucił mi ostatnio do recenzowania nowego Willa Selfa i było już po terminie. (Na tym polega kłopot z nierobami: nawet to, co mają do zrobienia, rzadko zostaje zrobione).

— No — wybąkałem. Za późno na udawanie, że pomylił numer. Przyznałem się, kim jestem.

— Cześć. Dzwonię, aby znieść cię na pustkowia Dulwich.

— Dulwich?

— Tina strasznie chce cię poznać.

— Tina?

— Głupi jestem, że nie uważam, przecież wiem, jaki jesteś przy kobietach. Nigdy nie wybaczyłem ci Florrie. — Zaśmiał się na głos.

Florrie. Jasne. Nie Lottie. Florrie Hopkins, siostra Anthony'ego Hopkinsa. Andrew. Czy jak mu tam na imię. Przypomniałem sobie, jak w księgarni wypowiadał słowo „proces” — rozciągnięte na boki usta, zgrzyt zębów.

— Super — odpowiedziałem, myśląc sobie „cholera”. — Doskonale.

— Może w ten weekend? W sobotę? Wdzięczny klient przysłał mi właśnie skrzynkę niezłego wina — byłoby głupio nie podzielić się z przyjaciółmi. Châteauneuf-du-Pape rocznik 2009. Tina ma zamiar zrobić swoją popisową, duszoną na wolnym ogniu baraninę. Po marokańsku.

Nie jestem z siebie dumny. Gdy żyje się samemu z dnia na dzień, człowiek kalkuluje: koszt i niewygodę związane z wyprawą na pustkowia południowo-wschodniego Londynu w zestawieniu z ewentualnymi korzyściami. Dobre jedzenie, kieliszek porządnego francuskiego wina są nie do pogardzenia. Warto też pamiętać o znajomościach. Niedługo zostanę bez dachu nad głową, a nigdy nie wiadomo, kto się może przydać. Poza tym: jak bardzo jest bogaty? Myślałem o kroju garnituru, tak zgrabnie dopasowanego do ramion, miękkości dłoni, gdy ścis-kał moją. Moja motywacja nie była sympatyczna, ale chętnie zobaczę jego dom.

Kanapka ze zwijającym się serem Mother's Pride groźnie się na mnie gapiła.

— Sobota — powtórzyłem. — Zaraz... W przyszłym tygodniu jestem w Nowym Jorku, ale sobota jest w porządku. Dam radę.

— Fantastycznie. — Podał mi namiary i rozłączyliśmy się.

Siedziałem jeszcze jakiś czas w fotelu, głaskając kota.

Dom mieścił się na szerokiej, wysadzonej drzewami ulicy w odległym zakątku Dulwich, dobre dziesięć minut od najbliższej stacji, Herne Hill, na tej samej linii z Victorii co chata Michaela w Beckenham, gdzie często jeździłem na niedzielny obiad. Zupełnie inny rodzaj *banlieue*; mniej zestresowany i zagoniony. Mieszkał tu mój fatalny agent, i to się zgadzało. Drogi szerokie i okazałe. Nawet drzewa wyglądały na zadowolone z siebie.

Andrew mieszkał w dużej willi w stylu późnowiktoriańskim, ze szczytami i łukiem podjazdu, gdzie pod niezręcznymi kątami stały trzy samochody. Większość frontowej elewacji zarósł bluszcz, w zgięciu rynny tkwiło porzucone ptasie gniazdo. -Listwy żaluzji w wykuszu od przodu były uniesione, a między nimi widać było blask światła, przesuwane kształty, migotanie ognia.

Przystanąłem za żywoplotem i usiłowałem zapalić papierosa. Wiał porywisty wiatr i udało się dopiero po kilku zapałkach. Pod pachą niosłem butelkę wina kupioną w sklepie przy stacji. Chilijskie sauvignon blanc: 4,99 funta. Niebieska bibuła opakowania zaczynała rozpadać się od wilgoci.

Powoli przejechał duży samochód, oszczędzając zawieszenie na garbach. Trzech nastolatków szło spacerowym krokiem po drugiej stronie ulicy, taszcząc instrumenty. Zatrzymali się pod latarnią i zagapili na mnie; jeden coś szepnął, inni się roześmiali. W takiej dzielnicy samotny mężczyzna bez rodziny, psa, volvo z napędem na cztery koła albo... wiolonczeli zwracał uwagę. Odwróciłem się z powrotem do ligustrowego żywoplotu. Między gałązki na wysokości mojego wzroku zaplątała się jakaś srebrna błyskotka. Z papierosem dyndającym z ust wyciągnąłem bombkę choinkową — czerwoną, ozdobioną płatkami śniegu powleczonym białą szadzią. Wsunąłem ją do kieszeni płaszcza. Potem ostatni raz głęboko się zaciągnąłem, rzuciłem papierosa na ziemię i zdeptałem go.

Aż dziwnie pomyśleć, że w tamtej chwili mogłem jeszcze odejść, zawrócić

z bombką na stację, a pet byłby jedynym śladem, że tam byłem.

\*

Z początku myślałem, że pomyliłem domy. Drzwi otworzyła kobieta o piwnych oczach, szerokiej, przyjaznej twarzy i gęstych kędziorach, nad którymi usiłowała zapanować za pomocą zielonego szalika z jedwabiu; tak artystyczny styl z pewnością nie należy do żony Andrew. Rozłożyłem ręce, w jednej wymachując winem: oto jestem.

Przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem, by powiedzieć:

— Na pewno jesteś Paul Morris. Czekaliśmy na ciebie. Wejdz, proszę. Jestem Tina.

Podaliśmy jej wolną rękę, którą ujęła, wciągając mnie do holu, gdzie duży szklany żyrandol strzelał odłamkami światła: okruchy w kształcie rombów na podłodze i ścianach. Ciemne balustrady wspinały się łukami na otwarte schody. Zdjąłem tweedowy płaszcz, który powiesiła w dużej francuskiej szafie. Czułem się bezbronny, mięśnie klatki piersiowej stężały, gdy otwierała drzwi do salonu, gdzie odwróciła się w moją stronę grupa nieznanym, stojących przy fortepianie. Pełganie ognia. Zbyt słodki zapach palących się świec. Na każdej wolnej powierzchni w wymyślnych ramach zdjęcia dzieci w kostiumach kąpielowych i kombinezonach narciarskich.

Poruszyło się we mnie wspomnienie, osad na dnie studni. Wyjście do herbaciarni z chłopakiem ze szkoły. Garnitur, w który wbiła mnie matka; wymiana spojrzeń między matką chłopaka a jej synem. Z trudem przełknąłem ślinę.

Andrew ruszył w moją stronę.

— Mój drogi, tak się cieszę, że wyrobiłeś się do nas przed wyjazdem do Nowego Jorku.

— Nowego Jorku? — powtórzyłem. — A tak, w sprawach zawodowych. Mgnienie oka. Zanim się zorientuję, gdzie jestem, już trzeba będzie wracać.

Andrew wziął butelkę wina, nie spuszczając ze mnie wzroku, trzymając Isla Negra za pięć funtów za szyjkę, z denkiem w zgiętym łokciu, jak prawdziwy sommelier. Na jego karku widać było drobne wypryski po goleniu.

— Chodź, poznasz wszystkich!

Włożyłem najlepszy garnitur, bez krawatu, i białą koszulę z rozpiętymi trzema górnymi guzikami. Przesadziłem. Każdy nosił tu dżinsy, mężczyźni koszulki polo, kobiety topy w kwiatowe wzory. Zacerpnałem głęboko tchu, poprawiłem mankiety i przywołałem na usta uśmiech z gatunku tych, które kobiety uwielbiały.

— To Paul, stary znajomy ze studiów, o którym wam opowiadałem. — Andrew zaprowadził mnie do fortepianu i zaczął wymieniać imiona: Rupert i Tom, Susie i Izzy — smuga podbródków, szpiczastych nosów i chudych nóg, kaszmiru i dyndających kolczyków. — A, i jeszcze Boo — dodał imię niskiej, pulchnej kobiety, o której prawie zapomniał.

Wcisnęto mi do ręki zimny kieliszek szampana i znalazłem się w centrum zainteresowania. Czułem, jak niepokój opada — umiem odnaleźć się w takich sytuacjach — i już po chwili stałem oparty o fortepian i rozwodziłem się nad swoją niebezpieczną przeprawą. Metro, pociąg, potem na nogach. Z przyganą zwróciłem się do Andrew:

— Nikt inny nie szedł pieszo. Czuję się całkiem jak w LA. Musiałem zatrzymać samochód, żeby spytać o drogę. Dwa razy.

Andrew wybuchnął śmiechem.

— Paul jest powieściopisarzem — wyjaśnił.

— Piszesz? — spytała Susie.

— Tak.

— Miałeś — ile? Dwadzieścia dwa lata, gdy napisałeś *Notatki*? — mówił Andrew. Skromnie się uśmiechnąłem.

— Dwadzieścia jeden. Ostatni rok w Cambridge. Dwadzieścia dwa, gdy wyszły drukiem. Numer dziewięć na liście bestsellerów „Sunday Timesa”.

Co za czyste, niewinne słowa. Czuję, jak padają na świeżą glebę i zapuszczają korzenie — ziarna nadziei, nowe kielki.

— A to ciekawe. Napisałeś jeszcze coś później? — dopytywała Susie.

Czuję, jak mój uśmiech gaśnie.

— To i owo... Parę krótszych powieści, o których niekoniecznie było głośno.

— Czy to prawda, że każdy nosi w sobie powieść? — odezwał się za mną czyjś głos.

Irytujący banał. Odwróciłem się, by sprawdzić, kto to powiedział. W drzwiach stała drobna, szczupła kobieta z blond włosami do ramion, w fartuchu oprószonym mąką.

Zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę. Brzęknęły srebrne bransoletki. Miała drobny, szpiczasty podbródek i krzywe usta pomalowane bladą różową szminką, w której nie było jej do twarzy. Mimo wyraźnej dojrzałości było w niej coś z dziecka. Nic szczególnego, ale bardziej ponętna od innych tu obecnych.

— Jestem Alice. My się znamy.

Skądś ją kojarzyłem, ale nie wiedziałem skąd.

— Tak?

Przechyliła głowę, ciągle trzymając wyciągniętą rękę.

— Alice Mackenzie?

Andrew oderwał się od fortepianu.

— Paul, pamiętasz Alice? Na pewno znacie się co najmniej od tamtej nocy w Grecji — roześmiał się.

Pod moimi nogami rozwarła się przepaść. Woląłem nie myśleć o Grecji. Postanowiłem zignorować wyciągniętą rękę i nachyliłem się do jej policzka.

— Oczywiście — zadeklarowałem.

Nie poruszyła się — z głową wciąż przekrzywioną w stronę mojej.

— Paliłeś. Czuję to.

Uniosłem ręce w geście kapitulacji.

Pochyliła się jeszcze bardziej, dotykając rękami kołnierzyka mojej koszuli, i wzięła głęboki wdech, nagarniając powietrze z moich ust w kierunku swojego nosa.

— Nie przepraszaaj. To wspaniałe. Dobra. Wracam do kuchni. Jestem tam potrzebna.

Zniknęła za drzwiami. Andrew odprowadził ją wzrokiem.

— Alice jest niesamowita. — Boo podeszła bliżej. — Prawdziwy żywioł.

— Serio? — Na mnie zrobiła wrażenie całkiem zwyczajnej.

— Tak. Zupełnie niewiarygodna. — Uniosła głos. — Ile lat miała Alice, gdy straciła męża, Andrew?

Andrew obrócił się na pięcie. Zamknął oczy.

— Hm. Dziesięć lat od śmierci Harry’ego, więc tak, tuż po trzydziestce. Dzieci były jeszcze małe.

— Pech — stwierdziłem. — Rak?

— Nadnercza — odparła Boo. — Strasznie rzadki. Miał bóle żołądka, myśleli, że to zapalenie wyrostka. Były już przerzuty i po trzech miesiącach nie żył. Za to ona była tak silna, zniosła wszystko dla dzieci. — Mówiła jednocześnie z szacunkiem i samozadowoleniem, jak gdyby udzielało jej się coś ze szlachetności Alice.

— Alice jest cudowną matką — ciągnął Andrew. — I nadzwyczajną prawniczką. Nie takim chciwym korporacyjnym rekinem jak ja. — Urwał, zostawiając miejsce na milczący sprzeciw. — Alice pracuje w Talbot & Co — wiesz, sławnej kancelarii pomocy prawnej w Stockwell. Reprezentuje głównie starających się o azyl.

— I kobiety bite przez mężów — dodała Boo.

— Udziela się w Kobietach Przeciwko Przemocy Seksualnej, Kobietach za Prawami Kobiet, Kobietach dla Uchodźczyń... lista jest długa.

— Zainicjowała kampanię „Znaleźć Jasmine” — tłumaczyła Boo, jak gdybym miał pojęcie, o czym ona nawija.

— Znacie się — podjął Andrew. — Wieczór na Pyros — jedliśmy wszyscy kolację w zatoce, gdy cię zobaczyliśmy. Pamiętasz?

Wbiłem dłoń w oparcie krzesła i oparłem się wygodniej.

— Raczej nie byłem wtedy w najlepszej formie — zacząłem ostrożnie.

— Lekko złachany, stary. Co nieco popłynąłeś.

Drapałem się po głowie, usiłując wywołać komiczny efekt.

— Porażenie słoneczne.

Andrew mlasnął.

— Retsina.

Zerknąłem na Boo.

— Od tamtej pory nie tykam retsiny. Terapia awersyjna.

W policzkach Boo pojawiły się dwa głębokie dołeczki. Wcześniej zlekceważyłem ją jako za grubą i zbyt wymuskaną jak na mój gust, ale teraz przyjrzałem się uważniej i uznałem, że jest całkiem ładna: jasna skóra, błękitne oczy. Jej sposób noszenia się też był sexy: ściągnięte barki uwydatniały głęboki dekolt, krótkie, pulchne nogi zwęzły się w optymistycznie obcisłych dżinsach, stopy skierowane były na zewnątrz jak u baletnicy. Uśmiechnąłem się do niej, unikając spojrzenia Andrew.

— Kopę lat — stwierdził.

— Obiad podany! — Tina stała w drzwiach, wymachując drewnianą łyżką. Kosmyki szorstkich, kasztanowych włosów wymknęły się spod szalika, policzki miała zaczerwienione.

Jako pierwszy poszedłem za nią korytarzem do ogromnej kuchni w białokremowych tonacjach, przedzielonej wyspą ze zlewem, w którym Alice płukała sałatę.

Garnki z nierdzewnej stali zwisały z metalowej konstrukcji pod sufitem, a wielkie, szklane drzwi w głębi wiodły do ogrodu. Blask z kuchni oświetlał niewielki kawałek patia, reszta stopniowo rozplywała się w ciemności.

Za nami szli pozostali. Któryś z mężczyzn powiedział:

— Martwię się tylko o parking.

Bogata zastawa na stole z polerowanego mahoni. Andrew zabrał się do zapalania świeczek za pomocą długiego, eleganckiego narzędzia, czarnego, z napisem „Diptyque” na boku. Pstryk. Pstryk. Tina, z pomiętą kartką w ręce, rozsadyła ludzi — zawstydzona, udająca, że ma kłopoty z odczytaniem własnego pisma.

Stałem przy wyznaczonym miejscu, plecami do kuchni, naprzeciwko trzech dużych obrazów, które zakrywały ścianę. Ohydne: półabstrakcyjne morskie pejzaże w jasnej, kontrastującej kolorystyce — turkus i oranż, nie żałowano też bieli. Nie mój styl. Zdecydowanie wolę akty.

— Są moje — oznajmiła zza moich pleców Tina — więc nie bądź niemiły.

— Nie miałem takiego zamiaru. Są takie... dynamiczne, cudownie uchwyciłaś światło.

— To Grecja. Pyros, gdzie... gdzie byłeś. Widok z Domu Kirke. Jeździmy tam rok w rok — dzięki Alice.

Oboje zaczęliśmy się rozglądać. Alice, która ciągle grzebała w zlewie, uniosła głowę na dźwięk swego imienia i niepewnie się do nas uśmiechnęła. Tina odwróciła się.

— Ale to już niestety koniec.

— Czego? — Andrew zajął miejsce u szczytu stołu.

— Pyros.

— Wielka szkoda. — Podniósł głos. — Biedna Alice. To koniec pewnej epoki, prawda?

— Co, Grecja? — spytała, niosąc na stół parujący tażin. — Tak, skończyła mi się dzierżawa, a cholerny właściciel powiadomił mnie w styczniu, że sprzedaje ziemię deweloperom. Dupkom, którzy zbudowali ośrodek Delfinos. Mimo wszystko możemy wstrzymać egzekucję, przynajmniej jeśli idzie o dom. Wybieracie się latem do Kirke, Tino i Andrew, prawda? Ostatnia okazja.

— Oczywiście. — Andrew wstał, żeby Tina mogła się precyzyjnie przycisnąć obok jego krzesła. — Dzieci by nas zabiły, gdybyśmy nie pojechali. Dosłownie.

— Dosłownie? — powtórzyłem.

— Dobra. — Alice usiadła na wprost niego przy przeciwległym końcu stołu. Wykonała mały, dramatyczny gest serwetką, rozkładając ją na kolanach. — Wszyscy do wioseł.

Patrzyłem na nią przez chwilę, potem na Andrew i wreszcie na Tinę, która siedziała gdzieś pośrodku stołu. Można by pomyśleć, że to Alice jest tutaj gospodynią. Może to jej klasyczna baranina po marokańsku, a nie Tiny? Nałożyłem sobie łyżkę i wtedy się zreflektowałem, że prawdopodobnie najpierw powinienem obsłużyć sąsiadki — Susie z jednej i Izzy z drugiej strony.

— Przepraszam — tłumaczyłem się, proponując jedzenie. — Mam fatalne maniery. Widać, że chodziłem do szkoły z internatem — panika w czasie posiłków, każdy ciągnie

w swoją stronę.

— Do szkoły z internatem? Której? — zapytał bardziej łysy z dwóch mężczyzn. Powiedziałem mu, gdzie spędziłem najważniejsze lata swojego życia, i widziałem, że jest zaskoczony. Szkoła była znana z poziomu, napomknąłem też o stypendium. Tinę to zainteresowało.

— Łebski z ciebie chłopak. Nie tylko ładna buzia.

— A znałeś może Sebastiana Pottera? — odezwała się Izzy. — Jesteście chyba w podobnym wieku.

— Nie — zaprzeczyłem zbyt szybko, dodając jeszcze: — Słyszałem. Był chyba kilka roczników wyżej.

— No tak. Duża szkoła — bąknęła. Wzruszyła ramionami, top zsunął jej się z obojczyka, a pióra w jednym z kolczyków wplątały się we włosy. (Oczywiście, że znałem Sebastiana Pottera. Był jednym z gnojków, którzy zmienili moje życie w piekło).

Skoncentrowałem się na jedzeniu. Faktycznie było pyszne — sos smakował wodą z kwiatów pomarańczy i szafranem, mięso było cudownie miękkie. Niezależnie od tego, czy przyrządziła je Tina, czy Alice, sama potrawa była warta przyjazdu tutaj. Andrew nalał wina ze szklanej karafki — najwidoczniej Châteauneuf rocznik 2009, zgodnie z zapowiedzią. Wchodziło gładko: bez powodów do narzekań.

Rozmowa wokół ciągnęła się jak makaron, zahaczając o sklep Tiny, Ciekawy Wątek, plany welodromu i docierając do szkoły, do której, zdaje się, chodziły dzieci siedzących przy stole. Przyszła nowa wychowawczyni szóstej klasy, ale tęskniono za dawną; jeden z nauczycieli przedmiotów ścisłych się nie nadawał; córka Boo nie załapała się do programu księcia Edynburga. Było za dużo chętnych i skończyło się losowaniem nazwisk. Nie ma sprawiedliwości. Mąż Boo, który był gdzieś w delegacji, zgłosił protest, gdy tylko wróci.

— Masz dzieci? — zapytała Susie.

— Nie.

— To musi cię tu strasznie nudzić.

— Ależ skąd.

— Musimy liczyć się ze słowami — zauważyła Alice. — Może je wykorzystać w następnej powieści.

Strasznie przewidywalna uwaga. Nie zliczę, ile razy ludzie ją przy mnie wygłaszali. Alice nie zdjęła fartucha, poplamionego teraz sosem zmieszonym z mąką. Nałożyła świeżą warstwę tej obrzydliwej szminki i poplamiała nią brzeg kieliszka.

Nagle poczułem rozpaczliwą chęć zapalenia papierosa. Nogi zaczęły mi się trząść. Przeprosiłem, odsunąłem krzesło i podszedłem do szklanej płaszczyzny, po chwili gmerania odnajdując mechanizm do odsuwania. Przepisnąłem się przez niewielki otwór, dyskretnie zamykając drzwi za sobą.

Ogród leżał w cieniu — długi, szeroki trawnik, wysadzany po brzegach krzewami. Na końcu szkielety drzew na tle nieba i przestwór ciemnej pustki: boisko. Brunatna woń ziemi i wilgoci.

Za mną stał oświetlony, obnażony dom — świece na stole, połyskiwanie sztućców: każdy szczegół widoczny dla każdego, kto zechciałby się tu zacząć. Donośny śmiech,



szuranie krzesła. Wrzask Boo: — Nie!

Usunąłem się z zasięgu ich wzroku. Na trawie zamajaczyła żelazna ławka, zasłonięta od kuchni zaroślami. Przysiadłem na brzegu, starając się nie umoczyć spodni. Drabinka i trampolina z wysokimi czarnymi ścianami rysowały się jak masywne kadłuby okrętów ze skazańcami na mokradłach w Kent. Pojawił się księżyc, pokrywając trawę cętkami, by po chwili schować się z powrotem. Przeleciał samolot — gniewny warkot na wietrze.

Tym razem zapaliłem fajkę bez trudu. Było zimno. Powinienem nałożyć płaszcz. Zastanawiałem się, jak szybko można będzie wrócić do domu. Wieczór upłynął dobrze — dawałem radę — ale tutaj nie było nic dla mnie. Zero kobiet. Zero pracy. Bez szans na zajmowanie się domem pod nieobecność właścicieli. Zaciągnąłem się, wprowadzając nikotynę do krwi.

Nagły wybuch głośnej rozmowy, powiew ciepła — natychmiast odcięty. Odwróciłem się. Na tarasie stała Alice. Nie poruszałem się, na wypadek gdyby postanowiła wrócić do środka, ale przeszła kilka kroków przez trawnik i zobaczyła mnie.

— Cześć — zagaiła.

Szybkim ruchem poprawiła włosy z tyłu, jak to robią kobiety — z tą wzruszającą skrytością, coś przesunąć, coś przygładzić, jak gdyby ich zdaniem istniało jedyne właściwe ułożenie fryzury. Nie wiem, czemu tak mnie to rusza.

Podeszła krok bliżej.

— Dałoby się wysepić od ciebie papierosa?

To charakterystyczne drgnięcie. Czemu niepalący nie kupują sobie papierosów? Albo nie palą?

— Oczywiście — odpowiedziałem grzecznie, sięgając do kieszeni marynarki.

Przysiadła koło mnie, oparta łokciami o kolana, i podałem jej papierosa. Zażartowałem z kobiecej marki, którą palę — Silk Cut z ultramałą zawartością substancji smolistych — na co się roześmiała, choć mnie zależało tylko na odwróceniu jej uwagi od mojej zapalniczki. Był to długi, cienki patyk, który Andrew zostawił na stole. Wsunąłem go z powrotem do kieszeni i nadal się nim bawiłem. Był matowoczarny, miękki w dotyku.

Głęboko się zaciągnęła.

— Cudownie — powiedziała. — Tak naprawdę to nie palę. Tylko dla towarzystwa. Ale w dzisiejszych czasach robi się o to coraz trudniej. — Zaczęła narzekać na e-papierosy, które psują całą zabawę, jak to ubywa okazji do „łagodnie duszących odlotów”, które tak lubi.

— Raczej nie można poprosić kogoś, kto ciągnie z elektronicznego, żeby dał „macha”? Chyba że chcesz się nałykać śliny o smaku karmelowym.

— Dokładnie — zaśmiała się. Oczy w kształcie migdałów miała kocio zielone pod wysokimi łukami brwi.

— Gdzie poznałeś Andrew? Zapomniałam zapytać.

— Studiowaliśmy razem na Trinity.

— No tak, Cambridge. Oczywiście. — Uśmiechnęła się. — Dobrze go wtedy znałeś?

— Niezbyt. — Rozparłem się na ławce — co tam wilgoć — i uniosłem twarz ku

niebu. — Znałem co nieco jego siostrę.

— Florrie. No tak, oczywiście.

— Znasz ją?

— Byłyśmy w szkole najlepszymi koleżankami. Przez nią poznałam Andrew. Odwiedzałam ją w Cambridge. Nie jestem pewna, czy się tam nie widzieliśmy. — Uśmiechnęła się. — Dużo jej zawdzięczam. Jesteśmy z Andrew bardzo blisko.

Bardzo blisko. Zaśmiała się głośno, sztucznie. Należała do kobiet gadatliwych i flirtujących, ale tylko na niby. Nie zwierzają się z niczego, co jest naprawdę ważne. Nigdy nie wiadomo, co w nich siedzi. O ile w ogóle coś siedzi. Są też okropne w łóżku.

Uważnie przyjrzała się papierosowi, potem uniosła wzrok i zapytała:

— Nie pamiętasz naszych spotkań w Cambridge ani w Grecji?

— Twoja twarz wygląda znajomo. — Rzuciłem papierosa i wcisnąłem go piętą w trawę. Postanowiłem przejść do sedna. — Ale słuchaj, Alice, naprawdę mi przykro. Cały wieczór było mi trochę głupio z tego powodu. Nie wiem, dlaczego Andrew mnie zaprosił. Tam w Grecji byłem wrakiem. Kiedy to było — osiem lat temu?

— Dziesięć.

— Nie jest to w moim życiu okres, z którego byłbym dumny. Wypłynęliśmy na jeden z tych alkoholowych rejsów. Zgubiłem znajomych, statek odpłynął z portu beze mnie. A potem natknąłem się na Andrew i on na szczęście mnie poratował. Ale będę z tobą szczerzy — nie pamiętam zbyt wielu szczegółów.

— Powiedzieć ci, co ja pamiętam?

— Skoro musisz.

Zaśmiała się.

— Wpadłeś do tawerny, gdzie jedliśmy kolację. Miałeś fioletową koszulkę z napisem reklamującym klub nocny Zeus. Krzyczałeś i byłeś wulgarny. Zacząłeś śpiewać.

— Tak? — wzdrygnąłem się. Otuchy dodawał mi fakt, że ją najwyraźniej to bawiło. — Zeus, tak. Pamiętam tę koszulkę. A... śpiewanie... nigdy nie było moją mocną stroną.

— Andrew załatwił ci taksówkę. Władował cię do niej — tak to, zdaje się, ujął.

— Andrew jest dżentelmenem.

Rwetes z kuchni. Alice ostatni raz spojrzała na swój niedopalek i pstryknęła go w rabatę. Nałożyła krótki, fioletowy sweter z guzikami w rodzaju tych, jakie noszą starsze panie, i otuliła się nim pod szyją. Znienacka spoważniała.

— Każdy szczegół tamtej nocy zapadł mi bardzo głęboko w pamięć. Pamiętam wszystko. To było okropne.

— Słyszałem. Twój mąż...

— Nie chodzi o Harry'ego. — Pokręciła głową, śmiejąc się cicho, gorzko. — Zmarł kilka miesięcy wcześniej. Nie. Chodzi mi o tamtą noc, kiedy zaginęła Jasmine.

Gdybym dobrze poszukał, gdzieś w mrocznych głębinach umysłu znalazłbym może to, o czym mówiła, ale tylko strzępki, okruchy, urwane tropy.

— Przypomnij mi — poprosiłem.

Alice zmarszczyła się.

— Jasmine. Jasmine Hurley. Byłeś przy tym. Biedna Yvonne, jej matka. Boże. —

Puściła sweter i zamachała w powietrzu, spięta. — Pisali o tym w gazetach. Na pewno słyszałeś o tym nazajutrz, czytałeś. Gdzie mieszkałeś? W Elcondzie? Nawet policja z Pyros, od samego początku beznadziejna, musiała dotrzeć tam ze śledztwem... Na pewno pamiętasz.

Schyliłem głowę, jak zawsze zawstydzony własnym niedorozwojem emocjonalnym. Obudziła moją pamięć, choć detale były wciąż niekonkretne — ucieczka nastolatki, samotna matka, podejrzany chłopak?

— Tak, tak, oczywiście. Pamiętam. Przepraszam.

Oparła palce jednej ręki na grzbiecie nosa. Poklepałem ją po ramieniu, przybierając minę tak pełną udręki i troski, na jaką było mnie stać. Miałem już ochotę wracać do środka. Nie chodziło tylko o zimno. Czuję się bezwartościowy i wkurzony, co nie było najprzyjemniejszym połączeniem uczuć.

Zza kraty krzewów raz po raz błyskało światło z kuchni. Andrew obchodził stół z karafką, która błyszczała w jego rękę. Tina przeszła na drugi koniec pomieszczenia i pochylała się, żeby wyciągnąć z lodówki jakąś miskę — deser? Boo trzymała ręce w górze: usiłowała zdjąć sweter, w który zaplątał się top. Mignęła goła skóra i pasek biustonosza.

Piskliwy świergot przyciągnął moją uwagę z powrotem do Alice. Otarła oczy i wydobyla komórkę z kieszeni džinsów.

— Phoebe — moja najstarsza. Trzeba odebrać ją z imprezy — wyjaśniła, patrząc na ekran. — No, to będzie musiała jechać nocnym autobusem. O wiele za dużo wypiałam.

Wystukała szybkiego esemesa, mówiąc przy tym:

— Tak właściwie to ma prawie osiemnaście lat i niedługo się wyprowadzi. Powinna nauczyć się trochę samodzielności. — Wsunęła telefon z powrotem do kieszeni, przy okazji wysuwając do przodu biodro. — Chociaż Bóg jeden wie, co zrobię, kiedy jej nie będzie. Nie mogę przejść koło jej pokoju, żeby nie wyobrazać sobie, że jest pusty.

Zadrzała, kuląc się i pocierając przedramię.

— Powinniśmy już chyba wracać.

— Pokaż mi jeszcze swój telefon — powiedziałem.

Patrzyła mi w oczy.

— Po co?

— Proszę.

Niepewny uśmiech.

— Nie.

— Ma zajęcze uszka, prawda?

Zrobiłem szybki ruch — jak gdybym chciał wsadzić jej rękę do kieszeni. Odsunęła się, chichocząc, a potem jak rozkapryszone dziecko wyciągnęła telefon i rzuciła nim we mnie.

— Proszę bardzo. Napaś się. Zrywaj boki ze śmiechu.

Obróciłem aparat na kolanach i beznamiętnie stwierdziłem:

— Etui twojego iPhone'a jest w kształcie niebieskiego królika.

— Dostałam je od Franka, mojego syna. To prezent!

— Zabierasz go do pracy, wielka pani prawniczko, na najważniejsze spotkania?

Śmiała się od ucha do ucha. Wtedy zauważyłem, dlaczego miała przekrzywione usta. W stronę jednego z kącików biegła miniaturowa, pomarszczona strzałka, mała blizna.

To uczucie pojawiło się znikąd. Przecież ze mną nie flirtowała. Nie była w moim typie — po pierwsze jakieś dwadzieścia lat za dużo. Tak że nie wiem, skąd się to wzięło — może przez stanik Boo albo myśl o ciepłym biodrze Alice pod kieszenią dżinsów. Albo żywe srebro jej ruchów. A może już wtedy nieświadomie wyobrażałem sobie perspektywę pustego pokoju w wygodnym domu. Ale gdy zobaczyłem tę bliznę, napadła mnie ochota, aby ją polizać..

### Rozdział 3

Nazajutrz rano zadzwoniłem do Andrew, żeby wziąć numer telefonu Alice. Jeśli był zaskoczony, dobrze się z tym krył.

— Jasne, zaczekaj — powiedział, potem przez kilka sekund się miotał, mrużąc pod nosem: — Przepraszam... ale ze mnie kretyn... momencik... — Opisał się jako „techniczny idiota” — nie umiał wyświetlić listy kontaktów, nie przerywając połączenia. — Tina! — zawołał, by wreszcie oznajmić: — No, jest. Alice Mackenzie. Biuro, dom czy komórka, a może wszystkie trzy?

— Komórka — zdecydowałem. Obracałem w palcach bombkę z jego żywopłotu, czując, jak brokat zmienia się w brud.

— Dobra. — Urwał. — Zadzwonisz do niej teraz czy po powrocie z podróży służbowej?

— Jakiej podróży służbowej?

— Do Nowego Jorku.

— A, tak.

Po kolejnej chwili milczenia podjął:

— Słuchaj, wiem, że się wtrącam, ale nie umiem wyłączyć odruchu ochronnego. Ali było tak ciężko — okropnie zniosła śmierć Harry’ego. Dała radę i ma fantastyczne dzieci, ale jest ciągle wrażliwa. Jest kimś szczególnym dla mnie, dla Tiny, dla nas obojga. Nie chcę, żeby cierpiała ani żeby ktoś się nią bawił, albo... Dobra, i tak powiedziałem za dużo. Koniec wykładu.

Czy ktoś lepszy powiedziałby: „Tak jest, panie władzo. Moje zamiary są z gruntu nikczemne. Dzięki panu opamiętałem się i z całym szacunkiem się wycofuję”? Serio? Czy ktokolwiek po wysłuchaniu małej przemowy tego wyrachowanego zadufka powiedziałby coś takiego? Miałem ochotę wypalić: „Zrobię, co będzie mi się podobało, a ty nie wtykaj nosa, gdzie cię nie potrzebują”, ale zamiast tego wypowiedziałem kilka przyzwoitych zdań. Moje pretensje do porządności były tak wiarygodne, że prawie sam w nie uwierzyłem. Numer został przekazany, powoli, cyfra za cyfrą, najwidoczniej wydzierane wbrew jego woli.

Umówiłem się z Alice za dziesięć dni, we wtorek wieczorem: dziwny termin, ale kalendarz miała wypełniony wizytami na uniwersytetach, apelami i zebraniami dla rodziców: „niemożliwie skomplikowane”. Czas oczekiwania był za długi. Pomysł zaczynał coraz mniej mi się podobać. Gdy nadszedł planowany dzień, zdążyłem zapomnieć, co ja w ogóle w niej widziałem.

Ale randka to randka, a braku kultury nie można mi akurat zarzucić. Andrew Edmunds, zaciszna restauracyjka w Soho, była w tamtych czasach moim ulubionym lokalem. Idealnie nadawała się na tego rodzaju okazje: blask świec, nieokreślona, artystowska atmosfera. Lubiłem sobie wyobrażać, że moja sympatia do tego miejsca mówi coś o mnie. Czułem się tam jak u siebie w domu. W dodatku miałem upust, trzydzieści procent za korepetycje dla córki kierownika. Temat maturalny z literatury angielskiej: *Otello*. (Dostała sto procent punktów).

Przyszedłem wcześniej i ze zmieszaniem zobaczyłem Alice pijącą kieliszek wina

i przeglądając jakieś papiery. Na mój widok upchnęła je w przepastnej torbie razem z grubym kalendarzem biurowym formatu A3 w oprawie ze skóry aligatora i energicznie wstała, wyciągając rękę na powitanie. Miała na sobie granatową spódnicę, białą bluzkę zapinaną na guziki i czarne kozaki z cholewkami do kolan. Włosy upięte z tyłu, a z makijażu tylko kreskę niekorzystnie wyglądającej, różowej szminki.

Przeprosiła, że wygląda „jak do biura”. Całe popołudnie w sądzie: nastolatka z Konga, wzorowa uczennica liceum w Barnet, która ma zostać deportowana, gdy za miesiąc osiągnie pełnoletniość. Tak, racja, dużo ją to kosztuje. Jej córka jest niemal w tym samym wieku, co nie ułatwia sprawy.

— Phoebe? — upewniłem się. — Ta, która się wyprowadza?

— Tak. We wrześniu zaczyna anglistykę w Leeds. Jeśli będzie mieć dobre oceny.

— A, czyli dopiero we wrześniu.

— To już niedługo. Nie wytrzymam. Zostawi po sobie taką pustkę.

— Może znajdziesz lokatora?

— W sumie chciałaby zostać dziennikarką. Andrew mówił, że zdarzało ci się pisywać do gazet.

— Zdarza się. I jeśli będzie potrzebować rady, może walić do mnie jak w dym. Pomogę, jak tylko będę umiał.

— Byłoby super. Dziękuję.

Zamówiliśmy jedzenie — dzikiego pstrąga morskiego i specjalność z perliczki. Dowiedziałem się więcej o jej dzieciach. Phoe-be, najstarsza, po niej dwóch chłopców (Louis, szesnaście lat, i Frank, czternaście). Kilka razy wspomniała nieżyjącego męża.

— Frank jest prostolinijny — mówiła — taki sam jak Harry, wszystko go ciekawi. Louis mroczniejszy, przeżywa trudny okres, ale rzecz jasna bardziej brakuje mu ojca. — Wypowiedziała te słowa, westchnęła i środkowym palcem lewej ręki lekko dotknęła woreczkowatej skóry pod lewym okiem. Nie zakreśliła się w nim łzy, tak że gest wydał się sceniczny, a co najmniej wyćwiczony; być może był to odruch sprawdzania nabyty w czasach, gdy dużo płakała. Poczułem to samo co w ogrodzie Andrew, że nawet gdy pozornie otwiera serce, całe mnóstwo ukrywa.

Moje krzesło stało przy wejściu do kuchni i kelner za każdym razem truchtał obok mnie — przez drzwi i z powrotem. Trudno było się skupić. Czułem się podenerwowany, kolana mi drżały, nie byłem w najlepszej formie. Postanowiłem skończyć spotkanie zaraz po zjedzeniu, zapraszając ją do siebie na kawę, na co ku memu zdumieniu się zgodziła. Padał deszcz i chodnik zrobił się śliski — a może dodaję to od siebie: nie wiedzieć czemu, we wszystkich moich wspomnieniach figuruje deszcz. Zagwizdała na taksówkę, porządnie, z dwóch palców, aż przeszył mnie dreszcz i poczułem podniecenie, a gdy dziesięć minut później wjechaliśmy na moją ulicę, uparłem się, żeby płacić. Oświadczyła, że jest „zauroczona”, jeszcze na schodach, gdzie jej torba obijała się o balustradę. Potem stanęła na progu mieszkania, pół żartem, pół serio zachwalając mój gust i inteligencję.

— O, tak. O, tak. To śliczne.

Zapaliłem papierosa i zająłem się w kuchni kawą, nasłuchując, jak chodzi po salonie, z każdego skrzypnięcia podłogowej deski domyślając się, gdzie akurat stoi: przed tym obrazem albo szafką.

— Wspaniały *Ptak rozgałęziony!* — krzyknęła. Stała przed czarno-białą grafiką nad kominkiem.

— Suchoryt — zareplikowałem. — Kate Boxer.

— Grasz? — zawołała chwilę później. Zajrzała do stosu partytur Aleksa obok sofy.

— Odzwyczailem się — odparłem. — Kiedyś, w dzieciństwie, grałem.

Łyknąłem kapkę whisky z zapasów na czarną godzinę i potem jeszcze kilka. Persefona łąsiła się do moich nóg i dałem jej spodek mleka. Nie bardzo wiedziałem, co zrobię dalej. Czy ją uwiodę? Nie do końca orientowałem się, jak to działa ze starszymi kobietami. Czy będzie się spodziewać czegoś bardziej eleganckiego i długotrwałego? W takim razie po co zwracałem sobie głowę? Nie przyszło mi na myśl powiedzenie prawdy: że życie, którego symbolem jest to mieszkanie, nie należy do mnie — nie żeby było mi głupio, choć to niewykluczone: czterdziestodwulatek, którego cały dobytek mieści się w kilku workach na strychu u matki. Nie, po prostu nie widziałem w tym sensu. Co z tego, że za tydzień wyląduję na bruku? Widzę ją prawdopodobnie ostatni raz.

Kiedy przyniosłem kawę, siedziała na sofie i przyglądała się oprawionemu zdjęciu z Trinity College. Należało rzecz jasna do Aleksa, ale ponieważ tam się poznaliśmy, z równym powodzeniem mogło być moje.

— Zdjęłam ze ściany w toalecie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Nie mogę cię znaleźć. — Wodziła palcem po szeregu młodych, pulchnych, nadętych twarzy. — O! — Uśmiechnęła się. — Dłuższe włosy... Gdzie jest Andrew?

Nachyliłem się. Błada twarz, szpiczasty nos, świętoszkowaty wyraz twarzy.

— W środku pierwszego rzędu.

— No tak. Też ma dłuższe włosy.

— Więcej włosów.

— Zachowuj się. — Roześmiała się, po czym znów popatrzyła na zdjęcie. — Nie widzę Florrie. Jest tu?

— Nie. Zaczęła później, gdy byłem na trzecim roku.

Odłożyła fotografię na sofę, potem spojrzała na mnie.

— A byłeś szczęśliwy?

Przez chwilę zastanawiałem się, o co jej chodzi, by odpowiedzieć:

— Tak, bardzo.

— Pamiętam, że gdy tam przyjechałam, wszystko zrobiło na mnie ogromne wrażenie, a ludzie byli albo bardzo wielcy, albo bardzo mali. W Bristolu, gdzie studiowałam, można było być, jakim się tylko chciało. Ale tam człowiek miał tylko dwie możliwości.

— Może masz rację.

Popiła cappuccino. Kosmyk jej włosów opadł na czoło. Dostrzegłem siwiznę zmieszaną z kolorem blond.

— A ty? — odezwałem się. — Byłaś w dzieciństwie szczęśliwa?

Był to jeden z moich typowych sposobów na podryw. Alice zachowała się zgodnie z przewidywaniami: przesadnie skromne wzruszenie ramionami, potem coś w rodzaju rumieńca — gotowa mówić o sobie godzinami. Dorastała w północnym Londynie, jedynaczka prawnika i wykładowczyni uniwersytetu. Prywatna szkoła, potem Bristol,

gdzie poznała Harry'ego. Złote, szczęśliwe życie, podsumowała.

— Ciężko jest się urodzić w czepku, nie uważasz? — Wskazała ręką mieszkanie, dzieła sztuki, meble z połowy wieku, regały z książkami. — Masz czasem wyrzuty sumienia, że wszystko przyszło łatwo, jak dużo ludzie tacy jak my dostali od rodziców na talerzu?

Poczułem, jak coś ściska mnie w piersiach, jakaś potrzeba wyzalenia się, jak gdybym umiał jej przekazać, jak było ciężko, ile wysiłku kosztowało mnie nieprowadzenie życia rodziców, jak od początku nie znosiłem małości ich ambicji, chętnego poddania się pokorze i miernocie. Jak bogata była ta dobrodziejka? Ile zostawił jej Harry? Jak duży ma dom? Zdobyłem się na pełne zadumy potaknięcie.

— Tak, nie należy o tym zapominać i... no, po prostu starać się jakoś odpłacić.

Oparła rękę na moim ramieniu.

— Wiedziałam, że się zrozumiemy. Właśnie dlatego robię to, co robię. Andrew szydzi ze mnie, że nie pracuję w kancelarii takiej jak jego, nie wchodzę w prawo handlowe, ale nie czułabym się z tym dobrze. Zawsze stałam po stronie przegranych, ludzi, którzy nie mogą dojść do głosu. — Pokręciła głową i napiła się kawy. — Pisziesz książki. To pod pewnymi względami wielkoduszne. Człowiek musi się otworzyć.

— Tak właśnie jest.

— Nad czym teraz pracujesz?

Poczęstowałem ją papierosem, lecz odmówiła. Sam odpaliłem jednego.

— Nad powieścią o Londynie, o imigracji, wydziedziczonych. Taka panorama społeczna. — Stek kłamstw.

— Masz wydawcę? Nie znam się na tym.

— Mniej więcej. — Oparłem się wygodniej i zmieniłem temat. — Andrew mówił, że sporo udzielasz się w organizacjach charytatywnych.

— Zasiadam w różnych radach. Najbardziej angażuje mnie „Znaleźć Jasmine”. Wzbudza najwięcej emocji. Andrew mi pomaga. To pod wieloma względami wyraz tego, o czym mówiłam. Bo wiesz, Jasmine nie była małą, słodziutką blondynką z klasy średniej jak Madeleine McCann. Miała niecałe czternaście lat. Ale to wciąż dziecko. Zasluguje na dokładnie tyle samo uwagi policji i mediów, a jednak nikt nie był nią szczególnie zainteresowany.

— Jak dobrze, że chociaż ty zachowałeś się tak, jak należy — stwierdziłem, starając się wykrzesać z siebie zainteresowanie.

Wzięła zapalniczkę ze stołu, gdzie ją położyłem, i obracała w dłoni. W świetle lampy słowo „Diptyque” zabłysło srebrem na tle czerni.

— Wiem, że jesteś okropnym kobieciarzem — powiedziała. — Sama nie wiem, co tutaj robię.

Byłem zaskoczony.

— Nie jestem — zaprotestowałem.

— Czym?

— Okropnym kobieciarzem.

— Andrew mówi, że jesteś złym człowiekiem.

— Serio? Kurczę. Nie wiem, o co mu chodzi...



— Mówi, że źle traktujesz kobiety. Że ich nie szanujesz.

— Serio? Tak mówi?

Przypatrywała mi się bardzo uważnie.

— Może — siliłem się na senny uśmiech — po prostu nie spotkałem tej odpowiedniej.

Trzymała filiżankę na kolanie i włożyła do niej palec, żeby wydobyć ostatki piany, którą nałożyła sobie na język — smużka bieli na różu. Cały czas zaglądała mi przy tym w oczy. Czy flirtowała? Wydawało się to mało prawdopodobne, a jednocześnie dziwnie mi pochlebiało. (Mimo tego, co powiedziała, ciągle miała na mnie ochotę).

— Na mnie pora — stwierdziła, nie poruszając się.

Co miałem do stracenia? Nieznacznie przesunąłem nogę, przemieszczając się w jej kierunku, ramiona już zajmowały pozycję. Wywinęła się spode mnie, wstała i narzuciła płaszcz, zapinając guziki, zakładając uprząż z pasków torby: zbierała się.

Przy wejściu do budynku niezgrabnie ją pocałowałem. Odrobinę za dużo wypilem. Natrafiłem mokrymi ustami na kącik jej warg i tam już zostałem. Naparła dłońmi na moją klatkę piersiową. Przez koszulę czułem ciepło jej rąk. Czy to pociąg, czy odtrącenie? Cał w którąś ze stron, palec wsunięty pomiędzy guziki wyjaśniłyby jej motywację. Ale nie miałem pewności. Wyczuwałem sztywność łokci, napięcie przedramion i niemal mi ulżyło, kiedy się odsunęła.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu nazajutrz zadzwoniła. Na dźwięk jej głosu wstałem, już szukając po mieszkaniu upuszczonej szminki czy zapomnianego szalika, jakiegoś powodu tego telefonu. Szła. Poznałem to po spiesznym oddechu. Wspomniała coś o „wpisaniu do grafika” i wyobraziłem ją sobie opartą o ścianę i wyciągającą z torby ten wielki kalendarz.

Okazało się, że proponuje herbatkę. W sobotę, jeżeli miałbym czas. Phoebe chętnie „wybada mnie” w kwestii dziennikarstwa, może uda mi się załatwić jej jakąś praktykę.

Powinienem był odmówić. Wczorajszy wieczór nie był udany. Ale byłem próżny i mile polechtany, interesowała mnie też Phoebe, dlatego się zgodziłem.

## Rozdział 4

Mieszkała w Clapham, w wysokim i wąskim domu w stylu georgiańskim przy dość ruchliwej drodze. Obok stała jakaś rudera: drzwi wejściowe pomalowane w rastafariańskie pasy, wywrócony wózek z marketu zarośnięty przez chaszczę. Z okna na piętrze bębnił rap. Z kolei dom Alice emanował aurą podupadłej zamożności: łuszczące się, szare poręcze z kwiatonami w kształcie liści dębu; żeliwne donice, z których zwisały rude resztki zeszłorocznych pelargonii; puste pudło z Riverford, czekające na cotygodniową dostawę organicznych jarzyn.

Dziewczyna, która mi otworzyła, miała drobną, owalną twarz otoczoną splotami długich blond włosów. Na czarne rajstopy założyła nadzwyczaj skromne dżinsowe szorty, górna połowa ciała tonęła w przepastnym, zrobionym na drutach swetrze z guzikami. Na mój widok odwróciła się i zawołała „Mamo!” w stronę piętra, po czym zachęciła mnie:

— To co, wejdzie pan?

Poszedłem za nią korytarzem, potem wąskimi schodami do kuchni w piwnicy: kuchenka Aga, sosnowy stół, dzbanki z ziołami, zapach pieczenia i żonkili podszyty mocną nutą czosnku. Kot czmychnął przez otwór w drzwiach, za to brązowy labrador, siedzący na wyłożonym sztruksem legowisku w kącie, wyciągnął przednie łapy i wolno potoczył się w moją stronę, machając ogonem, po czym wetknął nos w moje krocze. Odsunąłem się i zająłem krzesło przy stole. W ogólnej ciszy słychać było jedynie dalekie odgłosy telewizora i stłumiony rytm basu u sąsiadów. Phoebe stała przy adze, gmerając przy kolczyku w nosie. Była niewiele młodsza od Polly, mojej niedawnej dupy, lecz wyczuwałem jej pogardę, może zwłaszcza dla skórzanej kurtki, którą postanowiłem nałożyć. Albo dla butów. (Nowe białe con-versy — miałem co do nich mieszane uczucia). Nie żebym się bardzo przejął. Nie wpadła mi w oko. Dość ładna, ale z kiepsko tlenionymi włosami i brwiami wyskubanymi tak, że tworzyły cienkie, wysokie łuki. Połączenie sieroty i kurwy. Nie w moim typie. Wolę bardziej wyraziste.

Próbowałem nawiązać rozmowę.

— Tak więc... Phoebe, dobrze myślę? Słyszałem, że zastanawiasz się nad anglistyką w Leeds. To dobre studia?

Przechyliła głowę i odpowiedziała z nienaturalną uprzejmością:

— Mam taką nadzieję. Tak mi opowiadano. — Po zakończeniu każdego zdania zamykała usta, jakby sęczyła słowa albo mówiła wolno do starszego krewnego. — Jeszcze nie miałam okazji obejrzeć wszystkiego na własne oczy.

Pies nie przestawał trącać mnie nosem w krocze, od czego próbowałem go odstręczyć ruchami kolana.

— No, masz jeszcze kupę czasu.

— Mama mówiła, że był pan w Cambridge. Z wujkiem Andrew. Rozmawiali o tym wczoraj wieczorem.

Wujek Andrew? Wczoraj wieczorem? Poczułem się nie-spokojny.

— Gdzie mama?

Podeszła do schodów i krzyknęła:

— Mamo! MAMO! On tu jest.

Chwilka ciszy, potem wołanie z oddali i seria cichych tupnięć.

— Przyszedł? Dlaczego nic nie mówisz? Louis, wystarczy tego oglądania!

Nogi wybiły rytm na kilku ostatnich stopniach i wpadła do pomieszczenia. Miała na sobie obcisłe spodnie do biegania, srebrnoszarą, zasuwaną na suwak bluzę od dresu i karmelowe botki Ugg. W uszach niczym miniaturowe, wielowarstwowe żyrandole dyndały kolczyki.

— Paul! Dzięki, że wpadłeś. — Podeszła, odpychając po drodze psa. Była jak żywe srebro, włosy miała rozwiane. — Odejdź, Dennis. Daj gościowi spokój. — Ucałowała mnie w oba policzki. — Phoebe, podziękowałaś Paulowi?

— No.

— Dobra, napijemy się herbaty. Wy tu sobie pogadajcie.

Spojrzelśmy na siebie z Phoebe. Chyba oboje uznaliśmy, że rozmowy mamy już za sobą. Gardło ścisnęła mi trwoga, że zaraz wyjdę na oszusta. Próbowałem ukryć zakłopotanie, wypytyjąc Phoebe o jej wyobrażenia na temat dziennikarstwa i wygłaszając krótką, choć nieco bardziej szczerą mowę o malejącym znaczeniu gazet i konkurencji na rynku pracy.

Alice, wycierając ręce ściereczką, rzuciła:

— Phoebe miałyby ochotę na jakieś praktyki po maturze. Prawda, Phoebs?

— Jasne — potwierdziła Phoebe z tą samą co wcześniej, świszczącą i przesadną starannością. — Jeśli mógłby pan pomóc?

— Czyli na przykład co?

— Myślałam o czasopiśmie — coś w rodzaju „New Statesmana”, bo interesuje mnie też polityka. Albo „Vogue”? Mama mówiła, że może mieć pan znajomości. Wszyscy mówią, że liczy się to, kogo się zna.

— Pomyślę — odpowiedziałem spokojnie.

Ciaśniej otuliła się swetrem.

— A może telewizja? Zna pan tam kogoś?

Wbiłem w nią wzrok.

— Nie bardzo.

Jej telefon wydał dźwięk myśliwskiego rogu. Popatrzyła na niego i spytała:

— Mamo, mogę już iść do Dolly?

— Dobra, ale masz dzisiaj wrócić.

Phoebe wstała.

— Na razie — rzuciła mi przez ramię. — Dzięki. — Przez dziurę w rajstopach z tyłu ukazał się kawałek białosinej skóry wyglądający jak siniak.

— Nie ma za co.

Alice poprawiła duże zdjęcie na ścianie, oprawiony w ramki kolaż fotografii, czarno-białych, kolorowych i w barwach sepia; szerokie uśmiechy, zabawne stroje, egzotyczne wakacje: życie rodzinne w najbardziej chełpliwej odsłonie. W centrum znalazło się zdjęcie mężczyzny na plaży z małym dzieckiem na kolanie, krzywizny brązowych ramion i letni zarost, oczy zmrużone przed słońcem — Harry. Wyglądał na przystojnego i męskiego. Oto on w centrum swojego świata: wakacje na nartach i wynajętych jachtach, szampan, blond fryzury i roleksy. Ludzie tacy jak on przez całe

życie mnie wkurzali, wszystko to, co mieli, a czego ja nie miałem. Poczulem ukłucie zawiści i urazy, po którym nastąpiła myśl zupełnie innego rodzaju. Harry nie żył, a ja siedziałem w jego kuchni.

Alice odeszła od zdjęcia i nieco chaotycznie sprzątała, jak gdyby przyszła tu w jakimś innym celu niż spotkanie ze mną. Trzaski i męski krzyk z góry:

— MAMO, wychodzę!

Przewróciła oczami.

— Który to?

— Louis. Frank jest u kolegi. — Stała u stóp schodów. — Weź płaszcz, pada deszcz!

Ciężkie kroki i trzaśnięcie drzwi wejściowych.

— Nawet nie zrobiłam herbaty. — Zerknęła na zegarek. — A, do diabła z tym. Kieliszek wina?

— Nie powiem nie.

Wyjęła z szafki butelkę merlota, którą otworzyła korkociągiem Screwpull, dla wygody ściskając ją udami — nawet dosyć seksownie.

— Możesz palić.

Podawała mi wyszczerbiony spodek i otworzyła okno nad zlewem. Padał umiarkowany deszcz. Odmawiając papierosa, oparła się wygodniej na krześle, dyskretnie zasłaniając usta i nos dłonią. Po jakimś czasie zaczęła przekładać jakieś papiery, w roztargnieniu przygryzając wargę. Na pytanie, co to takiego, odpowiedziała, że ulotki reklamujące kolację połączoną ze zbiórką funduszy na rzecz „Znaleźć Jasmine”. Piskliwym, pełnym napięcia głosem opowiadała, że obchodzą dziesiątą rocznicę działalności i trzeba zebrać więcej pieniędzy na „następną fazę”. Yvonne, matka Jasmine, przyjeżdża z Sheffield i wszystko musi być dopięte na ostatni guzik.

Podawała mi jedną z ulotek. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie młodej Jasmine, z bandaną w kwieciste wzory i rudym kotem przytulonym do policzka, a obok komputerowa rekonstrukcja obecnego wyglądu zaginionej. Gdy mówiła, przyglądałem się fotografii: ładna dwudziestoczterolatka o wysokim czole, wąskiej twarzy, niebieskich oczach, szerokich ustach. Wiem, że jestem okropny, lecz odruchowo pomyślałem sobie, czy ludzie tworzący takie rysopisy taktownie przesadzają i podkreślają urodę modela.

Oczywiście nie powiedziałem tego na głos. Kiwałem wolno głową, licząc, że wywieram wrażenie pełnego empatii i współczucia.

— Biedactwo.

Alice skuliła się na krześle i wypila pierwszy duży łyk z kieliszka, po czym delikatnie otarła wino z kącika ust.

Zakręciłem kieliszkiem, patrząc, jak wino faluje i się marszczy niczym szkarłatny aksamit.

— Naprawdę myślisz, że ona żyje?

Popatrzyła mi prosto w oczy.

— Tak myślę.

Usiłowałem zebrać w pamięci wszystkie szczegóły, sklecić z nich jakąś całość.

— Ale narzeczony matki... czy coś nie... czy policja...?

— Nie. Policja się pomyliła. Został oczyszczony z zarzutów. Jaki wstyd, że ktokolwiek — i to ty! — może jeszcze tak myśleć. Stracili tyle czasu. To prawda, że stosunki Karla z Jasmine nie układały się najlepiej. Była zazdrosna, że odbiera jej uwagę matki. A to jest taki gość, co dużo gada, sam jest jeszcze w pewnej mierze dzieckiem — i w tej sytuacji nie stanął na wysokości zadania. Tamtego wieczoru pokłócili się z Jasmine. Ale gdybyś widział jego żal... i jak stoi przy Yvonne przez te ostatnie dziesięć lat. Nie. Nie zabił jej. — Pokręciła głową szybkimi, pełnymi złości ruchami. — Nie.

— A gdzie się podział ojciec dziewczyny?

— Nawet go nie знаła. Odszedł od Yvonne, gdy była w ciąży.

— Byli jeszcze jacyś inni podejrzani?

— Raczej nie. — Znow potrzęsnęła głową. Zabrzęczały kolczyki. — Kilku świadków opowiadało o kręcących się tam obcych mężczyznach, ale bez żadnych konkretów. Imigranci z Albanii, ale... — Pociągnęła łyk i odstawiła kieliszek na stół. Wino zatrzęsło się. Zacisnęła usta ze złością. — Nie znaleziono ciała. Na wyspie takiej jak nasza to ważne. Starannie przeczesał wybrzeże, stoki wzgórz. Tamtego dnia wieczorem nie wypływały żadne promy, a nazajutrz port był już pod obserwacją policyjną. Wszyscy chodzili, szukali. W morzu nie ma odpływów. Tak że nie. Coś mi tak podpowiada.

— Uciekła?

— Możliwe. Albo ją porwali. W tamtej części świata roi się od gangów nielegalnej adopcji. W dodatku z Pyros jest tak blisko do Albanii, wystarczy przepłynąć przez kanał...

— Ale czy czternastolatka byłaby dobrą kandydatką? Nie jest za duża?

— Raczej jest. Wtedy drugą ewentualnością byłaby prostytutka. Kłótnie z Yvonne i Karlem wybuchały między innymi o to, że Jasmine bez przerwy gdzieś znika — we wsi poznała chłopaka. Nigdy się nie ujawnił. Przez dłuższy czas braliśmy pod uwagę możliwość, że została wywieziona do Aten. Nie można żyć z taką myślą. Nie wiem, ale się dowiem, i do tej chwili nie spocznę. Wiem, że to banalne... ale... jeśli zna się matkę, która straciła dziecko... ta niepewność. To nie do zniesienia, ból, który nie ustaje.

— A może odeszła z własnej woli?

— Na zachodnim brzegu wyspy funkcjonuje komuna hipisowska — pozostałość z lat siedemdziesiątych. Niemcy, Skandynawowie, paru Brytyjczyków. Nie żyją już w jaskiniach, ale są widoczni — pokazują się czasem w miejscowościach turystycznych. Zawsze byłam zdania, że maczali w tym palce. Że zamieszkała z nimi. Z tego, co opowiadała mi Yvonne, była dość prostą dziewczyną, tylko może trochę dziwaczką. Istnieje teoria — dość prawdopodobna — że faktycznie uciekła i zamieszkała z nimi, i albo straciła pamięć, albo zrobili jej pranie mózgu. Być może chciała wracać, ale jej nie pozwolili; możliwe, że miało to coś wspólnego z narkotykami.

— Ale czy policja nie przeprowadziła dochodzenia?

— Tak, ale... wiesz, wszystko za późno.

Nie wiedziałem i wcale mi nie zależało. Temat mnie znudził. Mówienie o tej zmarłej dziewczynie — bo oczywiście już nie żyła — nie dodawało Alice uroku. Wołałem seksowną i praktyczną bizneswoman z kolacji, jej deportacje i przesłuchania.

Albo brudną boginię domowego ogniska u Andrew. Pamiętałem śmiech, który wywołałem w ogrodzie — dziewczęcy dzwoneczek z nutą sprośności; zlizywanie z palca cappuccino. Doskonale wiedziałem, jak życie rozdaje nam pewne role do odegrania. Ale miałem dość jej dobroci, poczucia, że stoję po złej stronie, dołowania się. Merlot był dobry — łagodny i owocowy, ciepła krew w ustach. Jeszcze jeden kieliszek i, jeśli nie zajdą jakieś zmiany, będę się zbierał.

— No, ale nic — powiedziała. — Atmosfera zrobiła się ciężka. Przecież nie po to jechałeś taki szmat drogi, żeby o tym rozmawiać. — Uśmiechnęła się krzywo.

Zostałem na cały wieczór.

Przyniosła drugą butelkę wina i uwijając się po kuchni, otwierając szafki i wrzucając składniki, zrobiła miskę makaronu z pesto domowej roboty i sałatkę z pomidorów, ogórka i fety — grecką, „choć daleko jej do tego, co można dostać w Grecji”.

Narobiła okropnego bałaganu — skórki z ogórka zwisające z brudnego robota, bryzg oliwy z oliwek na kuchence, biała folia po fecie zrzucona na podłogę i zapomniana. Nie zwracając uwagi na chaos, który powodowała, nie przerywała słowotoku na temat opuszczenia Pyros. Dzieciom bardzo się tam podobało, gdy były mniejsze, ale teraz miały znajomych w Londynie, z którymi trzeba się było wciąż spotykać, i wyjazdy mniej je interesowały. Latem pojedą tam ostatni raz.

— Wszystko ma swój koniec — orzekła. Kroiła pomidory i przerwała w połowie plasterka. Wyrzała przez okno, ciągle półotwarte, na mokry ogród. — Choćbyśmy nie wiem co robili. — Wzięła z powrotem nóż i rzuciła po namyśle: — Jeśli nie masz żadnych planów na lato, jedź z nami.

Potem zaproponowała, żebyśmy wzięli talerze na górę i zjedli przed kominkiem. Pokój dzienny był miły i przytulny, z niedopasowanymi do siebie sofami i moherowymi kapami, grubymi zasłonkami z aksamitu i wytartymi tureckimi chodnikami. Ściany we wnękach zastawione były półkami na książki. Przed telewizorem leżał sztruksowy worek-puf; na podłodze porzucone słuchawki i pad od PlayStation. Ogień był prawdziwy i po dorzuceniu szczapy zaczął dawać przyjemne ciepło. Prądkowany kot leżał zwinięty w kłębek na ozdobnej poduszce i pozwalał się głaskać. Alice zasłoniła okna i przez mgnienie oka ujrzałem jej twarz odbitą w szybie, falę okruchów światła, i przypomniał mi się ten ustęp w *Do latarni morskiej*, w którym pani Ramsay, podając gulasz, ma uczucie spójności, stabilizacji. W moim przypadku mogła to być rzecz jasna nadzieja na seks.

Alice siedziała na podłodze, talerz miała na stoliku — ja na sofie, niezgrabnie oparty na łokciach, pochylony. Gdy zjadłem i wytarłem chlebem resztki ziarnistego, zielonego soku, wstałem i poszedłem przyjrzeć się lepiej książkom. Alice opowiadała o muzulmance z Bexleyheath, która po latach znęcania się nad nią zakłuła męża na śmierć kuchennymi nożyczkami. Szczerze mówiąc, od tematu zaczynało mi się robić niedobrze.

Niższe półki wypełniały bestsellery, thrillery, długi rząd Horn-blowerów. Za to na najwyższej stał rząd starych, zielonych i pomarańczowych wydań Penguin (Simenon i Ngaio Marsh, George Orwell, *Wielki Gatsby*) i edycje w twardych oprawkach z barwnymi obwolotami. Zawiesiłem oko na charakterystycznym czarnym grzbiecie

z żółtym ukośnym paskiem i wyciągnąłem książkę: *The Rachel Papers* Martina Amisa. Otworzyłem. 1973. Pierwsze wydanie.

— Boże! — krzyknąłem.

Alice bacznie mi się przypatrywała.

— Harry uwielbiał Martina Amisa — stwierdziła, nie odrywając ode mnie wzroku.

— Wychowankowie prywatnych szkół często tak mają. Seks, pieniądze i obfita domieszka nienawiści do samego siebie.

— Nie słyszałem tego. — Wziąłem książkę na sofę i usiadłem. Kot ześliznął się z poduszki i podszedł bliżej, trącając mnie nosem, żebym go wpuścił na kolana. Trzymałem książkę nad nim i z nabożną czcią przewracałem kartki.

— August — powiedziała Alice. — Mówię do kota.

Starąłem się jak najmniej oddychać, byle nie uszkodzić stron.

— Z autografem — zauważyłem.

Alice westchnęła.

— Prawdopodobnie kupił ją na aukcji eBay. Harry'emu zdarzało się ulegać ekstrawaganckim porywom.

Jakaś nutka w jej głosie kazała mi odłożyć książkę, ostrożnie, i popatrzeć na Alice. Jej oczy stały się szkliste.

— Weź ją. Jest twoja.

Udałem, że nie słyszę.

— Tęsknisz za nim? — spytałem.

Kiwnęła głową.

— Zapomniałam, jak to jest w objęciach...

Zakłócenie w atmosferze pomiędzy nami, potknięcie. W pokoju zrobiło się ciemno. Dźwięk za oknem, bryzg deszczu, jakby ktoś rzucił w szybę garść kamyków.

Alice potrząsnęła głową i roześmiała się.

— Nie jestem zakonnica. W jego objęciach. Zapomniałam, jak to jest w jego objęciach.

Wbiła wzrok w dywan. Po kilku minutach delikatnie zsunąłem kota z kolan i popełniłem najgorszy błąd w swoim życiu: rozpiąłem suwak srebrnoszarej bluzy do biegania aż po jej pępek, odsunąłem dość obrzydliwy nylon, spod którego ukazały się ku mojemu zdziwieniu pozbawione stanika piersi, i przyciągnąłem ją do siebie.

## Rozdział 5

Tydzień później przeprowadziłem się z powrotem do matki. Nie mogę opędzić się od myśli, że gdybym tego nie zrobił, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

Będący własnością kolei domek w East Sheen, gdzie się wychowałem, bardzo niewiele zmienił się przez te lata — te same wytarte dywany, ten sam wszechobecny zapach kapusty, te same pociągi przetaczające się z hurgotem. Ojciec rzecz jasna już nie żył — atak serca w trakcie pełnienia pasterskiej służby w więzieniu Wandsworth, gdzie był kapelanem — a matka wprowadziła pewne poprawki w moim maleńkim pokoiku: sosnowa szafka z mikroskopijnymi wspornikami, „na twoje książki”, nowa lampa z BHS („Ta-da”), a nad wąskim łóżkiem oprawiona w ramki recenzja *Notatek*, która pojawiła się w „Times Literary Supplement”, z żółknącym od starości papierem pod szkłem. Pobyt w domu działał na mnie ogłupiająco. Jak zawsze — rodzicielskie oczekiwania, radość z mojego sukcesu, moje poczucie klęski. Ale teraz atmosfera była napięta do granic — ostrożna radość matki w zestawieniu z uczuciem, że coraz bardziej się duszę. Gdy odgrzewała „parę smacznych baranich kotlecików”, a usta jej się nie zamykały — odniosła wadliwy czajnik do Dickinsa & Jonesa i została obsłużona przez uroczą dziewczynę („Murzynka, ale przemiła”); miła Jenny z kościoła zaofiarowała się zorganizować u siebie spotkanie koła gospodyń w przyszłym miesiącu, „co bardzo mi ulży ze względu na kolano” — od razu stało się jasne, że trzeba podjąć jakieś rozpaczliwe kroki.

— Wszystkie te worki z rzeczami, co je trzymasz na strychu — zamartwiała się przy deserze, kruchej szarlotce Tesco z kremem Bird’s. — Myślałam sobie, czy może znieść je na dół.

— Niech tam leżą. Nic się nie dzieje.

— A może, jeśli nie masz czasu, mogłabym je sama po-sortować?

— Nie — zawołałem gwałtownie. — Nie tykaj żadnych moich rzeczy.

Wieczorem, gdy siedzieliśmy w stołowym i oglądaliśmy jakąś potworną operę mydlaną, którą nazwała „jednym z moich programów”, przeszukałem listę kontaktów. W przeszłości zawsze znajdowała się deska ratunku — kolega z pracy albo kumpel, któremu trzeba było popilnować kota czy domu, dziewczyna chcąca mieć mnie bardziej dla siebie bądź czyiś rodzice, których zauroczyłem. W ostateczności ratował mnie kilka razy Michael, ale gdy w jego zapasowym pokoju zamieszkały bliźniaki, nie miałem gdzie spać. Pierwszy raz od piętnastu lat czułem się jak w matni, zmuszony stanąć twarzą w twarz z własnymi demonami.

Jak dotąd w ogóle nie myślałem o Alice. Jedna noc wystarczyła, by zaspokoić ciekawość tego, co mnie w niej początkowo pociągało. Ale gdy po operze mydlanej matka przełączyła na kryminał rozgrywający się w latach pięćdziesiątych, zacząłem sobie przypominać. Seks był dość przyjemny. Dom wygodny i ciepły. W bonusie dostałem książkę. (Opchnąłem ją w jednym z ambitniejszych antykwariatów na Charing Cross Road za pięćset funtów. Dostałbym więcej, gdyby nie ślad kubka na tylnej okładce). Nie wolno też było zapominać o pokoju córki, który niedługo stanie się pusty.

W przerwie na reklamy wymknąłem się do kuchni pod pretekstem zrobienia



herbaty. Odebrała, wyraźnie zadowolona, i umówiliśmy się na przyszły tydzień — kolacja w modnym bistro w Clapham.

Ta pierwsza porządna randka nie należała do tanich (koniecznie musieliśmy spróbować „menu dla koneserów”), ale potraktowałem to jako inwestycję. Postanowiłem, że będę ją podrywał, i to ostro. Zorientowałem się, jaki sposób będzie najskuteczniejszy, nauczyłem się, jak rozłożyć akcenty, i je rozłożyłem. Jak wiele kobiet, podniecał ją gnojek — prowokowanie moim wizerunkiem niegrzecznego chłopca na pierwszej randce niosło ze sobą taki sam ładunek erotyczny, jak gra wstępna. Ale lubiła uciemienionych i wierzyła w dobroć ludzkiego ducha. Przy drinkach i kolacji wycisnąłem z siebie łzawą historię o kobiecie, która złamała mi serce w college’u („Nie, nie była to Florrie”), i wynikającym stąd lęku przed zranieniem, problemach (oczywiście) z angażowaniem się. Potem nastąpiło skromne pożegnanie na ulicy, za to nazajutrz rano posłałem jej kwiaty ze starannie ułożonym liścikiem („Dziękuję, że jesteś inna od wszystkich”), a później zacząłem wysyłać coraz śmielsze esemesy („Tak super było spędzić z Tobą trochę czasu...”, „Bez przerwy o Tobie myślę”. „Pani Mackenzie, czy zdaje sobie Pani sprawę z wrażenia, jakie Pani na mnie wywarła?”, „Proszę, pójdz ze mną do łóżka”).

Zdobycie jej tak naprawdę i wypełnienie tej ostatniej prośby przyszło po dwóch tygodniach i dwóch kolejnych randkach. W tym czasie wmówiłem jej też, że ma na mnie wpływ nie tylko emocjonalny, ale i twórczy. Wyznałem, że do chwili poznania jej przeżywałem blokadę i pierwszy raz od wielu lat przypominam sobie, jak smakują prawdziwe uczucia. Co dzień siedziałem godzinami w London Library, kończąc rękopis, na który z zapartym tchem czekano w literackim świątku. Jechałem stereotypami i patrzyłem, jak wszystkie je chłonie, jak bierze odpowiedzialność za to odrodzenie moich zdolności i energii.

Zachowanie twarzy wymagało pewnych uników i lawirowania. Nie miała pojęcia, że wyprowadziłem się z Lamb’s Conduit Street. I że drobny problem z wierzycielami — koniecznością stało się unikanie pewnych barów — wykluczał bywanie w Soho. Po powrocie Aleksa straciłem też wolny wstęp do London Library. Wskutek tego spędzałem całe dni w działach książkowych sklepów organizacji charytatywnych na południu Londynu bądź picie herbaty w Bułce w Piecu, taniej kawiarni na końcu Sheen Lane. Dla bezpieczeństwa umawiałem się z Alice wyłącznie w Clapham — wmawiając jej, że to z troski o nią. Dzięki temu zdążyła wpaść do domu odświeżyć się albo sprawdzić, jak tam „przygotowania do egzaminów końcowych” (nauczyłem się nawet na pamięć właściwych określeń). Dałem jej do zrozumienia, że mnie też pasują „domowe kolacje”.

— Jesteś wyrozumiała — mówiła, pichcąc spaghetti *puttanesca* albo kurczaka *alla cacciatore* (była cudowną kucharką). — Wolę nie zostawiać dzieci samych za często. — W sumie, mimo że wkrótce sprzykrzyły mi się nastoletnie dąsy po drugiej stronie stołu, cieszyłem się z oszczędności. Chodzenie z kobietą o jej pozycji nie było tanie. Znalazłem się na przykład w kropce, bo zakładała, że pójdę z nią na uroczystą kolację wspierającą kampanię „Znaleźć Jasmine”: dziewięćdziesiąt funtów na łebka! Musiałem się od tego wyłgać, zmyślając urodziny chrześniaka.

Początkowo marzył mi się ten wolny pokój — do września planowałem na tyle zbliżyć się z Alice (może w charakterze przyjaciela z dodatkami), że będę mógł go zająć

organicznie, aby stał się takim naturalnym kolejnym krokiem. Ale z upływem tygodni zaczynała nabierać kształtów myśl o czymś bardziej trwałym. Wyobrażałem sobie, że zostanę może nie mężem, ale kimś w rodzaju pana domu — jej puchowej kołdry w rozmiarze kingsize, wolno stojącej wanny, pełnej lodówki, kota. Myśli krążyły wokół ubezpieczenia na życie Harry’ego. Dzieci były upierdliwe — duszne kłębówisko stękania i hormonów. Ale myśl nie była nieprzyjemna. Nie kochałem jej. Patrzyłem na nią obiektywnie i zwracałem uwagę na wiek: bruzdy na napiętym czole, siateczki zmarszczek przy oczach. To pożądanie było skomplikowane, zauroczenie raczej umysłowe niż fizyczne, mające związek z jej energią, pewnością siebie, umiejętnością rozstrzygnięcia najbardziej złożonych planów i problemów. Gdy odbierała telefon od kogoś z kancelarii albo jednego z licznych lobby (Kobiety Przeciwko Temu, Prawnicy Za Owym), podniecało mnie samo słuchanie jej. Kompetencja tej kobiety dosłownie zapierała dech w piersiach.

Rozpalało mnie coś jeszcze, coś subtelniejszego, pewna nieosiągalność, męczące uczucie, że nawet w czasie stosunku zachowuje rezerwę. Okazywała sporo zapału — z powagą wypytywała o „dzieło” i śmiała się z moich żartów, rozbierała się na życzenie, odsłaniając blade, czyste ciało z ładnymi karbami rozstępów na brzuchu i bujnymi włosami łonowymi. Za to mimo wszystkich mych starań nie osiągała orgazmu — dotkliwy cios dla mojej *amour-propre*. Usiłowałem się tym nie przejmować. Gdy po wyrzuceniu prezerwatywy wracałem do łóżka, wydawała pełne zadowolenia odgłosy i ocierała się o mnie, wzdychając, jak gdyby była nasycona.

Pewnej nocy postanowiłem wziąć byka za rogi (że tak powiem). Oparłem się na łokciach i popatrzyłem w jej półprzymknięte oczy w kształcie półksiężyców.

— Twoja kolej — stwierdziłem, bliski spuszczenia się. — Teraz się nie wymigasz.

Lecz wywinęła się spode mnie, przekręciła na bok, pociągając kołdrę, aż usiadła, skulona, na brzegu łóżka. Na ramiona naciąg-nęła przetartą podomkę frotté.

— Już nie mogę — oznajmiła stanowczo. — Nie chodzi o to, że nie sprawia mi to przyjemności — bo sprawia, po prostu ogromną — ale nie mogę dojść.

— Może byłoby ci... łatwiej... bardziej by cię zadowalało, gdybyś brała pigułkę? Pokręciła głową.

— Myślę, że to wyrzuty sumienia.

— Harry. — Zamknąłem oczy. — Oczywiście. Biedna Alice.

Obsypałem jej szyję całusami, aż uciekła ze śmiechem. Do sypialni — dziwnego pomieszczenia, usłanego porzuconymi ubraniami i biżuterią, świecidełkami choinkowymi i mdłymi świeczuszkami — przylegała łazienka, do której przeszła. Słyszałem, jak sika. Rzuciłem się na poduszki, zakładając ręce na kark, i usiłowałem zbagatelizować całą sprawę.

— Tym więcej zostanie dla mnie — powiedziałem, o ile pamiętam. Ale myślałem o Harrym: dużym, masywnym, martwym mężczyźnie w studni jej łóżka. I czułem, jak rodzi się we mnie twarde, ponure postanowienie, przyrzeczenie, że już niebawem nie tylko będę ją miał, ale posiadę ją w zupełności.

O domu na Pyros nie było mowy od czasu, gdy pierwszy raz ze sobą spaliśmy, ale nie zapomniałem o jej ogólnikowym zaproszeniu. Gdzieś w głowie wolno krążyła myśl,

że spędzę z nią tam lato, a po powrocie do Clapham poprosi, żebym się do niej wprowadził. Grecja była ważną częścią mojego planu.

Po raz pierwszy osłabłem w swym postanowieniu po pewnym spotkaniu z Andrew. Rychło uświadomiłem sobie, że Alice często się z nim widuje. Spotykali się zarówno na gruncie zawodowym, jak i towarzyskim. (W końcu to Andrew poszedł z nią na kolację na rzecz „Znaleźć Jasmine”). Nie spotykaliśmy się jakiś czas, a mimo to miałem wątpliwą przyjemność natykania się na ślady jego obecności. Pewnej nocy znalazłem na oparciu krzesła szalik z aksamitną podszewką, który, jak wyjaśniła Alice, należał do niego. Kiedy indziej zostawił na kuchennym stole kopertę z formularzami, które miała podpisać. Kilka razy podejrzewałem, że czuję jego płyn po goleniu — Trumper’s West Indian Limes. Nie podobało mi się to. Był zagrożeniem, z którym prędzej czy później będę musiał się jakoś rozprawić.

Spotkaliśmy się znowu na początku kwietnia. Popołudnie spędziliśmy z Alice w łóżku, z butelką winą i krzyżówką „Guardiana”. Maskarade, dość nowy autor, oparł krzyżówkę na motywach *Pod mlecznym lasem* z okazji rocznicy premiery sztuki. Alice, w nastroju do żartów, wyznała, że jest pod urokiem mojej znajomości tekstu i postaci: Lily Smalls, Kapitana Cata, Chłoptasia Nicdobrego i tak dalej. Zacząłem się popisywać:

— „Połóż się wygodnie. Daj się rozbić mi pośród twoich ud jak okręt”\* — zacytowałem, ale nie brała mnie tak poważnie, jak myślałem.

— Jesteś moim Chłoptasiem Nicdobrego — powtarzała — prawda? — Była na tyle podchmielona, że groziło to popadnięciem w histerię. — Moim Chłoptasiem Nicdobrego.

Początkowo wziąłem to za dobrą monetę. Całowałem ją. Ale gdy usta ciągle jej się nie zamykały, żart („moim Chłoptasiem Nicdobrego”) wydawał się skierowany przeciw mnie, zrobiło mi się gorąco i zaczęło mnie swędzieć całe ciało. Wstałem z łóżka, gniewnie ściągając kołdrę, i naciągnąłem bokserki, aby przypomnieć sobie, że właściwie to nie mam dokąd pójść. Wkurzony jeszcze bardziej grzebałem w kieszeni w poszukiwaniu papierosów i podszedłem do okna. Pchnąłem je w górę.

— Wróc i rozbij się pośród moich ud — gruchała Alice. Wiedziała, że jestem zły, lecz udawałem, że nie zwracam na nią uwagi.

Siadłem na parapecie i zapaliłem, firanką osłaniając obnażoną połowę ciała przed widokiem z ulicy. Zapatrzyłem się w dół. Grube masy białego kwiecia oblepiały wiśnię. Białe słońce odbijało się od domów naprzeciwko, żółkły od niego mury, łyskały szyby. Z ogrodu obok zniknął wózek z marketu. Pamiętam, że zastanawiałem się, czy odebrali go śmieciarze, czy ciągle tam leżał, zagrzebany i rozwalający się. Wyobrażałem sobie trójkątne kupy rdzy pod jeżynami, łączące po nich mrówki. Myślałem sobie, czy w ogóle można powiedzieć, że cokolwiek znika całkowicie. Parę razy głęboko się zaciągnąłem i obserwowałem, jak popiół na koniuszku silk cuta wyciąga się w drżącą rurkę, którą w końcu strzepnąłem. W powietrzu unosiły się nietrwałe, maleńkie romby srebrnobiałego pyłu.

Zwróciłem uwagę na dochodzące z dołu głosy, otwieranie bramy i ludzi zbierających się w ogrodzie przed domem. Zeskoczyłem z parapetu i wychyliłem się. Zastaniał ich ganek. Gdzieś w głębi domu zadzwonił dzwonek.

— Goście — oznajmiłem.

— A, tak — odpowiedziała Alice, naciągając długi zielony sweter, który miała na sobie, zanim go z niej zdjąłem. Wcisnęła bosc stopy w zamszowe botki i energicznie przechyliła głowę do przodu, a potem do tyłu: w ten szybki sposób układała włosy. — Andrew, Tina i spółka wpadli na wczesną kolację. Pomyślałam sobie, że zamówimy coś hinduskiego.

Stała w drzwiach i uśmiechała się do mnie, przekrzywiając na bok głowę. Robiła wrażenie trzeźwej.

— Idziesz?

Gdy nie odpowiadałem, wyszła. Przez chwilę stałem w bezruchu, czując się zbity z tropu, wyprowadzony w pole. Nie znałem żadnych innych jej znajomych. Cały czas spędzaliśmy sami. Czemu nie powiedziała, że się ich spodziewa?

Słyszałem jej głos, mieszający się ze słowami Andrew. Śmiech Tiny, otwieranie i zamykanie drzwi salonu, kroki schodzących do kuchni.

Wstałem i włożyłem spodnie. Koszula leżała pod łóżkiem, zmięta. Drzwi do jej szafy stały otworem. Wisiała tam jeszcze część ubrań Harry'ego. Już je oglądałem i zabrałem sobie parę krawatów, które mi się spodobały. Teraz przesuwalem wieszaki, aż natrafiłem na ładną koszulę: blad różowa w delikatny, warstwowy wzorek. Na metce było napisane Charles Tyrwhitt. Nieco za szeroka w kołnierzyku, ale nada się. Powoli zapiąłem guziki.

Pierwsza zobaczyła mnie Tina. Stała oparta o agę, zwrócona w stronę drzwi, i widziałem, jak jej oczy rozszerzają się z zaskoczenia, ale przyjemnego — ostatnio dużo myślę o tamtej chwili. Popatrzyła na Andrew i przybrała bardziej napięty, ostrożny wyraz twarzy.

— Paul! — zapowiedziała.

Andrew siedział przy stole plecami do mnie. Błyskawicznie obrócił głowę. Widziałem, jak w ułamku sekundy dostrzega koszulę i moje bosc stopy. Przyjmuje do wiadomości, że byłem z Alice w łóżku, że jest coś, co mogę z nią zrobić (nie spotkanie w sprawie finansów czy szybki lunch), co jest poza jego zasięgiem.

Próbował wstać i zaplątał się między nogami krzesła. Zaklął i rozcierając łydkę, zaczął podskakiwać w moją stronę; mały teatralny popis, który dał mu odrobinę czasu na opanowanie się.

— Stary! — zawołał z przesadną jowialnością. — Skąd się tu wziąłeś?

— Z góry.

— Miło cię widzieć.

Ująłem dłoń, uśmiechając się prosto w jego twarz.

— Kawał czasu — stwierdziłem.

— O kurczę, tak. Ale jesteś! Alice, cicha woda brzegi rwie. Życie nie stoi w miejscu.

Alice wyjmowała z lodówki sześciopak coli.

— Nie wygłupiaj się, Andrew — upomniała go, domykając drzwi łokciem. Sprawiała wrażenie poirytowanej. — Jesteśmy dorosłymi ludźmi. — Zauważyła koszulę.

— O. — Zaczerwieniła się.

— Mogę? Moja była zmięta.

Potrząsnęła głową i odwróciła się.

W ogrodzie wysoki, chudy nastolatek z kijem usiłował utracić główkę tulipana. Dziewczyna, około siedemnastoletnia, z bardzo krótkimi, ściętymi na chłopaka włosami, w wypchanych dzinsach i trampkach, siedziała na starej huśtawce dyndającej z konaru jabłunki, szorując butami po trawie, i próbowała się obrócić.

Tina w dość szczególnym ubraniu, wielkiej, czarnej, płóciennej sukience wyglądającej jak roboczy fartuch malarza, zauważyła, że na nich patrzę.

— Nasze dzieci — wyjaśniła, poprawiając włosy ściągnięte szylkretową spinką. — Daisy i Archie.

— Paul, może poszedłbyś i zwołał moją gromadkę? — poprosiła Alice.

To mi się podobało — jakieś zadanie. Andrew przekona się, że to właściwe dla mnie miejsce.

Wbiegłem na górę i krzyknąłem na chłopaków, żeby wyszli z pokojów, po czym wspiąłem się do Phoebe na strych. Drzwi były otwarte i już miałem je pchnąć, gdy zobaczyłem ją przez szparę przy futrynie i przystanąłem, przechylając głowę. Leżała na brzuchu przed laptopem, z bosymi stopami w powietrzu, wąską i krągłą dupką; spod podwiniętej koszulki wystawało pasmo białej skóry. Zdawało mi się, że podszedłem cicho, ale po chwili rzuciła:

— Już idę — dając mi w ten sposób do zrozumienia, że wie, iż podglądałem, i że nie wolno jej nie doceniać. Trzeba będzie na nią uważać.

W kuchni Alice znalazła w szufladzie menu, a Andrew zapisywał życzenia gości. Dennis wszędzie węszył i Andrew kilka razy odepchnął jego łeb z wyrazem obrzydzenia: czyli nie kocha psów. (Ostentacyjnie dogadzałem pieskowi, żeby pokazać, jak go lubię). Alice robiła wrażenie spiętej. Bez przerwy się śmiała i wszystko przesuwiała: pieprzniczkę, gazetę. W pewnej chwili schwyciła dziecko — Franka — i przytrzymała się go, jak gdyby dla ochrony. Intrygujące. Zastanawiałem się, czy denerwuje się, bo musi łączyć nową miłość ze starymi znajomymi. Tak, chyba się nie myliłem. Ciągle wydawała mi jakieś polecenia: zebrać sztuce, znaleźć butelki beck'sa, poszukać w lodówce limonkowej marynaty, chutneya z mango i galaretki z papryczek (miała to wszystko w domu). Cały czas czułem na sobie wzrok Andrew.

— Jak dzieło? — zagadnął. Alice często używała tego wyrażenia.

— Jakoś idzie.

— Nie bądź taki skromny. — Alice oderwała się od nakrywania do stołu, żeby mnie objąć, podobnie jak wcześniej przytulała Franka. Czułem od niej piwo. — Codziennie pisze w London Library i idzie mu doskonale. Agent wyraził już spore zainteresowanie.

Uśmiechnąłem się. Tina powiedziała, że jestem bardzo łebski. Alice puściła mnie, a Andrew zaczął opowiadać o zbliżającym się zebraniu jakiegoś komitetu — specjalny fundusz na „przeгляд i badanie”.

Wyjrzałem za okno. Nastolatki, Phoebe i Daisy, siedziały na ogrodowych krzesłach zaraz za drzwiami do kuchni. Sposób, w jaki siedziała córka Andrew, noga na nogę, łokieć na kolanie, sugerował francuską nonszalancję. Miała drażliwą, nadąsaną minę, która mi kogoś przypominała, choć nie wiedziałem kogo. Luźny wełniany sweter opadł z ramion, odsłaniając turkusowe ramiączko stanika i trójkąt skóry — wyjątkowo seksowne

połączenie.

Zjawilo się jedzenie i zasiedliśmy do stołu. Ja obok Louisa, który moim zdaniem był najmniej ładnym dzieckiem Alice — dużym chłopakiem o przyszczatej twarzy. Miała przez niego mnóstwo zmartwień. Kilka razy dzwonił dyrektor jego szkoły. Znęcanie się nad młodszymi. Nie miałem zamiaru marnować z nim czasu, więc rozmawiałem z Tiną siedzącą po drugiej stronie stołu, pytając o sklep z wełną.

— A, wiesz! — mówiła. — W piątek przyjechała nowa dostawa alpaki. — Rzuciła okiem na Andrew. — Bardzo ważna sprawa!

Nie znoszę tego u kobiet — korzenia się. Mężczyźni pokroju Andrew podsycają to. Przypomniałem sobie protekcyjny uśmieszek, z jakim wspomniał w księgarni o „małej firemce”, którą założyła.

— Bardzo cenię każdego, kto decyduje się na taką samodzielność — oświadczyłem. — Mam nadzieję, że jesteś z niej dumny, Andrew?

— Oczywiście — wypalił.

Zaczynał dominować przy stole. Jego ojciec cierpiał na demencję i ostatnio przyjęto go do domu opieki. Matka, która sama miała kłopoty ze zdrowiem, nie dawała sobie z nim rady. To strasznie niesprawiedliwe. Jej życie naznaczone jest tragedią. Alice ujęła Andrew za rękę i tak go trzymała.

— Wiem — powiedziała — wiem.

— Okropność — przytaknąłem.

Daisy zanurzała palec w małej plastikowej miseczce z miętową raitą, potem rozmazywała sobie cętkowany jogurt na języku. Wtedy uświadomiłem sobie, z kim mi się kojarzyła.

— Kurczę, wyglądasz jak Florrie — rzuciłem. Całkiem jakby siedziała tu przede mną siostra Andrew. Uniosła głowę, wciąż oblizując palec.

— Czasami ludzie mi to mówią, tak.

Pozostali ucichli. Czy okazałem niedelikatność, przerywając Andrew?

— Przepraszam. — Ruchem ręki dałem znak, żeby kontynuował.

Alice spojrzała na mnie i z powrotem na niego.

— Może matka wybrałaby się z nami w tym roku? Yvonne i Karl koniecznie chcą zatrzymać się w hotelu, więc mamy miejsce. Czy poprawiłoby jej to samopoczucie?

Mówiła tonem chłodnym — ewidentnie nie była to szczerza propozycja — ale z mojego punktu widzenia przydała się, kierując rozmowę w kierunku Grecji.

— Czy Yvonne i Karl jeżdżą z wami co roku? — spytałem.

— Nie. Byli raz czy dwa razy na początku, ale teraz przypada dziesiąta rocznica zniknięcia Jasmine i organizują specjalną wyprawę.

— Rodzaj pielgrzymki?

— Mniej więcej.

Patrzyła na mnie, więc uśmiechnąłem się do niej wyczekująco.

— To miłe — powiedziałem. Zjadłem talerz *saag* z baraniną i łyknąłem parę beck'sów. Rozsiadłem się wygodniej na krześle. Nadeszła moja chwila, pomyślałem. Zaprosi mnie — przy ludziach. Było to logiczne podsumowanie wieczoru. Być może nawet z tego powodu zaprosiła dziś gości. Przyjęcie zaproszenia ciągle zależało rzecz

jasna ode mnie. Ale propozycja — i wszystko, co może z niej wynikać — zostanie poddana pod moją rozważę.

— W tym roku — zapowiedziała Phoebe — muszę się porządnie opalić.

— Jeśli to ostatni raz, to trzeba wypożyczyć kajaki! — zawołał Frank.

— Pewnie! — roześmiała się Tina.

— Chyba że będzie kolejna inwazja meduz — dodała Phoebe.

— O nieee — zaskowytał Andrew. — Nie będę sikał na niczyje parzydełka, choćbyście nie wiem jak mnie błagali.

— Już nie mogę się doczekać tej pysznej baklawy, którą podawali w zeszłym roku u Giorgia — włączyła się Tina.

— U Nico — poprawiła Alice.

— Tak?

— Nie, u Giorgia — powiedział Andrew. — Byłaś tak pijana, że nie pamiętasz.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— W tym roku — powiedział ktoś — musimy dopłynąć do skały Sereny. — Nie miałem pojęcia, czy to faktyczna nazwa skały, czy aluzja do zabawnej dykteryjki z udziałem jakiejś Sereny, bo nikt mnie nie uświadomił. Siedziałem jak cytryna z drzewka w ogrodzie przy domu na Pyros, jak „krewetka w saganaki” (Tina: „Nie mogę się doczekać — przepita karafką tego wyśmienitego lokalnego rosé”).

— Wszystko to brzmi cudownie — zauważyłem, korzystając z momentu ciszy.

Andrew popatrzył na mnie z ironicznym uśmieszkiem. Alice położyła rękę na oparciu jego krzesła.

— Kawy? — zaproponowała kilka minut później.

— Chłopcy, może przeszlibyście się do parku pokopać piłkę? — odezwała się Tina. Chłopcy odsunęli krzesła od stołu i wstali.

— Paul, a ty? Nie masz ochoty sobie pokopać? — zapytała Phoebe donośnym głosem, z tonu którego nie dało się nic wyczytać.

Obruszyłem się. Co to ma znaczyć? Że towarzystwo nastoletnich drabów jest dla mnie bardziej odpowiednie niż dorosłych?

— Nie wiem, czy Paul przepada za kopaniem piłki — zauważyła Alice.

— Raczej za obijaniem boków — podchwycił Louis.

Zwróciłem uwagę, że Andrew się śmieje. Starczyło mi przytomności umysłu, by podskoczyć i rzucić się na Louisa.

— Ha, ha, bardzo śmieszne — stwierdziłem, chwytając go za neandertalską głowę i szturchając, jakbyśmy byli najlepszymi kumplami, którzy na żarty siłują się ze sobą. Uwolnił się, a gdy szedł po schodach, widziałem, jak pociera rękę. Dupek.

Odczekałem, aż zamkną się drzwi wejściowe, i poszedłem do łazienki na górze.

Na stole w korytarzu stała butelka wina i miałem ochotę potłuc ją na tych tworzących szachownicę, wiktoriańskich płytkach. Zamiast tego zabrałem leżącą obok małą paczkę — prezent zapakowany w bibułę. W dotyku robił wrażenie kostki mydła. Mój tweedowy płaszcz wisiał wśród wielu innych na przeładowanych wieszakach i wsunąłem paczuszkę do wewnętrznej kieszeni. Wątpiłem, czy Alice w ogóle zauważyła pojawienie się prezentu. Dam go matce.

Odwróciłem się. Tina stała na szczycie schodów do piwnicy. Czy widziała? Nie, uśmiechała się, ale jakby z wysiłkiem, i wykonywała nerwowe ruchy rękami, składając i rozchylając palce, jak gdyby coś przecinała.

— Masz poważne zamiary wobec Alice? Przepraszam, ale muszę zapytać.

Odczekałem chwilę.

— Oczywiście.

— I nie zrobisz jej krzywdy, tak?

Zdołałem się powstrzymać.

— Oczywiście, że nie.

Zrobiła krok do przodu i złapała mnie za rękaw.

— Wiem, że nie jesteś człowiekiem, który zwykle... tak, może nie takiego kogoś potrzebuje. Ale... my... cokolwiek się stanie, jakkolwiek to się skończy, przynajmniej nie narób szkód, dobrze?

Skłoniłem się. Zęby miałem zaciśnięte, ale kryłem je za uśmiechem.

— Moje zamiary, zapewniam panią, są najzupełniej honorowe.

Przypatrywała mi się dłuższą chwilę, a potem, jakby zadowolona z tego, co widzi, powiedziała:

— Przepraszam, w ogóle nie powinnam się odzywać. Po prostu Andrew się martwi. Ona zasługuje na szczęście.

— Tak samo jak ty — zauważyłem z przekąsem.

Zdobyłem się na sympatyczny uśmiech i przeszedłem w stronę łazienki, mając nadzieję, że ją zaniepokoiłem.

Jak ona albo Andrew śmiało osądzać, jakim jestem czy byłem człowiekiem? Moje postępowanie to nie ich sprawa. Nie miałem zamiaru ranić Alice, a nawet gdybym miał, nic jej nie będzie. To ona miała dom, znajomych, pieniądze. Za to ja nie miałem nic. Przez resztę wieczoru boczyłem się i z rozpędu, jaki towarzyszył memu świętemu oburzeniu, udało mi się nawet zdeptać w sobie myśl, że Tina być może ma rację.

\* Fragment sztuki Dylana Thomasa w tłumaczeniu Andrzeja Nowickiego i Krystyny Tarnowskiej.



## Rozdział 6

Wszystkie moje myśli krążyły wokół Grecji. Dręczyła mnie jak ból zęba.

Leżałem na wąskim łóżku w domu matki i przewracałem się z boku na bok. Słuchałem odgłosów zabaw dziecka w ogrodzie sąsiadów, stukotu mokrej piłki do swingballa odbijanej od rakiетки, jazgotu yorkshire terriera dwa domy dalej, radia matki, Simona Mayo, i przypominałem sobie czasy dziesięć lat wcześ-niej. Układ z dziewczyną imieniem Saffron. Tanie mieszkanie przy głównej ulicy, rój nocnych klubów („Niech Zeus zwali cię z nóg”), barów z bilardem i irlandzkich pubów, błyski neonów za oknem, zapach smażonych ryb i oleju napędowego, wycie skuterów.

Wykupiliśmy bilety na rejs łodzią i pamiętałem szorstki uścisk na przedramieniu, gdy kapitan pomagał mi wsiadać, kołysanie pokładu, ludzki tłum, kolana i czoła, i opalone dekolty. Zimna, zielona butelka przyciśnięta do warg i muzyka, *Grek Zorba*, głośna, jazgocząca i chrapliwa, którą wywoziliśmy ze sobą z miasta na morze, narastający dźwięk buzuki i woda, z dala od turystycznych mętów, nadzwyczajny akwamaryn: przejrzyste fragmenty między skałami, chwile, gdy widziało się piasek na dnie pięć metrów poniżej i przemykające rybki. I nastolatki w bikini, i cierpki jak zmywacz do paznokci smak retsiny w gardle.

Złe popołudnie, o którym starałem się zapomnieć, powracało w okrucinach — picie i sprzeczka, ręka Saffron w powietrzu, butelka na mojej głowie, nagie nogi innej kobiety.

Otworzyłem oczy i ściany pokoju zamknęły się wokół mnie: pudełko dużych chusteczek higienicznych, które uczynna matka zostawiła na stoliku przy łóżku, trzy zdjęcia „Starego Sheena” w ramkach, przybite nieco za wysoko, mały, bezużyteczny kominek z kutego żelaza pomalowanego lśniąca białą farbą, zielistka w kracie.

Dlaczego miałbym nie mieścić się w planach Alice? Nie jechać na Pyros? Byłem jej chłopakiem. Czy to mi się nie należy? W niedzielę na obiedzie u Michaela gadałem tylko o tym.

— Dziwię się, że masz ochotę jechać — stwierdził Michael. Ubrany w swój niedzielny mundurek, złożony ze spodni od dresu i kapci, zrobił pieczonego kurczaka ze wszystkimi dodatkami, a teraz wybierał resztki z patelni. — Nie lubisz wakacji i nie lubisz wyjeżdżać z Londynu.

— Przyda mi się odmiana. Mam za sobą ciężką zimę. A teraz mieszkam u mamy. Mały wypad byłby mile widziany.

Ann, krępa, niepozorna kobieta, która była zastępcą dyrektora w szkole średniej, zauważyła:

— To wakacje rodzinne. Z definicji będą tam dzieci. — Pokazała na ogród, gdzie jej własne latorośle klóciły się o plastikowy traktor. — Życie rodzinne. Czy nie tak wyobrażasz sobie piekło?

— To nie są małe dzieci — odparłem — tylko nastolatki. Trzech chłopców, dwie dziewczyny — obie siedemnastolatki.

Michael przestał skrobać szkło żaroodporne i spojrział na mnie z uwagą.

— Będą nosić bikini — dodałem.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, potem stropiony popatrzył na żonę. Okazała

irytację, wstając i zapinając guzik džinsów, który rozpięła na czas jedzenia.

— Twoja duma cierpi — orzekła, napełniając zmywarę. — Chcesz dostać zaproszenie tylko po to, żeby móc je odrzucić.

— Nie mogę znieść, że dostałem je tylko raz. Nie powtórzyła zaproszenia od czasu, gdy ze sobą spaliśmy. Nie rozumiem. Zdawało mi się, że jestem dobry w łóżku.

Michael obdarzył mnie pobłażliwym spojrzeniem.

— Jedź z nami do Walii — zaproponował. — Bliźniaki chętnie prześpią się w namiocie z wujkiem Paulem. — Lubiliśmy wyobrażać sobie, że jestem ulubieńcem ich chłopców. — Wiem, że nie przepadasz za spaniem pod gołym niebem, ale o ile wiem, kwatery w Grecji też bywają bardzo skromne. Chodzi mi o toalety.

— Jak znam Alice — zareplikowałem — będą luksusowe.

— Więc, panie Morris — zapytał Michael — co najpierw pociąg-nęło pana w multimilionerze Alice... jak brzmi jej nazwisko?

Odpowiedź przysłała mi do głowy dopiero po chwili.

— Mackenzie.

Widziałem, jak wymieniają spojrzenia — niemal politowania.

— Może ona nie jest świadoma, że chcesz jechać — powiedziała Ann. — Bardzo cię lubię, Paul. Wiesz o tym. — (Tak naprawdę to nie wiedziałem. Znosiła mnie tylko ze względu na Michaela). — Ale nie dajesz dobrych perspektyw na trwały związek.

— Jest dla ciebie za stara! — wtrącił Michael, wstając i obejmując żonę. Zanurzył brodę w jej włosach. — Daj sobie spokój! Znajdź jakąś nową młodą laskę, która zapewni nam rozrywkę.

Wtedy zamilkłem, zły, że nikt mnie nie rozumie, że traktuje się mnie z wyższością. Możliwe, że od dawna grałem rolę hedonisty, a mimo to mnie złościli, jak gdyby nie brali mnie na serio, i pożegnałem się wcześniej.

Na wypadek gdyby Ann rzeczywiście miała rację, postarałem się, żeby Alice wiedziała, że mam ochotę na wyjazd. Bez przerwy robiłem do tego aluzje. W pewien deszczowy wieczór poszliśmy na drinka do modnego baru w Brixton. Na chodniku leżały przemoczone wieńce z kwiatów. Brezent nad wejściem uginał się pod ciężarem wody i nią ociekał.

— Angielska pogoda — zauważyłem, gdy zdejmowaliśmy płaszcze. — Czyż nie jest okropna? Gdybyśmy mieli zagwarantowany chociaż miesiąc, ba, nawet dwa tygodnie słońca, byłibyśmy szczęśliwszym narodem.

— Witamina D — stwierdziła Alice.

Przybrałem żaloszny ton:

— Ty to masz farta. Jedziesz do Grecji. Nie wiem, jak ja to zniosę.

Pudło.

— Biedactwo — powiedziała.

W sobotę tydzień później spotkałem się z nią na kawie w Covent Garden. Kupowała prezenty na urodziny Phoebe i zaczęła pokazywać mi rozmaite fatałaszkę — falbaniasty top i krótką džinsową spódniczkę, sztruksowe szorty nabijane złotymi ćwiekami, kusą pomarańczową kamizelkę, wreszcie *pièce de résistance*: bikini! Zielone, z żółtymi palmami i różowymi parasolkami; w stylu lat pięćdziesiątych, wiązane na szyi,

za to zaopatrzone w porządnie wypchane miseczki. Jak na mój gust niezbyt seksowne.

— Bardzo ładne — wyraziłem swoje uznanie. — Kupiłaś dla siebie?

— Nie wygłupiaj się. — Dała mi po łapach.

— Dla Phoebe na Pyros?

— Jasne. Wyposażenie na wakacje pod płaszczykiem urodzin.

Nie mam wstydu. Wbiłem w nią spojrzenie.

— To kto jedzie w tym roku?

— Yvonne i Karl zamieszkają w hotelu, więc w domu będziemy sami.

— Będziecie sami — powtórzyłem.

— Będzie sporo sprzątanina.

Przytuptała kelnerka, słodka kruszyna w czarnej minispódniczce, i Alice zapłaciła rachunek.

— Wpadniesz do Clapham na obiad? — Mrugnęła sugestywnie.

— Jestem w transie, to znaczy w temacie pracy — zbyłem ją chłodno i czmychnąłem. Potem tego pożałowałem. Na obiad kupiłem kanapkę w Subwayu na Victorii. Żalösne.

Później były okazje do nadrobienia strat. Nie warto się dąsać. Trzeba było nasilić atak, który jednocześnie musiał się stać mniej natarczywy. Po kilku dniach wpadł mi do głowy pewien pomysł. Matka zniosła worki z moimi rzeczami ze strychu i zostawiła je na podłodze w pokoju. Myszkowałem w nich, aż znalazłem, splątana z kradzionym hotelowym ręcznikiem, fioletową koszulkę, którą przywiozłem z Elcondy. Czarne litery o wyszczerbionych konturach tworzyły napis „Niech Zeus zwali cię z nóg”.

Włożyłem ją pod sweter przy następnej wizycie w domu Alice. Byliśmy na górze w jej sypialni i urządziłem powolny striptiz, tańcząc disco i rozbierając się, aż zostałem w koszulce z Zeusem i bokserkach.

— Zaraz zwalę cię z nóg — zapowiedziałem, przyciskając ją do toaletki.

— Przestań, przestań! — krzyczała. — Nie cierpię tej koszulki. Przypomina mi tamten dzień. Byłeś taki pijany, tak... okropny!

— Boże, ale bosko wyglądałaś w bikini — wyznałem, nie przestając się kręcić i wędrować rękami po jej ciele. — Tylko na tym mi zależy.

— Paul, nie bądź głupi.

Przełom nastąpił dopiero w pierwszym tygodniu czerwca. Michael odstąpił mi parę gratisowych biletów do teatru, których nie mogłem wykorzystać. Sztukę, satyrę polityczną rozgrywającą się w byłej Jugosławii, wystawiano w National w Southbank i tam też umówiłem się z Alice od razu po pracy.

Była zdenerwowana i roztargniona. Jednego z klientów czekała deportacja i gdy się pojawiłem, rozmawiała przez telefon. Dopiero w antrakcie dodzwoniła się tam, gdzie potrzebowała. Siedzieliśmy na dolnych stopniach krótkich schodów pomiędzy poziomami. Wyjadałem lody malutką, plastikową łopatką, czekając, aż skończy. Musiałem się raz po raz odsuwać, żeby przepuścić ludzi. Rozłączyła się i ciężko westchnęła.

— Bez szans — powiedziała.

— Biedna, stara Alice. Naprawdę należy ci się odpoczynek.

— To nie nade mną trzeba się litować.

— Do wakacji już niedaleko. — Było mi gorąco w marynarce. Pamiętam, jak myślałem, że powinienem być ją zostawić na siedzeniu. — Może wtedy uda ci się o tym nieco zapomnieć.

— O niczym nie zapomnę — odparowała. Wertowała program i pokazała na zdjęcie odtwórcy głównej roli. — Wiedziałam, że skądś go znam. Gra w *Na sygnale*.

— Serial, którego nigdy nie oglądałem i nie zamierzam oglądać.

— Dla ciebie oczywiście za mało ambitny. — Miała ponury, ciężki głos. — Paul Morris zaszczyca swą uwagą *Na sygnale*, akurat! — Rzuciła program na bok. — Przykro mi. Jestem zmęczona. Nie. Za dużo będzie roboty. U-Haul zabierają we wrześnie meble, ale z szaf trzeba sprzątnąć ubrania, z kredensów jedzenie — przez dziesięć lat wszystko po prostu zostawialiśmy. — Westchnęła. — Mogłabym im to wszystko zostawić — równają cały teren, więc mogliby zrównać z ziemią dom. Ale... tak jak każda okropna Angielka uważam, że trzeba zostawić po sobie porządek. O Boże, trzeba się jeszcze zająć Hermesem.

— Hermesem?

— Starym pikapem, częścią wyposażenia domu. Hermes to bóg szybkości — nazwa jest oczywiście ironiczna. Od lat zepsuty. Mogłabym sprzedać, gdybym tylko mogła go uruchomić.

Rozległ się dzwonek na drugi akt. Teraz albo nigdy. Poczulem zawrót głowy.

— Potrzebujesz — stwierdziłem — zawodowego mechanika.

— To prawda. O ile znajdę takiego na Pyros. Ktoś taki musi chyba istnieć.

— Albo seksownego i przystojnego mężczyzny, który pobrudził sobie ręce w czasie wakacji na studiach, pomagając w -McCoy & McCoy Motors Ltd, najlepszym serwisie samochodowym w Mortlake. Przeglądy i ogólne naprawy.

— Naprawdę?

— Nie ma naprawy za dużej i za małej.

Zachichotała tak spontanicznie, jak dawno już u niej nie słyszałem.

— Żartujesz sobie. Na pewno tylko żartujesz.

Wstałem.

— Często, gdy czekasz w aucie. — Narysowałem w powietrzu cztery kółka.

— Czy chcesz powiedzieć, że naprawisz mi pikapa? — Wykonała w powietrzu ten sam gest.

Wzruszyłem ramionami i włożyłem ręce do tylnych kieszeni spodni.

— Być może mylisz się co do mnie. Może nie jestem znowu aż taki ambitny.

Podniosła się. Stanęła na stopniu nade mną i nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie.

— Wiem, że mówimy wszyscy, jaka to będzie zabawa, ale to nie jest prawda. Będzie mi smutno, że wyjeżdżam. Poza tym to dziesiąta rocznica zaginięcia Jasmine. Yvonne i Karl... wcale nie będzie tak różowo. Niekoniecznie będziesz się świetnie bawił.

Usłyszeliśmy drugi dzwonek. Ująłem ją za łokieć i poprowadziłem w stronę sali. Na moich ustach malował się uśmiech.

Gdy dotarliśmy do końca swojego rzędu, odwróciła się i znowu na mnie popatrzyła.

Mężczyzna w starszym wieku i dwie młodsze kobiety wstały, zabierając z przejścia płaszcze i torebki. Alice ciągle stała tyłem do nich. Nie poruszała się.

— Wchodzę w to — oświadczyłem.

Przypatrywała mi się przez chwilę, która wydawała się długa, by w końcu się pochylić.

— Dobrze — wyszeptała. — Cieszę się. — Musnęła mnie ustami, a potem odwróciła się i drobnymi kroczkami zaczęła posuwać się wzdłuż rzędu przede mną.

Poszedłem za nią, niezdarnie przedzierając się bokiem. Potknąłem się o jakiś płaszcz, uśmiechnąłem do jednej z kobiet, zachwiałem się, skrzywiłem, przeprosiłem. Musiałem wyglądać jak ktoś niemieszczący się tutaj, słoń w składzie porcelany. Ale miałem ochotę wznieść się w górę. Wygrałem.

## Wrzesień 2015

W nocy źle spałem. Swędzenie robi się nieznośne. Całe przedramię mam czerwone i rozpalone, za to kawałek w połowie długości, tam gdzie jest ukąszenie, jest blady i twardy, sama rana niemal zupełnie obrosła już ciałem. Straciłem tam całe czucie — jakby pod skórą wyrosła mi pestka od brzoskwini. Drapałem się tak mocno, że mam pod paznokciami krew. Przez ten cykl — piekący ból, potem świąd, znów pieczenie — odchodzę od zmysłów.

Pewnego poranka dopuszczono do mnie więziennego lekarza, mężczyznę w średnim wieku o dużych dłoniach i głębokich bruzdach na twarzy. Nie znał za bardzo angielskiego, a moja greka jest niewiele lepsza, ale wyczuwalne od niego współczucie mało nie doprowadziło mnie do łez. Dał mi krem na infekcję — zapewne antybiotyk — i maść na łuszczycę rąk i twarzy. Pokazał, co mam robić: maźnięcie grubym końcem ogromnego palca i dalsze pocieranie, jakby myło się okno. Ale nie wiem, gdzie podziały się te lekarstwa.

Tutaj wszystko bez przerwy znika. Rozłożyłem łóżko na części w poszukiwaniu kremu, wyrzuciłem na materac zawartość jedynej płaskiej szuflady. Gdy na próżno grzebałem w niewielu zgromadzonych tam rzeczach, przypominało mi się pakowanie na wakacje, staranność, z jaką dobierałem każdy przedmiot — białą koszulę, chinosy, parę znalezionych na wyprzedaży vansów. Zamierzałem zabrać fioletową koszulkę, tę z klubu Zeus. Włożona w odpowiednim momencie, mogłaby rozbawić towarzystwo. Ale nie mogłem jej znaleźć.

Wspominałem, ale nie kawalerkę w Bloomsbury ani rodzinny domek w Clapham. W myślach powracam do matki w East Sheen: mały pokój z oknem na ogród, zamalowany kominek, zielistka na niewielkiej kracie. W wyobraźni pokój jest pusty.

## POTEM

### Rozdział 7

Zbudził mnie żar, pieczenie słońca na powiekach, przenikające do skóry przez ubrania. W krzyżu zbierał się pot. Pod głową miałem sportową torbę i czułem, jak suwak wbija mi się w czaszkę, a jakiś sztywny przedmiot — kosmetyczka — w kark.

Rozprostowałem nogi, obróciłem się i usiadłem, oczy przyzwyczajały się do otoczenia. Było jeszcze wcześniej, ale światło z mocą przebijało się przez korony platanów, a niebo miało barwę indygo. W powietrzu unosił się aromat świeżego chleba, eukaliptusa, anyżku i czegoś mniej przyjemnego — moczu. W oddali grzechot podnoszonych sklepowych żaluzji, warkot motoru. Jakaś starsza kobieta po drugiej stronie ulicy gapiała się na mnie.

Autobus cały czas stał w zatoczce. Wczoraj wieczorem robił wrażenie fantazyjnego, niebiesko-biały jak flaga zwycięstwa. Teraz, trzeźwy i przy dobrym świetle, widziałem rdzę nad kołami i obryzgane okna. Wszystkie miejsca były wciąż puste, z fotelem kierowcy włącznie.

Tarłem twarz, starając się rozmasować odciski torby na policzkach. W głowie pulsowało. W ustach swędziało od nikotyny i anyżku, czułem w nich kwaśny posmak. Czy jeszcze za wcześ-nie na kolejnego drinka?

\*

Podróż była bez sensu, powalający absurd. Alice kazała mi „zajrzeć na FlyBest” i zabukować lot liniami Thomas Cook wcześniej rano w niedzielę. Samolot British Airways wylatywał o rozsądniejszej porze, ale był znacznie droższy, a dzięki nieprzespanej nocy, nawet przy dwugodzinnej różnicy czasu, „przed podwieczorkiem będziemy już w basenie”.

— Powinieneś znaleźć coś za pięćset funtów — mówiła. — Trochę zdrożały, odkąd robiłam rezerwację. Ale przynajmniej przylecimy razem. Andrew wynajął minivana, który zawiezie nas do domu. Na pewno cię gdzieś upchamy.

Po teatrze poszliśmy do łóżka i leżała pod moją ręką, miękkie usta przywarły do ramienia, palce głaskały pierś.

— Tak zrobię — mruknąłem, ciesząc się, że nie widzi szoku malującego się na mojej twarzy. Nie przyszło mi do głowy, że lot będzie taki drogi. Zamierzałem poprosić Michaela o pożyczkę, ale nawet ja wstydzilibym się sępić o takie kwoty.

Nazajutrz zajrzałem na FlyBest. Lot Thomasem Cookiem kosztował sześćset osiemdziesiąt dwa funty, British Airways — tysiąc dwieście. Po przewinięciu paru stron znalazłem coś tańszego. Diabeł tkwił w szczegółach. W rubryce „Czas trwania” „Bezpośredni 05h10” zastąpiło „2 przesiadki 17h40”. Samolot wylatywał z Heathrow siedem godzin przed Thomasem Cookiem, o dziesiątej w sobotę wieczór, i lądował pięć godzin po nim, za dwadzieścia szósta w niedzielę po południu — i dziesięć minut po BA z Londynu. Zabukowałem.

— BA? — zdziwiła się Alice, lekko podenerwowana, gdy jej o tym powiedziałem.

— Rano mam spotkanie z amerykańską redaktorką. Tylko wtedy ma dla mnie wolną chwilę. Mógłbym odmówić, ale...

— Nie, oczywiście nie powinieneś. — Zastanowiła się. — Nie ma sensu, żebyś wynajmował samochód. Jeśli nie jedziesz z nami, będziesz musiał wziąć taksówkę do Pyros. To bite dwie godziny drogi i będzie cię kosztować co najmniej dwieście euro.

Już wygooglowałem, że zdążę na ostatni autobus z lotniska.

— Do diabła z kosztami — wypaliłem. — Przed podwieczorkiem będę już w basenie.

Z początku szło zgodnie z planem. Wyjeżdżałem z Londynu w deszczowy, sierpniowy wieczór na samolot o dziesiątej do Monachium, który znalazł się na miejscu za dziesięć pierwsza w nocy czasu lokalnego. Noc spędziłem w hali odlotów i nad ranem poleciałem do Aten, gdzie wczesnym popołudniem miałem złapać połączenie dalej. I tu zaczęły się kłopoty. Samolot Aegean Airlines, którym lot miał potrwać jedynie pięćdziesiąt pięć minut, miał awarię i w końcu wylądowałem na Lotnisku Międzynarodowym Ionnasisa Vikelasa w Pyros kwadrans po dziesiątej w nocy, niemal pięć godzin później, niż zamierzałem, spóźniony na ostatni autobus.

Oparłem się o ścianę przy zamkniętym punkcie Avis i zadzwoniłem do Alice. Towarzyszył mi dreszcz narastającego kłamstwa. Sumitowałem się, że nie odezwałem się wcześniej — wielokrotnie próbowałem zadzwonić: nie miała sygnału?

— Przeważnie miałam — odpowiedziała zimno.

Brnąłem dalej. Mówiąc krótko, nastąpiła mała zmiana planów. Dzwoniłem z wydawnictwa. Redaktorka z Ameryki, przez którą zostałem dłużej w Londynie, kazała mi czekać aż do popołudnia. Tak że nici z biletu na BA i „przylecę jutro wcześniej rano”.

— Było warto. Wszystko ci opowiem, kiedy się zobaczymy.

Ton Alice złagodniał, gdy zorientowała się, że się nie wymiguję. Było jej smutno, ale rozumiała.

— Wszyscy cię pozdrawiają — powiedziała na koniec.

Rozłączyłem się i energicznym krokiem, pod wpływem euforii z powodu niespodziewanie uzyskanej swobody, puściłem się żwawo drogą z lotniska w stronę obrzeży miasta Pyros. Na tle ciemnoniebieskiego jak neon nieba jasno rysowały się drzewa i budowle. W powietrzu, nawet tak blisko pasa startowego, unosiła się ciepła woń oregano i mięty. Światła i szum, i zapach skwierczącego na rożnie mięsa doprowadziły mnie płataniną dróg do czegoś, co wyglądało na centrum. Minałem szereg tawern dla turystów, gdzie rozwrzeszczane kobiety o spalonych ramionach oklaskiwały trupę pstrykających palcami „tradycyjnych tancerzy”, i trafiłem na mały, mroczny i bezimienny bar, w którym, jak sobie wyobrażałem, stołowali się autentyczni Grecy. Nie pamiętam wiele z tego, co działo się później, tyle tylko, że piłem mnóstwo ouzo, czarowałem jakieś śliczniutkie młode dziewczęta, a nad ranem jeden z prawdziwych lub wyobrażonych Greków wyprowadził mnie do niebiesko-białego autobusu i złanej moczem ławki, na której teraz siedziałem.

Wsiadłem wcześniej, zaraz po pojawieniu się kierowcy, i zająłem miejsce blisko przodu. W miarę wypełniania się autobusu rosła temperatura — starsza kobieta o pałakowatych nogach i zepsutych zębach, najarana para Australijczyków, skupiony



młodzieniec w dżinsach z ozdobnymi suwakami. Siedzący po drugiej stronie przejścia mężczyzna o tłustych włosach miał czarny garnitur i skórzane sandały, spod których widać było grube, brudne paznokcie, zakręcone do góry jak tradycyjne obuwie Greków. Postanowiłem podzielić się tą obserwacją z Alice: spodoba jej się. Chętnie się z nią zobaczę, szczególnie po tajemnej eskapadzie. Tęskniłem za nią.

Autobus ruszył o dziesiątej z wielkim rumorem i grzechotaniem. Wydostanie się z miasta trochę trwało. Stękaliśmy i bujaliśmy się wśród licznych aut i turystów; kierowca przyspieszał i zwalniał, gestykulował i trąbił. Wsiadło więcej pasażerów; w pewnej chwili kierowca wysiadł, aby nakrzyczeć na jakiegoś innego. Ale w końcu gąszcz lokali fast food (McChicken, Kojax Burger) i supermarketów w amerykańskim stylu (OK, Super Buy) ustąpił miejsca marmurowym domom towarowym i magazynom budowlanym, ryk silnika ucichł i ruszyliśmy z kopyta.

Nie byłem do końca pewien, ile potrwa jazda — dwie godziny taksówką może oznaczać cztery autobusem. Znudził mnie -Dick-ens, którego wzięłem w podróż (*Barnaba Rudge*), a nie czułem się na siłach, by czytać *Z zimną krwią* Trumana Capote'a, do którego zamierzałem się zabrać przy basenie. W torbie miałem przewodnik po Pyros, pożegnalny prezent od Michaela, i teraz zdjąłem go z półki na bagaże.

Kiedy ostatni raz przyjechałem na Pyros, wiedziałem o wyspie tak niewiele, że z mojego punktu widzenia mogłaby z równym powodzeniem leżeć gdzieś na Atlantyku. Ku swemu zdumieniu przeczytałem, że znajduje się na zachód od lądu, a nie na południe, gdzie, jak mi się zdawało, stłoczyły się wszystkie wysepki. Mapa na wewnętrznej stronie okładki pokazywała masę lądu w kształcie wydłużonej tykwy, a z „Faktów w skrócie” dowiedziałem się, że liczy osiemset kilometrów kwadratowych powierzchni i jest tym samym największą z Wysp Jońskich, o ludności większej niż Kefalinia czy Korfu, jej bliska sąsiadka. Turystyka skupiała się głównie na południu, natomiast na bardziej górzystej północy, w „stromych wąwozach, na pełnych kóz zboczach i w małych wioskach rybackich” można było się jeszcze zetknąć z „bardziej tradycyjnym życiem na Pyros”. Była znana z zagrożonych gatunków: europejskiej kuny leśnej i mniszki śródziemnomorskiej, *Monachus monachus*, „żyjącej w jaskiniach na brzegach wyspy, szczególnie tych niedostępnych dla ludzi”.

Wyjrzałem za okno. Zaczynało mnie mdlić. Dojeżdżaliśmy do Elcondy — gdzie, jak przekonałem się na własnej skórze, ludzie mieli aż nadto łatwy dostęp. Posuwaliśmy się główną ulicą, zabudowaną lokalami do „bingo za gotówkę” i irlandzkimi pubami. Odłożyłem przewodnik i przycisnąłem twarz do szyby: niczego tu nie poznawałem. Autobus zakręcił na parking i zatrzymał się, rzucając pasażerami. Australijczycy i młodzieniec w dżinsach z suwakami wysiedli, a do środka wskoczył mężczyzna z ogoloną głową trzymający torbę podróżną.

— Jedziesz na plażę ze wschodem słońca, kolego? — zwrócił się do kierowcy. Mówił z akcentem z okolic Newcastle.

Kierowca skinął głową.

— Ekstra. Dzieje się więcej niż w samym Pyros? Byliśmy tam wczoraj wieczorem. Zupełny spokój, a my wolelibyśmy się nieco zabawić.

— Bardzo ładna plaża. — Kierowca wzruszył ramionami.

— Można rozbić namiot?

Kierowca zamachał rękami, co chłopak uznał za potwierdzenie.

— Ekstra — powtórzył i dał znak czekającym za jego plecami znajomym.

Wsiadło ich sześciu, może siedmiu, i przepchali się na tył autobusu. W reklamówkach brzęczały butelki piwa Mythos. Z jednego telefonu dudnił rap. Dziewczyna wyglądająca jak Rita Ora, z czerwonymi ustami i platynowymi włosami, zmyślnie zawiniętymi na głowie niczym baranie rogi, stanęła w przejściu, głośno narzekając na rozwalony kłapek:

— To przez ciebie, kutasie, nadepnąłeś mi na nogę. Będziesz musiał kupić mi nowe.

— Siadaj, Laura. — Chłopak z łysą głową posadził ją sobie na kolanie i dziewczyna zapiszczała. Wstała z powrotem.

— Odpieprz się.

Obróciłem głowę w ich stronę i mnie zauważyła.

— Cześć — zawołała zbyt poufałym tonem. — Jak się czujesz? — Usiłowałem porozumiewawczo mrugnąć, co nie do końca mi wyszło.

Mężczyzna z brudnymi paznokciami zaczął pomrukiwać. Nie spodobały mu się wrzawa i muzyka. Odwróciłem się do okna. Na słupie latarni tuż przy mnie wisiał duży arkusz laminowanego papieru z dwoma zdjęciami — uśmiechnięta czternastoletnia Jasmine i komputerowy portret dwudziestoczterolatki. „-WIDZIELIŚCIE TĘ KOBIETĘ?” Plakat wyglądał na nowy. Drobniejszym drukiem napisano: „Młoda Angielka zaginiona w 2004 roku. Jasnobrązowe włosy, niebieskie oczy. Znak szczególnie: blizna na prawym barku”. Łagodne mdłości, kotłujące się gdzieś w trzewiach, narastały. Zapomniałem o Jasmine. Przypomniały mi się ostrzeżenia Alice. Rocznicę. Rodzice. Boże, atmosfera będzie daleka od wakacyjnej. Po staraniach, by się tu dostać, miałem nadzieję, że nie zepsują mi zabawy.

Po drodze na północ zrobiliśmy jeszcze kilka przystanków. Było coraz bardziej zielono, wyrastały kolejne lasy. Ludzie wysiadali. Zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawę, mimo że raz po raz zapadałem w drzemkę — usypiany falowaniem okolicy i oślepiającym blaskiem słońca. Gdy w końcu otworzyłem oczy, zostałem w autobusie sam. Zjeżdżaliśmy w dół. Po obu stronach rosły powykręcane drzewa oliwne, ziemię okrywała czarna siatka. Wyglądały jak mumie.

Autobus stanął. Kierowca wstał i się przeciągnął. Nacisnął coś i gdy drzwi się otworzyły, kiwnął na mnie podbródkiem.

— Agios Stefanos — oznajmił.

Musiałem zrobić zaskoczona minę. Miałem wrażenie, że autobus zatrzymał się na poboczu w środku pustyni. Przy drodze cały czas rosły oliwki, kładły się pstrokate cienie i paliło słońce w zenicie. Ani śladu zatoki czy łodzi. Bez tawern. „Agios” ani widu, ani słychu.

Złapałem bagaż oraz płaszcz z półki i wysiadłem. Kierowca stał oparty o pojazd i rozmawiał przez komórkę. Przy drodze znajdowała się mała kapliczka: zbiorowisko świec i ikon. Fotografia jakiegoś młodego człowieka stała oparta o słoik ze zwiędłymi kwiatami. Po drugiej stronie jezdnii był zakręt i duży drogowy znak: „Klub Piżmowy Delfinos” — ośrodek będący własnością deweloperów, którzy wykupili ziemię Alice.

Tu zaczynała się droga, którą opisała mi w esemesie Alice, ale nie miałem po co się spieszyć. Zapaliłem papierosa, pomachałem kierowcy i ruszyłem stokiem w przeciwnym kierunku. Chciałem zebrać trochę informacji z niezależnych źródeł, zorientować się w sytuacji, znaleźć miejsce, gdzie można kupić papierosy, a może nawet dyskretnego drinka do poduszki.

Staralem się w miarę możliwości trzymać cienia, co oznaczało rów przy niskim ceglany murku. Droga świeciła pustkami i mogłem sycić się samotnością. Sen wyszedł mi na dobre. Byłem na wakacjach i nic temu nie przeszkodzi, nawet zaginiona dziewczyna. W powietrzu rozbrzmiewał nieustanny chrobot cykad. Jezdnia usłana była kłębkiem wyschniętych czarnych węży. Potem oliwki i czarna siatka ustąpiły miejsca różnorodnym zaroślom i drzewom, czterem kozom na łańcuchach, pasącym się na kępie gęsto rosnącej trawy, i wreszcie zabudowaniom: paru letnim willom, potem kilku wiejskim chałupom z białej cegły, zagonkom warzyw, kwiatkom w doniczkach, chudym kotom w czarno-białe łaty, psu uwiązany na sznurku do słupka i wściekle szczekającym.

Minąłem zdechłego kociaka, leżącego z rozłożonymi łapami na skraju drogi, a nieco dalej starą kobietę, siedzącą przy otwartych drzwiach na rozkładanym plastikowym krześle. Po podwórku kręciły się kury. Uśmiechnąłem się i przywitałem, wyobrażając sobie, jaki ze mnie wesoły facet. Tylko gapiła się bez słowa. Niedługo potem zszedłem z głównej drogi na wąską ścieżkę w prawo. Dreptałem po nierównych stopniach między zbudowanymi blisko siebie, pobielonymi ścianami, od których odbijał się żar, a słońce i błękitne morze migotały przez luki między budynkami. Aromaty ciepłego chleba i zsiadłego mleka, świeżo usmażonego czosnku, piekącej się baraniny. Znowu koty, wylegujące się po bokach stopni jak ryby suszące się na słońcu. Przejście się rozszerzyło, skręciłem za węgiel i oto miałem przed sobą kilkadziesiąt stromych stopni w dół, wiodących do jakiejś wąskiej drogi dojazdowej. Rów melioracyjny poprowadził mnie między dwoma budynkami, za którymi nastąpiła eksplozja światła i wybuch dźwięku — dotarłem do wody.

Ładna zatoka, przy której rozmieszczono sklepy i tawerny. Postawiłem torbę na ziemi. Czy wyglądało to znajomo? Czy przed dziesięciu laty nasza łódź przycumowała do tego akurat pontonu? Pamiętałem szpary między deskami, oleistą wodę poniżej, pąkle z dziurkami jak gnijące korale, słony odór psujących się ryb. Już to widziałem: bezruch morza, jakby po trosze stężałego, i masyw łądu widoczny na horyzoncie po drugiej stronie cieśnin albańskich. Ale jak spędzaliśmy z Saffron czas? Pływaliśmy, to na pewno. Ale gdzie? Czy wdrapaliśmy się po skałach i wypatrzyliśmy zaciszną zatoczkę? Czy też brodziliśmy, oddalając się od obryzanej smołą plaży?

Pamiętam jedną sprzeczkę, podniesiony głos Saffron, gadkę o zobowiązaniu, rzuconą butelkę. Inną kobietę. Nagie ciało w pokoju na parterze, zamknięte żaluzje. Czy może to jakiś inny dzień?

Odłamki obrazów.

Ująłem torbę i przeszedłem na drugi koniec szeregu sklepów, tam, gdzie droga się rozszerzała. Jakiś mężczyzna sprzedawał żywe kury, które trzymał na pace furgonetki, zachwalając towar przez głośnik. Dwie kobiety w szortach i słomianych koszach na

ramionach oglądały coś na wystawie niedużego marketu.

— Co za wstyd — odezwała się jedna z nich donośnym głosem po angielsku. — Zawsze mówiłam, że to sprawka matki.

Podszedłem bliżej. Pomiędzy nadmuchiwany materacem w tęczowe paski i czarnym rekinem wisiał kolejny plakat z Jasmine. Jedna z kobiet dziwnie na mnie spojrzała. Wycofałem się.

U Nico, w najbliższej tawernie, zachwalano greckie specjały, kuchnię rodzinną, śniadania, jogurtowy miód, musakę i kalmary. Za jadalnią rozciągał się szeroki taras wybudowany ponad wodą, gdzie przy kwadratowych stołach z białymi obrusami pod porośniętą winem markizą siedziały różne grupki. Słońce wpadało przez przerwy w roślinności, dalej łyssało turkusowe morze. Wahałem się przez chwilę, czy mogę pozwolić sobie na kawę i „jogurtowy miód”, ale powstrzymał mnie obraz przechodzącego Andrew. Już słyszałem, jak szydzi moim kosztem: „Raczy pan nas zaszczyścić?”. Zresztą po co wydawać forszę, skoro nie muszę?

Zawróciłem, tym razem wychodząc ze wsi główną drogą, znowu mijając staruszkę na plastikowym krześle i biedne zdechłe kocię, skupisko domostw i ogródków warzywnych, i docierając do punktu, gdzie wysadził mnie autobus. Niedaleko zaczynała się droga do Domu Kirke. Była wąska i zapuszczona. Koleiny zasypano bryłami ziemi, a krzaki po bokach wyglądały tak, jak gdyby ktoś je siekł i gniótł, jak po przejeździe ciężkiego sprzętu. Pokonanie jej zajmuje dobre dziesięć minut. Wiodła przez oliwny gaj, za którym drzewa zaczęły rzednąć, skrobanie cykad stało się głośniejsze, niebo bardziej błękitne, a żar słoneczny bardziej natarczywy. Wietrzyk niósł zapach oregano, ciepły i ziemisty. Brzęczały olbrzymie pszczoły.

Byłem niemal na grzbiecie wzgórza, gdy moim oczom ukazała się brama, a za nią przeorane pole, żółta koparka i czerwony dźwig w jednym rogu, a w środku podłużna połać betonu, z którego sterczały metalowe słupy. Uparcie czekał niewidoczny pies na łańcuchu. Plac budowy — czyli już blisko. Droga ostro skręciła w prawo i stała się bardziej stroma, pnąc się w stronę skupiska budowli. Jakiś wysoki człowiek w pomarańczowej koszulce i czapce przycinał żywopłot. Pozdrowiłem go, na co położył sekator na ramieniu i wbił we mnie wzrok. Miał blond zarost i bardzo jasne niebieskie oczy. Poszedłem w swoją stronę, starając się nie oglądać.

Na końcu drogi stała otwarta brama, a za nią znajdowało się poletko porośnięte zdziczałą trawą, zaniedbana przestrzeń bez organizacji, okolona rozchwierutanyimi budynkami gospodarczymi: podupadłą murowaną budowlą, zarośniętą bluszczem, rozpadającą się szopą pokrytą blachą falistą i długim, wąskim, niskim bungalowem, pomalowanym na brzoskwiniowo i przyduszonym dachówkami.

Na wstępie poczułem zawód. Nie tego się spodziewałem. Raptem poczułem tęsknotę za domem, jak często po przyjeździe w nowe miejsce. (Chociaż wtedy byłem akurat bezdomny i nie miałem tak naprawdę za czym tęsknić).

Nigdzie żywego ducha. Nie ma samochodu. Okna z żaluzjami, drzwi wejściowe zamknięte na klucz. Zacząłem trochę myszkować, żeby przedostać się do środka, i wtedy zauważyłem małą ścieżkę dookoła domu prowadzącą na szeroki taras, podzielony na części meblami — ławkami i wiklinowymi fotelami, oraz doniczkami z lawendą. Był

wystawiony na słońce — a widok z niego zapierał dech w piersiach. Z nieba lał się żar. Morze zaczynało się bliżej, niż sądziłem — najwyraźniej pokonałem po drodze jakiś cypel — i miałem przed oczami szerokie pasma w nienaturalnych odcieniach akwamaryny, kobaltu, szafiru, wykropkowaną linię białych chmur nad widnokretem, wszystko w ramach ciemnozielonych cyprysów. Stałem i chłonałem krajobraz. Czyli o to chodziło w tym domu. Dzięki temu stawał się tak szczególnym miejscem.

Z tej strony dom sprawiał wrażenie bardziej zadbanego. Białe ściany, choć tu i ówdzie łuszczące się. Zajrzałem przez okno i zobaczyłem jakąś sypialnię, pokój stołowy, jeszcze jedną sypialnię. Większość pomieszczeń została zamknięta, ale w połowie długości ściany pchnąłem małe, niebieskie drzwi, które się otworzyły.

Wzrok przywyczałał się przez chwilę. Znajdowałem się w kuchni, dość prostej, z kamiennym zlewem i staromodną gazową kuchenką. Garnki wisiały na okrągłym, żelaznym stojaku. Na drewnianym stole rzeźnickim leżała torebka z tkaniny w geometryczne wzory, modne w latach sześćdziesiątych, portmonetka i paczka chusteczek higienicznych, które się z niej wysunęły. Na terakotowych płytkach podłogi widać było mokre ślady stóp.

Zawarczała lodówka.

— Jest tu kto? — zawołałem, wstając.

Bez odpowiedzi. Znowu poczułem dojmujący zawód, rozczarowanie. Zdawało mi się, że nie będzie się mogła mnie doczekać, że mój przyjazd będzie czymś szczególnym. Ale nikt na mnie nie czekał. Nie było wrzawy na powitanie, pysznego obiadu, zimnego drinka. Zupełnie jakby nikt się mnie nie spodziewał.

Wyszedłem i stanąłem na tarasie. Z nieba lał się niemal oślepiający żar. Ogród opadał w dół zbocza szeregiem skalnych teras z kępami lawendy, białego hibiskusa i jakiegoś krzewu o różowych kwiatach. A dalej spadek w szmaragdowy cień, błysk turkusy i jasny róg kremowej parasolki.

Pozostawiłem torbę na tarasie i ruszyłem ścieżką, częściowo kamienistą, częściowo z cementu. Z gałęzi zwisały objijające się o siebie płyty kompaktowe — dla odstraszenia ptaków. Cykady chrzęściły głośniejsze, wielka fala zgodnego wrzasku, jakby wiedziały coś, o czym nie miałem pojęcia. Pod stopami szeleściły drobne, podwinięte, zwiędłe listki. Nadleciała bryza; w jakimś celu bzycały muchy. Panował hałas, to zapamiętałem, nieustający hałas, który zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Człowiek mógł zjawić się zniemacka, niezauważony. Nie słyszało się kroków.

Mnie z pewnością na razie nikt nie słyszał.

W końcu okazało się, że są na miejscu.

Po zejściu ze schodów stanąłem w cieniu figowca i ogarnąłem wzrokiem widok. Przypomniały mi się obrazy Hockneya. Basen stanowił geometryczny układ rombów, białych zygzaków. Leżące nieruchomo ciała. Poznałem obie nastolatki o wąskich plecach wyprężonych nad figami bikini, włosach na twarzach, odsłoniętych różowych udach. Za nimi, najbardziej oddalone ode mnie, dwie postacie. Andrew rozłożył się na leżaku w ciemnoniebieskich kąpielówkach, kapeluszu panama na głowie i z książką w ręku. Alice przysiadła bokiem na brzegu następnego leżaka, pochylona, z ręcznikiem narzuconym na ramiona. Andrew skupiał wzrok na książce, ale brodę miał przechyloną

i do dziś dnia nie mam pewności, czy to odbicie wody na jego twarzy, marszczącej się i krzywiącej, kazało mi myśleć, że nie czyta, tylko po cichu z nią rozmawia.

Jak długo tak stałem i przyglądałem się? Dłużej, niż wypadało. Liść figowca, oderwany przez wiatr, zaszeleścił na gałęziach. Postąpiłem do przodu. Alice uniosła wzrok. Po chwili zobaczyłem, jak poruszają się jej usta, a Andrew opuszcza książkę. Nastolatki zmieniły pozycje. Przez mgnienie oka nikt się nie ruszał.

Masowałem dłonie, łagodząc otarcia od pasków, i oznajmiłem wszem wobec, jakbym witał samego siebie:

— Dzień dobry!

Alice zerwała się, ręcznik opadł z jej ramion. Miała na sobie bikini — z Topshopu, które pokazywała mi w kawiarni, udając, że to dla Phoebe — więc szybko poprawiła paski na karku i wsadziła palce pod pasek pod biustem. Andrew, nie podnosząc się, uniosł dłoń, napinając łokieć, z wyprostowaną dłonią, jak gdyby zatrzymywał ruch. Daisy przekręciła się na plecy i siadła. Była topless i zanim odwróciłem głowę, dostrzegłem jej piersi, drobne i jędrne, o sutkach różowych jak maliny.

— No nareszcie! — zawołała Alice, idąc ku mnie z rozłożonymi rękami.

Raptem poczułem, jak mi ulżyło i prawie zbiera mi się na płacz. Organizm zalała potężna fala endorfin. Czekwała na mnie. Cieszyła się na mój widok. Na mojej twarzy zagościł szeroki uśmiech, nad którym nie umiałem zapanować.

— Przywiozłeś płaszcz! — zauważyła. — Chyba ci odbiło!

Odebrała mi go, rzuciła na krzesło i przytuliła mnie. Nasze twarze zetknęły się i porządnie pocałowałem ją w usta, wiedząc, że Andrew patrzy, jak rozwieram jej usta językiem, prawą ręką przyciągam ją do siebie, myśląc być może o sutkach Daisy, gdy miałem w palcach pasek jej bikini. Ale jednocześnie jej pragnąc, chcąc przycisnąć ją mocno do siebie.

Zaśmiała się i odsunęła.

— Śmierdzisz — zauważyła.

Rzeczywiście, było mi katastrofalnie gorąco, czoło miałem zalane potem. Płócienny garnitur cały się wymiał, a na koszulce polo pod nim zostały ślady kebabu „gyros”, który zjadłem wczoraj wieczorem.

— Dzięki — zaśmiałem się.

— Nie ma za co.

— Nie wiedziałem, czy ktoś w ogóle jest w domu. Nie ma samochodu.

— Tina pojechała z chłopakami po jedzenie do dużego supermarketu w Trigaki. Gdybyś wcześniej zadzwonił, mogłaby cię zabrać. Po drodze. Przyjechałeś taksówką? Nie było z tym problemów?

— Poszło jak z płatka.

Andrew stał i brodził teraz brzegiem zatoki, z krzywymi nogami i stopami skierowanymi na zewnątrz.

— Witam, witam, witam! — zawołał z zapalem. — Świetnie, że w końcu dojechałeś. Na pewno chętnie zanurzysz się w wodzie. Jest nieziemsko. Lekkie zasolenie, idealna temperatura. Co ty na to? — Poklepał mnie po plecach. Jego nagość była zawstydzająca: blade łydki, pokryte piegami ręce, brzusek zaskakująco okrągły jak na

takiego drobnego faceta, wiszący nad kąpielówkami. — Popływasz, a potem otworzymy parę piw? Tina wróci niedługo z obiadem.

— Może nie tak od razu — ociągałem się.

— No nie, śmiało. Dawaj. Jest niebiańsko, przyrzekam.

— To pomoże ci się zrelaksować — zaofiarowała się Alice. — Zmyć z siebie podróż.

Kiwnąłem głową, przyparty do muru, i obydwójce zaprowadzili mnie z powrotem do domu, żebym się „rozgościł”. Andrew, gwizdząc i fałszując, zniknął w kuchni, a Alice pokazała mi nasz pokój w głębi domu, do którego wchodziło się z tarasu przez osobne drzwi. Za zaciągniętymi żaluzjami było gorąco i ciemno, ale dostrzegłem komodę, ozdobną szafę i duże łóżko w stylu kolonialnym, kryte moskitierą.

— Na pewno chciałbyś zacząć od prysznic — powiedziała.

— Na pewno ty chciałabyś, żebym zaczął od prysznic. — Chwyciłem ją. Ze śmiechem mnie odepchnęła.

— Chodź.

Otworzyła mniejsze drzwi do zapuszczonej łazienki i zostawiła mnie tam, zapowiadając, że poczeka na dworze. Rozebrałem się i umyłem najstaranniej, jak potrafiłem. Woda tryskała nagłymi strumieniami, a to piekielnie gorąca, a to zimna tak, że człowiek cały drętwiał. Wokół kostek bzycały jakieś obrzydliwe insekty. Czuć było kanalizację. Skorzystałem z żelu pod prysznic Jo Malone, który stał na półce, po czym wytarłem się jedyną rzeczą, jaka nadawała się do tego celu: mikroskopijnym płóciennym ręcznikiem do rąk, wiszącym przy zlewie.

Nago wróciłem do pokoju, zacząłem grzebać w torbie i z przerażeniem uświadomiłem sobie, że zapomniałem spakować kąpielówki. Niedobrze. Nie pasuje do obrazu praktycznego, zorganizowanego, doskonałego gościa, na jakim mi zależało. Andrew tylko czekał na to, żeby mi dopiec. Zajrzałem do szafy — może znajdzie się jakaś para po Harrym. Ale nic z tego — same śliskie sukienki i kwieciste topy, zwinięte sztuki bielizny. Popieściłem parę majtek Alice, czarnych, z cienkiej koronki, i z miejsca pocieszyłem się perspektywą zdejmowania ich z niej. Odłożyłem je na miejsce. Na dnie szafy znalazłem stertę pustych, niebieskich worków do pakowania z Ikei. Na nich kilka grubych stosów ulotek, związanych elastycznymi opaskami — znów materiał „Znaleźć Jasmine”. Zamknąłem szafę.

Nie ma rady. Wystawiłem głowę na zewnątrz, chowając nagie ciało za futryną drzwi. Alice, Andrew i Daisy siedzieli przy stole na tarasie. Wszyscy się odwrócili.

— Drobną komplikacja — oznajmiłem. — Zapomniałem kąpielówek!

Andrew zaśmiał się z satysfakcją.

— Na tobie to można polegać, Paul! Daisy, przyniesiesz Paulowi parę moich? Z różowymi żółwikami? Powinny być w naszym pokoju.

Daisy zsunęła się z krzesła i skierowała w drugi koniec domu. Zawiązała na szyi sarong w kwiatowe wzorki. Tkanina opadała luźno, kończąc się u szczytu nóg. Patrzyłem, jak prężą się mięś-nie jej ud.

— No, Paul, ale pech. Bez kąpielówek! — mówiła Alice.

— Kupisz później w porcie — powiedział Andrew. — Mają tam ładny wybór

obcisłych Speedo.

— Dzięki — odparłem.

Stałem w głębokim końcu, z napiętymi palcami nóg i wyciągniętymi w górę rękami, przez chwilę, która zdawała się przeciągać, patrząc, jak bryza marszczy powierzchnię, by wreszcie przywołać całą pamięć mięśni i skoczyć do wody na główkę.

Nie był to skok idealny (pieczenie w udach, woda wdzierająca się do nosa), ale nie było się czego wstydzić. Opadłem na dno, podciągając kąpielówki Andrew, które się rozluźniły, i chłonałem ciszę, uczucie osobności, osamotnienia w tym biało nakrapianym świecie. Wyprostowałem ręce i odbiłem się od dna, obserwując nieregularne promyki światła i czując szorstkie kanty nierównych kafelków.

Kiedy się wynurzyłem, Alice stała na płytkim końcu.

— Fajnie? — zapytała z uśmiechem.

Potrząsałem głową jak pies, zaczesalem jedną ręką włosy i kilkoma uderzeniami ramion dotarłem na jej stronę.

— Niebiańsko. — Wydobyłem się z wody, zginając mięśnie wiodącej ręki w nadziei, że Alice zwróci uwagę na różnice w budowie mojej i Andrew.

Kąpielówki były zbyt workowate, sięgały mi prawie do kolan; zawiązałem je ciasniej i usiadłem na niezajętym leżaku, wiedząc, że leje się ze mnie woda, którą nasiąka poduszka. Alice przyniosła ręcznik i położyła mi go na ramiona. Usiadła przy mnie.

— Jak poszło spotkanie? — zapytała.

Woda naląła mi się do uszu i skręcałem róg ręcznika, żeby się do niej dostać.

— Spotkanie?

— Tak. Z amerykańską redaktorką. Co powiedziała? Książka jej się podobała?

— W sumie to tak. Podobała się.

— Zaproponowała wydanie? — W głosie Alice brzmiało tyle zapachu, że nie miałem innego wyjścia.

— Tak jest.

— O, Paul, to cudownie.

Nadeszła jedna z tych chwil, w których, upojony jej zainteresowaniem, przegiąłem.

— Co więcej — opowiadałem wolno — zaproponowała wysoką cenę za prawo pierwokupu — żeby agent nie mógł sprzedać książki innemu wydawnictwu.

— Jak wysoką? — Alice zakryła usta rękami.

Andrew leżał po drugiej stronie basenu. Nie wiedziałem, czy słucha, ale istniał sposób, żeby się o tym przekonać.

— Idącą w miliony — obwieściłem.

Czułem, jak kłamstwo narasta, wypełnia powietrze i opada na ziemię.

Andrew usiadł. Perełki potu zbierały się między rzadkimi kędziorami na jego piersi.

— Czyli zbierasz całą śmietankę!

Jego dłonie zaciskały się na bokach leżaka.



## Rozdział 8

Nie słyszałem powrotu Tyny i reszty, ale oto znaleźli się już nad basenem: dwaj młodszy chłopcy — Archie i Frank — ściągając bluzki, zrzucając trampki i wskakując do wody.

Tina nadeszła wolniej, zapowiadały ją przebłyski niebieskiej tkaniny wśród zarośli. Po znalezieniu się na końcu ścieżki przebyła ostatnie kilka metrów z rozwartymi na powitanie ramionami. Wstałem.

— Paul — zaczęła — dotarłeś! Super, znalazłeś nas i w ogóle. — Objęła mnie, wystraszyła się wody i zaśmiała, a impet naszego powitania strącił jej z głowy ogromny słomkowy kapelusz. Jej serdeczność mnie zaskoczyła, ale przyjemnie. Nosiała przepastną, niebieską sukienkę z płótna, która okrywała jej ciało niczym namiot. Nie miałem pojęcia, dlaczego zupełnie nie zdaje sobie sprawy ze swojej urody. Zależało jej przede wszystkim na ukrywaniu — a jako jedyna spośród nas nie miała po temu powodu.

— Masz takie same kąpielówki jak Andrew! — zawołała.

— Nawet te same.

— A... tak. — Nachyliła się ze złośliwą miną i wyszeptała jak spiskowiec: — Na tobie wyglądają lepiej. — Andrew oderwał się od książki.

— To się nazywa lojalność. Kochająca żona.

Powiedziała, że przygotowała obiad, a nawet namówiła Franka i Archiego, żeby przed pójściem na basen nakryli do stołu.

— Louis im pomagał? — zapytała Alice.

— Było mu trochę gorąco i czuł się zmęczony.

— Gdzie on teraz jest?

— W domu.

— Przed komputerem?

— Pewnie tak.

Kobiety wymieniły niezręczne i bolesne spojrzenia. Miałem niejasne wrażenie, że od jakiegoś czasu są kłopoty z Louistem. Alice potrząsnęła głową; Tina uśmiechnęła się żałośnie. Na ten widok Andrew wstał.

— Słuchajcie. — Podeszedł do nich. — Ja z nim pogadam. Dojdziemy z tym do ładu.

Kucnął u stóp Alice, tak że mógł zajrzeć jej w oczy. Ble. To jego wysokie mniemanie o sobie. Zarozumiałstwo. Kto dał mu prawo do wychowywania jej dzieci?

Przypomniało mi się powiedzonko żony Michaela.

— Zasada zachowania smutku.

— Co to znaczy? — zapytała Alice, spoglądając na mnie.

— Zasada, że na pewno co najmniej jeden członek rodziny jest w złym humorze. Bez tego życie byłoby zbyt łatwe.

— No, niezłe. — Alice zaśmiała się półgębkiem. Wstała, ostrożnie ominęła Andrew i przytuliła mnie. — Zasada zachowania smutku. Podoba mi się to.

— Rodzic jest najwyżej tak zadowolony, jak najmniej szczęśliwe dziecko — oświadczyła Tina.

— Tak — przytwierdziła Alice — ale w moim przypadku jest nim zawsze Louis. Andrew wstał z kucek i niezgrabnie potarł jej ramię, ni to klepiąc ją, ni to masując. Tina nie przestawała się uśmiechać, jak gdyby nie niepokoiły jej zachowanie i mowa ciała męża.

— No dobra, kochani — powiedziała — obiad. Paul, na pewno umierasz z głodu. W dzisiejszych czasach w samolotach nie dają nic do jedzenia.

— Święte słowa — podchwyciłem.

Gdy dotarliśmy do początku ścieżki, ścisnęła mnie za ramię.

— Cieszę się, że tu jesteś.

— Świeża krew? — zapytałem.

— Może. A może lubię twoje towarzystwo.

Jedliśmy przy długim stole w cieniu. Tina zrobiła sałatkę z pomidorami, cebulą i oliwkami i rozłożyła na talerzach rozmaitość bułek z serem i szpinakiem z piekarni w Trigaki. Posiłek nie był imponujący (mimo licznych zalet gotowanie nie okazało się mocną stroną Tiny), za to stwarzał idealną okazję do rozeznania się w dynamice grupy. Andrew zasiadł na szczycie stołu. Wyraźnie przejął rolę patriarchy, „organizującego oddziały”, jak to ujął, kierującego każdego ku jego miejscu, pilnując, żeby Tina i Alice znalazły się po jego bokach, niczym westalki. Urażony, mało nie schowałem się na drugim końcu stołu, ale Alice znacząco postukała w krzesło obok siebie. Stopę postawiła na poprzeczce mojego krzesła, rękę położyła mi na udzie. Stuknęła w kieliszek i wzniosła toast za mój sukces.

— Za Paula — że wreszcie doczekał się tego, na co zasłużył. — Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Posłuchaj tylko — miałem ochotę wygarnąć Andrew. Zjedz moje szorty.

Mimo pięknego widoku ludzie byli marudni. Życie rodzinne: tak wyobrażam sobie piekło. Czy Ann tak nie powiedziała? Być może coś w tym jest. W atmosferze wyczuwało się napięcie. Atakowały nas owady — formacje małych, czarnych mrówek nacierały na każdy okruch, większe, czerwone wspinały się po nogach krzesel, do tego osy. Kto by pomyślał, że w Grecji gnieździ się tyle os? Nastolatki stroiły fochy, „nie były głodne”, albo bawiły się telefonami, albo odskakiwały panicznie od stołu („to, kurwa, szerszeń!”). Dwaj młodszy chłopcy, Frank i Archie, obaj bladzi i wychudzeni w barwnych kąpielowych szortach, pełni szpiczastych kości i rozsadzającej energii, objechani za rzucanie oliwkami, bez przerwy pytali, co robimy po południu.

— Moglibyśmy iść na plażę? Na windsurfing? Do akwaparku w Elcondzie?

— Na litość boską, po prostu cieszcie się tym, co macie — burknęła w końcu Tina. — Nie myślcie tylko o tym, co będzie potem.

Ale największa burzowa chmura otaczała Louisa. Ostatnio mocno się rozrósł, przeżył jedno z tych nagłych przyspieszeń, które dotyczą dzieci, i szczęka wysunęła mu się do przodu, a czoło stało się ociężałe. Siedział naprzeciwko Andrew, wpychając w siebie jedzenie widelcem trzymanym w lewej ręce. Miał na sobie czarne spodnie od dresu i czarną bluzę z kapturem, którego nie chciał zdjąć. Wiedziałem, że Alice martwi się o niego — w szkole przyłapano go na znęcaniu się nad młodszymi. Może powinienem być bardziej uważny. Może powinienem być jakoś pomóc.

— Czemu nie mogę napić się piwa? — mruczał. — On pije trzecie.

— Paul jest dorosły — zaśmiała się Alice. — Możesz wypić jedno wieczorem. Nie będziesz pił przy obiedzie.

— To zwyczajna głupota. — Przewrócił oczami. — Wszędzie te bezsensowne reguły. To po prostu nieracjonalne. W ogóle nie wiesz, o czym mówisz.

— Nie mów do matki w taki sposób.

Nadęty głos Andrew. Louis rzucił mu pełne gniewu spojrzenie ciemnych oczu, a potem odepchnął krzesło i poszedł do domu.

— Przyrowadzić go? — spytał Andrew.

— Sama nie wiem. — Alice zrobiła niepewną minę, jednocześnie broniła syna i przeproszała za niego.

— Znowu włączył xboxa.

— Wiem. O Boże. — Obejrzała się przez ramię, odwracając twarz od Andrew. — Jest bardzo... wiem, że jest niegrzeczny.

— To trudny wiek — włączyłem się. — Ludzie ciągle mówią, że szkoła to najpiękniejszy okres w życiu, ale ciężko być szesnastolatkiem.

— Dziękuję — powiedziała cicho Alice, odwracając się z powrotem do stołu.

Rzecz jasna moim zdaniem Louis był upierdliwym szczyłem, ale z radością brałem go w obronę, dopóki oznaczało to przytarcie rogów Andrew.

— Nie pamiętasz — zwróciłem się do niego ze świętoszkowatym uśmiechem — jaką złość czuje się w tym wieku? Ile frustracji. Roznoszą cię wszystkie te hormony i nie ma ich jak wyładować.

— Tak — przyznał — rzeczywiście chyba tak jest.

— Robi się o wiele łatwiej — ciągnąłem — gdy człowiek znajdzie jakieś ujście.

— Ujście?

— Kiedy zaczyna się uprawiać seks. Tego potrzebuje Louis. Im wcześniej, tym lepiej.

\*

Po obiedzie Alice poszła do pokoju odpocząć. Zamierzałem pójść w jej ślady, ale najpierw pomogłem Tinie pozmywać, a potem wypaliłem szybkiego papieroska na indyjskiej leżance na samym końcu tarasu. Panował spokój. Patrzyłem, jak jaskółki latają wokół gniazda pod okapem, rój małych, białych motyli męczy pelargonię, a rząd mrówek prowadzi do wpół zdechłego żuka. Czułem osobliwy niepokój. Moje wypowiedzi przy stole były po części trafione, a częściowo chybione. Było o wiele trudniej, niż się spodziewałem. Zaczynało mi też bardziej zależeć. Zbijało mnie to z tropu. Czułem się nie w sosie, niepodobny do siebie.

Alice zastałem leżącą na łóżku i czytającą *Wielkiego Gatsby'ego*. Żaluzje w głównym oknie były wciąż zasunięte, lecz otworzyła mniejsze okienko z boku domu i na poduszkę padał trójkąt słonecznego blasku. Było gorąco i duszno; w ciężkim powietrzu gęsto od zapachów jaśminu i pigwy. Gołe nogi i ręce Alice rysowały się blade na tle szarej jedwabnej narzuty. Z roztargnieniem gładziła się po karku.

— O nie — jęknęła, kiedy wsunąłem się pod moskitierę i pociągnąłem ją ku sobie.

— Jest za gorąco. Nie? Nie myślisz tak?

— Nigdy nie jest za gorąco. — Włożyłem ręce pod jej kaftan, poczułem ciepło brzucha, wilgoć bikini. Przywarłem twarzą do jej szyi, targając zębami troczek. — To ty jesteś za gorąca.

Zaśmiała się i delikatnie odsunęła.

— Jak mogłeś powiedzieć, że Louis potrzebuje seksu?

— Przepraszam. Źle wyszło.

— Może trochę nie na miejscu — przy młodszych chłopcach.

— O Boże. Ale ze mnie dupa. Sorry.

— Wybaczam ci. — Jęknęła. — Nie wiem, jak sobie z nim poradzić. Próbowалаm podnosić go na duchu. Złościć się na niego. Kończą mi się pomysły. Wyraźnie wkurza Andrew, który go nie kuma. Archie jest zupełnie innym chłopakiem...

— I młodszym — wtrąciłem, starając się zgadnąć, czego się po mnie spodziewa.

— I, szczerze mówiąc, świętym od papieża — taki facet bez jaj?

Zaśmiała się, po czym przygryzła wargi, jakby wstydziała się za samą siebie.

— Wydaje mi się, że Louis tęskni za ojcem albo brakuje mu ojca. Andrew ma dobre intencje, ale...

— Na pewno wszystko się ułoży. Może powinnaś po prostu przestać się martwić i dla odmiany zająć własnymi potrzebami.

— Tak myślisz? — mruknęła, zamykając oczy.

— Tak. Niezwłocznie.

Opuściłem głowę, biorąc jej zamknięte oczy za znak zachęty, zacząłem całować ją po szyi i schodzić coraz niżej. Poruszyła biodrami, aż zetknęliśmy się miednicami i przez najbliższe pół godziny, o ile mi wiadomo, żadne z nas nie myślało o Andrew i Louisie, koncentrując się na własnych potrzebach.

Potem Alice zasnęła. Ja też próbowałem, ale bez skutku. Cichutko chrapała, a ja kręciłem się niespokojnie, szukając kolejnych bodźców, jak często dzieje się na początku urlopu, dlatego dyskretnie wstałem z łóżka, uważając, żeby jej nie obudzić, i zszedłem nad basen.

Tina malowała, siedząc na stołku w cieniu ze spódnicą swojego namiotu obciągniętą do kolan. Daisy i Phoebe chyba spały na leżakach, a Frank i Archie siedzieli w pobliżu grilla, pochyleni nad iPhone'em.

Ani śladu Louisa. Ani Andrew.

Położyłem się na brzuchu, przyglądając się dziewczynom i porównując je dla własnej przyjemności. Phoebe była bardziej zmysłowa od Daisy, ale jak na mój gust zbyt wyskubana i ufarbowana. Nie polubiła mnie, domyśliłem się tego. Daisy, o leszczynowych oczach i oliwkowej cerze, miała swoisty wdzięk chłopczycy. (Miałem u niej szansę? Pytanie bezsensowne, ale przyjemne). Przeważnie leżały na wznak w słońcu, żeby co jakiś czas wstać i ochłodzić się w basenie, przechodząc obok mnie i rzucając malutkie, zgięte cienie, a po powrocie znów namaszczały się kremem przeciwsłonecznym. Fascynował mnie ich stosunek do własnego ciała, to, jak przyglądały się własnym nogom, w które wcierały balsam, intensywny wyraz twarzy, który oznaczał miłość albo odrazę, albo obydwa te uczucia naraz, połączone z żywą ciekawością, tak

jakby pierwszy raz w życiu dostrzegały każdy cal swojej skóry.

Alice zjawiła się po jakiejś godzinie. Położyła się na pustym leżaku obok mnie.

— Dzień dobry panu — zagadnęła mnie szeptem, by głośniej zapytać: — Czyli budowa jeszcze nie ruszyła, tak? — nie zwracając się do nikogo konkretnego.

— Sjestą — odpowiedziała Tina. Zmierzyła pędzlem jakąś odległość. — Może ciągle jest za gorąco.

Nikt nie był w nastroju do rozmowy, panowała zbyt leniwa i senna atmosfera. Parę razy wskoczyłem do basenu, kiedy robiło mi się za gorąco, uratowałem gigantyczną pszczołę, która topiła się w płytkim końcu, przeczytałem kilka rozdziałów *Z zimną krwią* i koło piątej zaoferowałem się, że pójdę do domu po coś do picia.

Andrew siedział w okularach na tarasie, przeglądając jakieś papiery i wystukując coś na kalkulatorze.

— W porządku, stary? — zapytał, gdy przechodziłem. — Ale gorąco, nie?

Chyba nie oczekiwał odpowiedzi. W lodówce znalazłem piwo i colę bez cukru w puszkach, które ustawiłem na tacy i poniosłem obok niego nad basen, gdzie ostentacyjnie podałem każdemu napój, składając przy tym niski ukłon. Phoebe nie raczyła unieść głowy, więc ostrożnie położyłem zimną puszkę w zagłębieniu jej nagich pleców. Z piskiem podskoczyła na równe nogi.

— Paul, kurwa mać.

Puszka stoczyła się na ziemię. Podniosła ją i nią potrząsnęła. Odskoczyłem i umknąłem. Daisy i chłopcy się śmiali. Frank krzyknął:

— Do wody go, Dais!

— Dajcie mu spokój — zawołała Tina.

— Biedny Paul — krzyknęła Alice.

Zwarliśmy się z Phoebe, która oplotła prawą nogą jedną z moich nóg. Miałem przewagę fizyczną, musiałem więc uważać, żeby nie wrzucić jej do wody.

— Pierdolony kurwiarz — wydyszała mi do ucha.

Dałem jej fory, zsuwając ręce po jej ramionach. Poczułem, jak tracę równowagę, i wydałem okrzyk wojenny pokonanego, lecz jednocześnie wzmocniłem uchwyt i wczepiłem się w jej stopy. Runęła za mną, bezsilna, i razem zderzyliśmy się z powierzchnią. Pęd i fala wody, szum i bulgot w uszach, dotyk i kopniaki jej nóg, rąk i twarzy wywoływały we mnie przyływ czystej radości.

Kiedy się wynurzyłem, Alice — bogata, wspaniała, chętna Alice — czekała na krawędzi basenu, gotowa mnie wyciągnąć.

I wszystko dobrze się skończyło. Byłem na fali, nie do pokonania. Nikt tutaj mnie nie zagnie.

## Rozdział 9

W planach była kolacja na mieście — tak jak dzień wcześniej. (Żadna z rodzin nie liczyła się z pieniędzmi).

Alice musiała zadzwonić i czekałem na nią przy samochodzie. Było duszno; powietrze lepiło się do skóry. W ciemnym zagajniku gruchał gołąb grzywacz. Dziwna przezroczysta jaszczurka przemknęła po ścianie domu, dotarła do krokwi i tam zawisała bez ruchu. Obserwowałem ją, czekając na jakieś poruszenie, gdy usłyszałem za sobą hałas, ciche stuknięcie i szuranie. Odwróciłem się i zobaczyłem człowieka, który wynurzył się z szopy nakrytej falistą blachą. Blondyn o wodnistych oczach, którego widziałem wcześniej. Przemierzył podwórko i minął mnie bez oglądania się, wolnym, regularnym krokiem, poprawiając torbę przerzuconą przez ramię.

Zza węgła pojawiła się Tina.

— Kto to? — spytałem, gdy tamten oddalał się podjazdem.

— Artan. Ogrodnik i nasza złota rączka. Zajmuje się domem w ciągu roku.

— Niezbyt miły.

— Nie zna za bardzo angielskiego. Jest Albańczykiem. Od lat pracuje u Alice. Poznaliśmy go w porcie wieczorem tego dnia, w którym zaginęła Jasmine. Dopiero co tu przyjechał, ale okazał się nad wyraz miły i uczynny, wiele dni przeszukiwał wzgórze. Alice zatrudniła go z wdzięczności, ale po trosze i z litości. Ktoś opowiadał, że jego żona i dzieci zginęły w pożarze.

— O Boże. Ale mi teraz głupio.

— I słusznie.

Samochód był jednym z tych minivanów, w tym przypadku srebrnym, z siedmioma miejscami i przesuwanymi drzwiami. Nawet beze mnie byłoby ciasno, ale Andrew zaznaczył stanowczo:

— Musimy się upchnąć. Jest nas dziewięcioro, licząc Paula.

Zaproponowałem, że pójde pieszko, ale Alice nie chciała o tym słyszeć.

— Nie, nie, damy radę. No, Louis, wskakuj na tył, nie jest daleko. Nie utrudniaj.

— Nie chcę siedzieć na tyle. Dlaczego Paul nie może usiąść z tyłu?

— Nie kłóć się z własną matką — upomniał go Andrew.

Na miejscu Louisa wkurzałoby mnie to mówienie Andrew o „własnej matce”, jakby dzieciom trzeba było przypominać o więzach pokrewieństwa.

— Nieważne — mruknęła Alice. — Daj spokój.

Na zakręcie przy bramie placu budowy auto zahaczyło o jakiś kamień. Tina obejrzała się przez tylną szybę i zawołała:

— Chyba nic się nie stało. Nie ma dymu!

Alice obróciła się i rzuciła z fotela pasażera:

— Przynajmniej mamy na pokładzie mechanika z prawdziwego zdarzenia.

— Mechanika z prawdziwego zdarzenia? — powtórzył Andrew.

— Tak. Paul zna się na samochodach. — Uśmiechnęła się do mnie. — Prawda, Paul? — Spojrzała z powrotem przed siebie. — Zamierza zająć się Hermesem. Jeśli szybko uruchomi pikapa, będzie można się nim wszędzie telepać — we dwie osoby.

— A, tak — odezwałem się, zdając sobie nareszcie sprawę, o czym mówi. — Oczywiście.

— Brawo dla Paula — stwierdziła Phoebe.

— Czy po tylu latach nie zginął gdzieś kluczyk? — zapytałem.

— Tkwi w stacyjce. Od lat.

— Super. — Zastukałem wskazującymi palcami w kolano, jakbym grał na perkusji.

Andrew zaparkował w zatoczce w pobliżu centrum Agios Stefanos i wysypaliśmy się z wozu. Był ciepły zmierzch. Nietoperze przemykały między dachami i nurkowały w mroku nad naszymi głowami. Drobne owady trzepotały w blasku latarni.

Czekały na mnie wino i dobre jedzenie. Czuję przyływ optymizmu, pewności siebie i nadziei: jak zwykle, gdy urlop rozciąga się przed tobą niczym naga kobieta, którą można poznawać.

Alice szła już przed nami, drobna, buńczuczna postać w obcisłej i długiej koszulowej sukience oraz espadrylach na wysokich obcasach, od których pęczniały mięśnie jej łydek. Wioska ożyła: ludzie i światła, muzyka i zapachy z kuchni. Na rogach miauczały wychudzone, białe-rude koty. Dzieci kręciły się pod nogami. Alice cały czas rozdawała ulotki: jakiemuś turyście, sklepikarzowi palącemu papierosa, handlarzowi pieczonych orzechów, kobiecie sprzedającej plecione bransoletki. Poczułem falę czułości, jednocześnie podziwu i litości.

Tina szła obok mnie.

— Jak myślisz, czy to coś daje? — spytałem. — Ale tak serio?

Skrzywiła się, rozważając różne możliwości.

— To bez znaczenia. Alice i tak nie ustąpi. Robi tak co roku.

— Czy napływają jakieś informacje?

— Czasami.

— A na coś się przydają?

— Ktoś coś widział... — potrząsnęła głową — albo... ale nie, nic konkretnego, przynajmniej jak do tej pory. Alice jest zdecydowana na wszystko. Dziesiąta rocznica, ostatnie lato w Domu Kirke, wszystkie zebrane pieniądze... Po prostu nie można nie podziwiać jej energii i zaangażowania.

Dogonił nas Andrew.

— Koniecznie chce ją znaleźć — wtrącił.

— Jeśli to w ogóle możliwe. Gdyby żyła, to chyba dawno by stąd wyjechała, no nie? Gdybym chciał porwać nastolatkę...

— Co? — Andrew popatrzył na mnie dziwnie.

— No, tylko pomyślcie. Jesteśmy w porcie.

— Tak. I co byś zrobił?

— Znalazłbym łódź. Chyba że już bym ją miał. Uciekłbym morzem. Nic prostszego.

Jedliśmy nie u Nico (gdzie stołowali się w poprzedni wieczór), tylko u Giorgia, w sąsiedniej tawernie. Duży stół czekał na podeście nad wodą i powstało wielkie zamieszanie: Tina i Alice zostały wyściskane przez starszego właściciela, chłopcom potargano czupryny, dziewczętom ucałowano ręce, a Andrew mocno uściśnięto dłoń.

Usiłowałem usunąć się na bok, ale Andrew popchnął mnie na przód:

— W tym roku zjechał tu z nami nasz dobry znajomy, Paul Morris. Bardzo sławny pisarz. Zapamiętajcie sobie to nazwisko, jeżeli jeszcze go nie znacie. Właśnie sprzedał na aukcji najnowszą książkę. Milionowe honorarium! Dużo jeszcze usłyszycie o tym człowieku.

— Nie książkę — mruknąłem — tylko prawo pierwokupu.

Właściciel, zwalisty mężczyzna o gęstych, czarnych włosach i siwych wąsach, położył mi ciężką rękę na ramieniu.

— Pierwszy raz w Agios Stefanos?

— Tak — odparłem bez namysłu.

— Nie zapominaj, że już tu byłeś — upomniał mnie Andrew. — Dziesięć lat temu. — Zwrócił się do Giorgia: — Zjawił się właśnie w tej tawernie, chociaż wątpię, żeby zdążył spróbować pysznego wiktów od ciebie.

Wikt: jedno ze słów, których najbardziej nie lubię.

Pozostali zajęli już miejsca, ale Andrew kazał im wstawać i siadać tam, gdzie sobie tego życzył. Tym razem usadowił mnie u szczytu stołu.

— Lepszy widok — stwierdził, chociaż siedziałem plecami do wody. Czuję się jak na wystawie i przez okropną chwilę pomyślałem sobie nawet, że Andrew chciał uzyskać właśnie taki efekt.

Nadszedł młody kelner z dopiero sypiącym się wąsem. Składano zamówienia na wino, piwo, colę i fantę, liczne przystawki — *taramasalata*, kalmary, smażony ser i cukinie — baraninę, kurczaka i ryby. Ta nonszalancka obfitość zatykała dech w piersiach. Louis i Frank zamówili po steku, dwa razy droższym od wszystkiego innego, bez pytania matki o zgodę.

— A dla ciebie, Paul? — zainteresowała się Tina, która zauważyła, że siedzę cicho.

— Nic mi nie trzeba — odpowiedziałem, martwiąc się o swój udział w rachunku. Czy zostanie podzielony zależnie od tego, co zjemy, czy po równo na każdego? To drugie rozwiązanie wróżyło jak najgorzej.

— Przestań — nalegała Tina.

Przedtem tylko udawałem, że czytam kartę. Teraz gorączkowo zastanawiałem się, co tutaj jest najtańsze.

— W takim razie trochę hummusu.

— Hummus. No nie, tego tu nie podają. — Andrew wydał z siebie charakterystyczny śmiech, trzy krótkie parsknięcia, które nie miały za wiele wspólnego z rozbawieniem. — Ależ, Paul, w Grecji nie mają hummusu.

— Mają. — Wyobraziłem sobie napis cyrylicą na plastikowym kubku w delikatesach kontynentalnych na Lamb's Conduit Street. Dodałem z większym zadęciem, niż zamierzałem: — To grecka specjalność.

Andrew przyglądał mi się badawczo. Zwrócił uwagę na zadęcie i bynajmniej mu się ono nie spodobało. Zawołał do starszej pani przy kasie:

— Sofia, hummus? — Pomachał kartą w powietrzu. — Nie widzę go, ale czy dla specjalnego klienta, sławnego pisarza, znajdzie się może hummus?

Sofia wzruszyła ramionami i krzyknęła coś po grecku w stronę kuchni. Znów



pojawił się Giorgio, delikatnie wycierając palce w ściereczkę.

— Giorgio — ciągnął głośno Andrew — rozstrzygniesz może nasz spór? Mój drogi przyjaciel Paul twierdzi, że hummus jest z Grecji. Upiera się, że to grecka specjalność.

Kilku gości przy innych stołach patrzyło na nas, na mnie. Giorgio skłonił się unieźenie.

— Mój drogi przyjaciel — powtórzył — myli się. Hummus jest z Bliskiego Wschodu. Ale na jego życzenie mogę przynieść coś bardzo podobnego, przepyszne. Pastę fava.

— Andrew, na litość boską — powiedziała Alice.

— To nic — odezwałem się. — Wezmę tzatziki.

— Tak dużo już zamówiliśmy — orzekła Alice — że możemy się dzielić.

Uśmiechałem się, ale w środku wszystko we mnie kipiało. Niepotrzebnie użyłem słowa „specjalność”, ale hummus był oczywiście grecki. Andrew chciał mnie zastraszyć, wykorzystując w swoich gierkach Giorgia. Czasami czułem się tak w szkole. Pamiętam, jak pokłóciłem się o pisownię słowa „schnąć” z niejakim Jeremym de Beauvoir, który znalazł wsparcie u grupy podobnych sobie lekkoduchów nawet wtedy, gdy słownik potwierdził, że mam rację. Ludziom uprzywilejowanym zawsze wydaje się, że dyktują, co jest prawdą.

Alice było wyraźnie głupio z mojego powodu, co dobrze wróżyło. Ze wszystkich sił starała się poprawić atmosferę, śmiejąc się na głos z odchyłoną do tyłu głową i białą szyją, która błyszczała w świetle. Jej dłoń pod stołem kreśliła nęcące kręgi na moim udzie. Zwróciła się do Andrew:

— Wiedziałeś, że Paul jest krzyżówkowiczem? — na co odpowiedział, że woli sudoku. — Paul, opowiedz o Kate Boxer. Ma w domu cudowny jej obraz. Przypomnij mi, jak jest zatytułowany?

— *Ptak rozgałęziony*.

— *Ptak rozgałęziony* — powtórzył Andrew tonem wyrażającym pogardę. Zależało jej, żeby wszystko było tak, jak trzeba, żebyśmy byli przyjaciółmi. Nie miała pojęcia, jak bardzo zaczynałem go nienawidzić.

— Myślę o sprzedaniu mieszkania — powiedziałem.

— Co ty? — Alice wyglądała na zaskoczoną.

— Mam ochotę na zmianę. — Położyłem jej rękę na plecach, wsuwając ją pod materiał sukienki i pieszcząc łopatkę, a jednocześnie pochyliłem się i zamruczałem jej do ucha: — Żeby być bliżej ciebie.

Na jej ustach zagościł tajemniczy uśmiech. Patrzyła na mnie z boku, mrużąc oczy jak kotka.

— Porozmawiamy o tym po wakacjach — przyrzekła.

Sprawdziłem, czy Andrew nas obserwuje.

Zrobiło się głośno, mało co było słyhać. Ktoś pogłośnił muzykę, electro dance, i przy sąsiednim stoliku zasiadła hałaśliwa grupka: cztery pary Anglików, mężczyźni w koszulkach z krótkimi rękawami, kobiety z głębokimi dekoltami. („Delfinos” — bezgłośnie powiedziała do Andrew Alice, przewracając oczami). Większość dzieci gdzieś sobie poszła, Alice i Tina jadły kawałek baklawy, a ja ukradkiem karmiłem koty, które

zebrały się pod stołem. Były niepokojąco chude, miały kanciaste zady, a dwa z nich oczy zaciągnięte bielmem.

Tina narzekła na Archiego i jego tendencję do forsowania własnego zdania.

— Sama też nie potrafię rozmawiać — dodała — jako najmłodsza z trójki dzieci.

— Braci czy sióstr? — zapytałem, rzucając na ziemię kawałek kebaba z baraniną i zaraz potem następnym, bo koty rzuciły się na pierwszy.

— Trzy dziewczyny — zaśmiała się wesoło. — Jestem bobaskiem, typowym najmłodszym dzieckiem: rozpuszczona, rozpuszczona i jeszcze raz rozpuszczona. Przyzwyczajona, że wszystko uchodzi mi na sucho. A ty?

— Jedynek. Jak Alice.

Był to jeden z tematów naszych nocnych rozmów: presja oczekiwań rodziców, trudności w nawiązywaniu relacji, wrażliwość na krytykę — jeden ze sposobów, które wykorzystywałem w celu szybszego zbliżenia się do kogoś. Wytarłem rękę serwetką i objąłem ramię Alice.

— My obydwój — powiedziała. Jej dłoń cały czas leżała na moim udzie i nieznacznie zmieniłem pozycję, by przesunęła się wyżej. — Tak samo pojebani.

— Nie przy ludziach — powiedział na głos Louis.

Andrew wziął szklaną solniczkę i wstrząsnął nią nad zgięciem w kształcie litery V pomiędzy kciukiem i palcem. Dolna warga mu wystawała. W solniczce zagrzechotał ryż. Nic się z niej nie posypało.

Odstawił solniczkę na stół i głęboko wciągnął powietrze. Skierował wzrok na zatokę, tak pełen skupienia, że sam obróciłem głowę, żeby sprawdzić, w co się wpatruje. Ale nie było tam niczego — tylko blask odbitych światła, znieruchomiła i pociemniała woda.

Popatrzyłem z powrotem na niego, a Tina ostrożnie objęła go za szyję. Pocałowała go w policzek i, nie wypuszczając go z uścisku, nieco się odsunęła. Siedział wciąż zapatrzony przed siebie, z wargami tworzącymi posępną kreskę. Starał się zwrócić na siebie uwagę. Ze swojej strony najchętniej bym go zignorował.

Alice zabrała rękę z mojego uda. Nachyliła się nad stołem.

— Biedny Andrew — powiedziała. — Ja też tak bardzo za nią tęsknię.

— Przepraszam, Al — odezwał się. — To nic w porównaniu z utratą męża, wiem o tym. To po prostu czasami wraca i mnie dopada. W gruncie rzeczy to wyrzuty sumienia. Całkiem możliwe, że siedziałyby tu teraz z nami, z mężem i dziećmi. Na pewno czułaby się tutaj świetnie.

— Biedny Andrew — powtórzyła Alice. Dłoń, która pieściła moje udo, ujęła go za rękę. Z kolei Tina zdjęła rękę z jego ramion. — Nie chodzi o porównania. To pod wieloma względami gorsze — była przy tobie prawie całe życie. Jako starszy brat czułeś się za nią odpowiedzialny i pewnie dlatego męczą cię wyrzuty sumienia, ale niepotrzebnie. To nie twoja wina. Taki niefart. Okropny niefart. W dodatku niesprawiedliwe. Dlaczego ona? Czemu Harry? Oboje odeszli za wcześnie.

— To głupie, nie? — Grzmotnęła się pięścią w pierś, gdzie było serce. — Ale ona jest tutaj. I zawsze będzie.

Podczas ich rozmowy w myślach stanął mi obraz Florrie, to znaczy chyba Florrie.

Mogła to być też Daisy: nastroszone włosy ścięte krótko, po chłopięcemu, pełne usta, słodki uśmiech. Florrie: czy to możliwe, że nie żyje? To dlaczego nikt mi nic nie powiedział? Czy stało się to niedawno, czy dawno temu? Czy wiedziałem o niej, a potem zapomniałem? Czy coś takiego w ogóle może wylecieć człowiekowi z pamięci?

— Kochana Florrie — powiedziała Alice. Poklepała się po sercu. — W moim też.

Czyli to naprawdę Florrie. Jakim cudem nic o tym nie wiedziałem? Kiedy i jak umarła? Jakiś agresywny rak — białaczka, piersi — co atakuje młodo? Byłem ciekawy, ale nie wiedziałem, jak spytać, żeby nie wyjść na gruboskórny. Źle, że nie wiedziałem, gorzej, jeżeli zapomniałem. Czuję niezrozumiałą niepokój. Nie byliśmy szczególnie blisko. Niedzielne popołudnie w Backs przy butelce wina; jazz w Błękitnym Dzikim; impreza — czyjeś urodziny (może jej?). Prawdopodobnie seks — tak, chyba ze sobą spaliśmy. Siny odcień jej skóry w świetle pokoju w akademiku, gęsia skórka, szorstka i cienka kołdra. Więc tak, jedynie kilka randek. Czyli moja reakcja nie dotyczyła jej, brała się z egoizmu. Śmierć porusza, nawet gdy nie za dobrze znało się zmarłą osobę. Człowiek przeczuwa własną śmiertelność, czuje na karku oddech diabła.

— Była cudowną osobą — odezwałem się. — Cieszę się, że dane mi było ją poznać.

Wszyscy troje spojrzeli na mnie, jakbym powiedział coś nieoczekiwanego.

— Znałeś ją? — zdziwiła się Tina. Popatrzyła na Andrew. — Powinam o tym wiedzieć?

— Tak. W Cambridge — odparłem. — Studiowała rok niżej.

— Dwa lata — poprawił Andrew.

— No tak, oczywiście.

— I chodziliście ze sobą — stwierdziła Alice z dziwnym uśmiechem. — Znałeś ją dobrze.

— Naprawdę? — dopytywała się Tina.

— Zależy, co rozumiesz przez chodzenie ze sobą. Nasza znajomość była raczej niezobowiązująca.

Jedna z kobiet przy sąsiednim stole ryknęła śmiechem. Tina patrzyła na Andrew.

— Nie wiedziałam.

Zbył ją milczeniem. Unosząc brwi, oznajmił:

— Zdaje się, że z punktu widzenia Florrie chodziliście ze sobą.

— Aha — zaśmiałem się zakłopotany. — Mówiąc w języku dzisiejszej młodzieży, nie mieliśmy siebie „na wyłączność”. Co nie oznacza, że nie była superdziewczyną. — Superdziewczyną: dlaczego tak powiedziałem? To w ogóle nie był mój język. Być może dlatego, że tak naprawdę jej nie znałem. Znajomość była przelotna, ale teraz nie mogłem się do tego przyznać. — Taką jedyną w swoim rodzaju... Bardzo fajną... Osobą, której się nie zapomina... — O której oczywiście zapomniałem. Kurde. W obliczu śmierci człowiek robi się nerwowy, zaczyna plątać mu się język.

— Lubiła cię — powiedziała Alice, cały czas z tą swoją nieodgadnioną miną. — Pisywała do mnie na twój temat, bez przerwy o tobie mówiła.

— Jak to możliwe, że nic o tym nie wiedziałam? — zapytała Tina.

Alice siedziała dość sztywno wyprostowana i przyszło mi na myśl, że być może

niezbyt podoba jej się wizja mnie z inną kobietą, że jest po prostu zazdrosna. Uśmiechnąłem się, by dodać jej otuchy.

— To było dawno temu.

Andrew upierał się, że zapłaci.

— Nie, nie, nie, kolej na mnie. — Odsunął tacę z rachunkiem od Alice.

— Jesteś niedobry.

— Ty płaciłaś wczoraj — zareplikował.

Machnął ręką na widok dziesięciu euro, które trzymałem w palcach.

— Ja stawiam, Paul. Ty przejmiesz pałeczkę w inny wieczór.

Inny wieczór? O Boże, bylebym tylko nie musiał pokrywać całego rachunku.

Wziął kartę i podszedł do zgarbionej staruszki przy kasie. Dai-sy i Phoebe wróciły z toalety, gdzie poprawiały makijaż. Daisy się nie zmieniła, tylko miała czerwone usta, za to Phoebe dała czadu ostro podkreślonymi oczami i warstwą podkładu. Jeżeli chciała zrobić się na egipskie bóstwo, skończyła jako dziwka z Soho. Stanęły przy stole, żeby porozmawiać, kiedy mają wrócić do domu.

— Daj spokój, jesteśmy na wakacjach, to Agios Stefanos, tu jest bezpiecznie — przekonywała Daisy.

— Północ — odpaliła Alice.

— To bez sensu. Wiecznie się tylko stresujesz.

— Nigdy niczego nie robię wiecznie.

— No, Alice — odezwała się Tina. — Niech zostaną trochę dłużej. Mają już osiemnaście lat.

— Dobrze. Pierwsza. I ani minuty dłużej.

— Nie zapominajcie o mnie. — Louis dołączył do nas. — Wiecie, że z wami idę. — Wciąż miał na sobie czarną bluzę z kapturem i obróconą do tyłu fioletową czapeczkę baseballową (z napisem „Supreme” na daszku), a z paska zwisał mu gruby srebrny łańcuch.

— Serio? — zdziwiła się Phoebe. — Musisz? Mamo? Powiedz mu, że nie może.

Louis postąpił krok do przodu.

— Powiedz im, że mogę.

Phoebe przyłożyła mu dłoń do piersi i lekko go pchnęła. Postawił się, szturchając ją barkiem w twarz. Srebrny łańcuch uderzył ją w gołą nogę.

— Au! — zawołała.

— Oczywiście, że może. — Alice wyciągnęła ręce, żeby ich uspokoić. — Będziesz rozsądny, prawda, Louis? Piłeś już piwo i to na dzisiaj koniec.

— Nie wiem, po co w ogóle z nami idzie.

— Mogę, jak chcę. To wolny kraj.

— Przecież nie możesz pić. Nikogo sobie nie przygruchasz.

— Zobaczymy.

— W każdym razie ja nie będę cię niańczyć.

Pomyślałem sobie, że to dobra pora na papierosa, więc odsunąłem krzesło i wyszedłem na ulicę.

Zapaliłem, opierając się z boku o markizę restauracji. Andrew rozmawiał z Sofią.

— Co słyhać u wnuczki? — pytał z udawanym zainteresowaniem, wystukując kod.

— Mieszka w Elcondzie, pracuje w informacji turystycznej.

— Świetnie — stwierdził Andrew, wyjmując kartę. — Doskonale.

Odwrociłem głowę. Przy supermarkecie naprzeciwko trzej młodzi Anglicy z tatuażami na karkach wygłupiali się, próbując wrzucić lód za bluzki swoich koleżanek.

— Ty kutasie — wrzasnęła jedna z nich.

— No dobra. — Alice stanęła obok mnie. Rzuciłem papierosa na ziemię i zgmiotłem go butem.

Phoebe i Daisy pomaszerowały w stronę krańca zatoki, gdzie migotały światła i tętniła muzyka. Louis ruszył za nimi kołyszącym się krokiem, który wskazywał, że zależy mu na byciu cool. W tylnej kieszeni spodni zauważyłem paczkę fajek.

— Myślicie, że sobie poradzą? — zapytała Alice.

— Oczywiście — odezwała się Tina. — Obiecali, że będą trzymać się razem. — Spojrzała w oczy Alice i podjęła z naciskiem: — Nic się nie stanie. Tylko dlatego, że... Nie wolno... sama wiesz. — Ścisnęła ją za ramię. — Nic im nie będzie.

— No dobra, możemy wracać do domu. — Andrew stanął przy nas, wkładając portfel do tylnej kieszeni spodni. — Pora spać. Gdzie te chłopaki?

— Zdaje się, że szukają krabów na pomoście — powiedziała Alice. — Zaczekajcie, zawołam ich.

Grupa młodzieńców przeszła przez ulicę, wymachując rękami i śpiewając. Jedna z towarzyszących im dziewczyn wpadła na mnie.

— Cześć! My się znamy! — zawołała z akcentem spod Newcastle. Miała wielkie, czerwone usta i mocno splecione warkocze. Była to dziewczyna z autobusu, sobowtór Rity Ory z urwanymi klapkami, choć teraz szła bosą, czyli musiała dać sobie z nimi spokój.

Pomogłem jej złapać równowagę i potoczyła się dalej. Andrew zapytał z uniesioną brwią:

— Znacie się?

— Pomarzyć można.

Alice i chłopcy szli w naszą stronę pośród ciżby, za grupą dziewczyn — idiotyczne szpilki, miniaturowe topy, fale włosów, szprechające coś po niemiecku. Ile mogły mieć lat? Na oko piętnaście, szesnaście, choć wyglądały na starsze. Popatrzyłem na Andrew. Patrzył, jak suną w naszą stronę z ciężkim, pustym, martwym wyrazem twarzy.

Dostrzegł mnie i zawstydzony wzruszył ramionami, wciągając brodę, po czym sprawdził, czy Alice — a nie Tina — nie zwróciła na to uwagi.

Miałem zamiar kochać się z Alice, ale usnąłem, zanim zdążyłem się rozebrać, nie mówiąc o rozebraniu jej. Pamiętam, że słyszałem ją w łazience: plusk i brzęk w zlewie, lecz oczy same mi się zamykały i ogarnęła mnie ta gęsta, ciężka, ciągnąca się nieświadomość, przy której człowiek zastanawia się, czy nie został naszpikowany narkotykiem.

Co obudziło mnie kilka godzin później? Pragnienie? Gorąco? Bzyk komara za uchem? Leżałem w bezruchu, ubrany, na pościeli. Mruczał wiatrak pod sufitem. Jakiś pies

nieopodal szczekał, na chwilę przestał, potem zaczął szczekać od nowa.

W pokoju było gorąco i ciemno choć oko wykol, tak ciemno, że można było zapomnieć, czy oczy ma się otwarte, czy zamknięte. Alice nie poruszała się. Odwróciłem się do niej plecami, najciszej, jak się tylko dało, by znaleźć chłodniejsze miejsce na poduszce. Zbudziło mnie coś niepokojącego i dłuższą chwilę zajęło mi domyślenie się, o co chodzi. Gdy mi się przypomniało, znowu poczułem wstrząs. Florrie — nowina o jej śmierci.

Odwróciłem się do Alice pod wpływem nagłej potrzeby ludzkiego towarzystwa i wyciągnąłem po omacku rękę. Byłem już rozbudzony, czujny. Druga ręka, zaciśnięta w pięść, spoczywała poniżej brzucha; poczułem, że jestem podniecony.

Moja ręka trafiła w próżnię. Przesuwałem nią, klepałem w różnych miejscach — pomarszczone prześcieradło, gładka poduszka, przestrzeń, którą przed chwilą zajmowało jej ciało, włosy, twarz, usta. Nie było jej w łóżku.

Usiadłem, wpatrzony w mrok. Jeszcze kilka minut temu miałem pewność, że leży obok mnie. Czy to możliwe, że zasnąłem na chwilę, w czasie której ona gdzieś się wymknęła? Czy też jej cichy oddech był tylko tworem wyobraźni? Czy w ogóle nie kładła się do łóżka?

Przekręciłem się na miejsce, gdzie powinna leżeć, zanurzyłem twarz w jej poduszkę i wciągnąłem powietrze. Znowu ta delikatna woń figi i pigwy. Myśl o wewnętrznej stronie jej ud. Stęknąłem i zacząłem szukać włącznika światła, na próżno, wreszcie wstałem.

Drzwi na taras były nieznacznie uchylone, strumyczek nocnego powietrza lizał zasłonkę, wprawianą w ruch przez wentylator. Ruszyłem przez pomieszczenie, uderzając łydką w słupek narożny łóżka, i pchnąłem drzwi. Na zewnątrz było odrobinę jaśniej: księżyc jak ścinek paznokcia, czarne kształty zarośli i drzew. Pies ciągle szczekał, tutaj już głośniejszy, jak gdyby w desperacji. Nie sposób sobie wyobrazić, jak coś może bez przerwy tak hałasować.

Wyteżyłem słuch: inne odgłosy. Brzęk i cichy plusk. Śmiech. Pływała? Jeżeli tak, to z kim?

Szedłem boso przez taras; minąłem długi stół i zasłonięte drzwi do kuchni, obszedłem wielkie, sękatę drzewo, z którego zwisały płyty kompaktowe, by znaleźć się na szczycie ścieżki. Zacząłem schodzić, ale grunt był nierówny i skalisty, i nadziałem się palcem na korzeń albo kamień. Możliwe, że jęknąłem. Podskoczyłem, uniosłem stopę, żeby sprawdzić, co się stało i zauważyłem smugę krwi na półksiężycu ciała ponad paznokciem. Kolejny śmiech znad basenu.

Na końcu ścieżki stanąłem najciszej, jak umialem, pod figowcem. W wodzie były Daisy i Phoebe. Stały przy boku basenu, oparte na łokciach, paląc jednego papierosa; dostrzegłem jego iskrę. Ich nagie ciała połyskiwały biało, zniekształcone w świetle spod wody. Patrzyłem na napięte mięśnie ich barków, czekając, aż któraś się obróci i pokaże piersi. Były podpite — czy to wystarczy, by mnie do siebie zaprosiły?

Nie. Zły pomysł. Nie wolno zapominać o perspektywach na przyszłość. Ignorując pulsujący bólem palec, wróciłem cichutko ścieżką, podejmując poszukiwania Alice.

W domu nie paliły się żadne światła. Wróciłem do pokoju, cicho otwierając drzwi,

jakbym spodziewał się ujrzeć ją śpiącą. Zajrzałem do łazienki. Była pusta, ale skorzystałem z okazji i wysikałem się.

Okienko łazienki wychodziło na plac przed domem. Obluzowana szyba nieco grzechotała. Przysunąłem się i w oddali dosłyszałem warkot silnika, coraz bliższy, w miarę jak samochód wjeżdżał pod górę, a potem ciszę, gdy silnik zgasł. Otworzyły się drzwi minivana.

Szykowałem się, aby wyjrzeć na zewnątrz.

Srebrne auto stało przy domu, drzwi od strony pasażera były otwarte i stały przy nich dwie pochylone postacie — Alice i Andrew. Obydwoje ubrani, Andrew w koszulce polo, Alice w sukience, którą miała na sobie wieczorem.

Szeptali. Nie słyszałem, co mówili, ale potem Andrew odsunął się na bok, a Alice uklękła.

— No chodź, skarbie — szepnęła głośniejsz. — Obudź się. Chodź. Trzeba położyć się do łóżka.

Stęknęcie i niewyraźny okrzyk:

— Spadaj. — Zamach ręki i Alice odchyliła się do tyłu.

Andrew przejął inicjatywę. Napiął się i nachylił, potem zatoczył się pod ciężarem, który uniósł.

Louis. Półprzytomny. Chory? Nie. Sparaliżowany.

Przez kilka chwil mieli trudności z dobrym złapaniem chłopaka, ale wreszcie zdołali go unieść, drobna Alice ugięła się pod ciężarem. Na poły przeciągnęli, na poły wywlekli go za węgiel domu.

Byłem rozdarty. Nie miałem szczególnej ochoty im pomagać. Rzygowiny zawsze mi przeszkadzały — ten odór mnie odpycha. Potrzebuję się też wyspać, a może przyjdzie czuwać całą noc. A jednak, a jednak. Czy właśnie marnuję okazję na dalsze wkradnięcie się w łaski? I zawstydzenie Andrew?

Wyszedłem z łazienki, na palcach przeszedłem przez pokój i otworzyłem drzwi. Na tarasie nikogo. Jakies stuknięcia i bełkot, pojedynczy jęk gdzieś w głębi budynku. Pewnie zabrali go do jego pokoju. Zawahałem się, zrobiłem krok do przodu, potem wstecz. Może już za późno. Może już śpi.

— Paul?

Alice stała w cieniu. Ciemniejsza postać w mroku.

— Co ty robisz?

— Szukałem cię. Obudziłem się i cię nie było.

— No to jestem. — Stała zupełnie nieruchomo, w tej swojej baletowej pozie, z podciągniętymi ramionami.

— Obudziłem się i usłyszałem jakieś głosy — starałem się mówić rozspanym głosem. — Wszystko w porządku?

— Tak.

Zrobiłem krok w jej stronę, chcąc zobaczyć jej twarz. Miała zmarszczone czoło, jak gdyby przyłapała mnie na czymś podejrzanym.

— Czemu jesteś ubrany?

— W ogóle się nie rozbierałem. Zasnąłem w ubraniu. A gdy przed chwilą się

obudziłem, nie zastałem cię w łóżku.

— Wstałam sprawdzić, czy Louis wrócił cały i zdrowy.

— I?

— Wszystko dobrze. Śpi jak zabity. Wracam do łóżka. A ty?

Przeszła koło mnie, chwytając moją rękę, poszedłem więc za nią. Najwyraźniej nie chciała mówić o Louisie. Było jej wstyd. To mógł być tylko dobry znak. Dowód, że zależy jej na moim zdaniu na temat chłopaka bardziej, niż sobie to uświadamiałem.



## Rozdział 10

Spałem długo. Alice już wstała. Włożyłem kąpielówki Andrew i koszulkę, wziąłem książkę i wyszedłem na taras. Panował upał na serio, słońce przedzierało się przez winorośl, z której zwisały nieprzyzwoicie ciężkie grona. Stół był nakryty do śniadania — filiżanki, talerze, dzbanek kawy, masło i miód. Jedną z filiżanek przewrócono, by złapać w nią jakiegoś owada. Uważnie mu się przyjrzałem: skrzydlata krewetka. Nieruchoma, milcząca cykada.

Uniosłem szklanę, by ją wypuścić, ale nie poruszyła się. Robiła wrażenie pogrążonej w smutku, z jedną nogą przekrzywioną. Zastanawiałem się, czy zdechła. Na okładce *Z zimną krwią*, która posłużyła za nosze, przenieśliem ją do doniczki z lawendą i ostrożnie zsunąłem. Wciąż się nie poruszała.

— Co to? — Tina stała w drzwiach kuchni w szlafroku z różowego płótna.

— A, nic. Tylko ratuję jedno z cennych stworzeń tej ziemi.

Siadłem przy stole i rozłożyłem na kolanach serwetkę.

— Bardzo tu ślicznie. Widziałaś Alice?

— Poszła po chleb.

Wyszła na taras i przysunęła sobie krzesło. Piersi pod materiałem wisiały ciężko. Pod oczami miała smugi tuszu, włosy jak nigdy luźno rozpuszczone.

— Czy nie jesteśmy w raju? — spytałem, pokazując widok, zastawiony stół, dzbanek kawy. — Czyż nie jesteśmy szczęściarzami?

— Ktoś tu jest w dobrym nastroju — zaśmiała się. — Owszem, jesteśmy.

— Powinniśmy wstać wcześniej i się tym cieszyć.

— Ja prawie wstałam. O świcie zbudziło mnie pianie koguta.

— Bez przesady. — Głos Andrew z kuchni. — To wcale nie było o świcie.

Skrzywiłem się i szepnąłem porozumiewawczo:

— Prawdopodobnie było. Skoro to kogut. To należy do ich obowiązków.

Tina zabalgotała śmiechem, a ja nalałem nam po filiżance kawy. Andrew wyłonił się z kuchni i stanął w progu, schylony nad smartfonem BlackBerry. Włożył szorty khaki i granatową koszulkę polo — nową, jak spod igły: miała dwa symetryczne zgięcia w miejscach, gdzie została złożona w opakowaniu. Jęknął zniecierpliwiony i zaczął gorączkowo stukać w klawiaturę.

Tina podała mi karton mleka, na które machnąłem ręką. Wyglądało na pasteryzowane.

— Jak ci się spało? — zapytała.

— Dobrze. — Spojrzałem na nią uważnie. Czy wiedziała o -Louisie? — Budziłem się kilka razy.

Andrew wsadził telefon do tylnej kieszeni szortów i przysiadł się do nas.

— Budził cię ten pies? — zapytał. — Szczekał dosłownie całą noc.

— Nie przesadzaj — zauważyła Tina. — Nie całą.

— Być może — przyznał. — W każdym razie mocno się starał.

Rozmawialiśmy trochę o podejściu Greków do zwierząt, o braku sentymentalizmu. Tina, która podobno nic nie słyszała, zastanawiała się, czy biednego kundla w ogóle

ktokolwiek karmił i czy kiedykolwiek miał szansę się przespać. Ja dywagowałem na temat tego, jak podchodzi do swoich obowiązków stróża: czy wyczuwa każdego przybysza, czy też szczerka rozpaczliwie w pustkę, mając nadzieję, że ktoś przyjdzie.

— Sęk w tym — stwierdziła Tina — że hałas nie dość, że przeszkadza, to jeszcze niepokoi, i prawdopodobnie dlatego Andrew nie mógł zasnąć. To tak jak imprezujący do późna w nocy sąsiedzi. Hałas tylko budzi, ale to brak szacunku dla innych nie daje spokoju.

— Emocjonalna strona hałasu — podsumowałem.

Andrew odstawił filiżankę i wstał. Z ważną miną postukał w leżący na dłoni telefon. Powiedział, że można spróbować się dowiedzieć, kto odpowiada za psa — być może wykonawca budowy — i się z nimi rozmówić.

— Nie dość, że za dnia rozkopują nam ziemię, to jeszcze nie dają spać po nocach.

Mimochodem zauważyłem zaimbek „nam”, ale bez zwracania na to szczególnej uwagi.

Na ramię padł mi promień słońca, poczułem jego żar, pieczenie skóry. Zapowiadał się upalny dzień. Nachyliłem się, żeby podrapać ugryzienie na kostce, i natychmiast zdałem sobie sprawę z innych: na szyi, rękach i twarzy.

— Kurde — zawołałem, macając je palcami. — Zjadły mnie żywcem.

— Kąsają tylko samice — poinformował mnie Andrew. — Wiedziałaś? Samcom wystarcza nektar. Tylko samicom zależy na krwi.

— Co ty nie powiesz? — zdziwiłem się w ramach męskiej solidarności, co go rozśmieszyło.

Usłyszeliśmy trzęsący się na wertepach samochód, wysokie obroty silnika na ostatnim, stromym odcinku pod górę. Potem cisza, trzaśnięcie drzwiami i zza węgła wyszła Alice. Na bikini nałożyła szorty i bezrękawnik. Szła ze zmarszczonym czołem.

— Cześć, skarbie — zagaiłem, chcąc wywołać jej uśmiech.

Nie odpowiedziała, tylko szybko do nas podeszła. Położyła na stole papierową torbę i powiedziała do Andrew:

— W porcie roi się od policji. Wczoraj wieczorem coś się stało w klubie. Została zaatakowana jakaś dziewczyna. — Złapała za oparcie mojego krzesła, lecz nie patrzyła na mnie. — Gdzie Phoebe i Daisy? — spytała Tinę.

— Jeszcze śpią — odparła Tina. — Coś okropnego. — Ostrożnie wyłożyła na stół zawartość torby, dziewięć nektarynek i płas-ki, szarawy bochen chleba. — Usiądź. — Poklepała krzesło obok i Alice niechętnie na nim przysiadła. Andrew stał na tarasie z rękami założonymi na kark i wbijał wzrok w Alice.

— Została zgwałcona? — spytał.

Mięsień w brodzie Alice drgał, ale głos zachowała spokojny:

— Nie wiem dokładnie, wiem tylko, że w porcie jest pełno policji. Kobieta w piekarni powiedziała, że kręcili się tam całą noc. Także niewiele wiedziała. Tylko tyle, że chodzi o młodą dziewczynę. Znalaziono ją w wodzie, posiniaczoną, bełkoczącą — pewnie wstrząśniętą, pijaną; jej ubrania były porwane. Myślę, że mogła zostać zgwałcona.

— Biedactwo — odezwałem się. — Mam nadzieję, że znajdą tego gnoja.

Wyciągnąłem rękę po chleb. Z wyglądu niepozorny, za to pachniał cudownie,

drożdżowo, był jeszcze ciepły. Możliwie najdyskretniej oderwałem kawałek i włożyłem go do ust.

— Dziewczyny nic nie mówiły, prawda? — Alice zwróciła się do Andrew. — Nic nie widziały?

— Nie rozmawiałem z nimi.

— Ciekawe — powiedziała Tina — czy będą musiały składać zeznania.

— A Louis? — odezwałem się, przelękając chleb.

Alice popatrzyła na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

— To znaczy?

— Po prostu przyszło mi do głowy, że być może on coś widział.

Pokręciła głową, spojrzała na Andrew i z powrotem na mnie.

— To niemożliwe. Wrócił wcześniej, o wiele wcześniej niż dziewczyny.

— Aha. — Czyli w ten sposób prezentowała jego wpadkę. — Skoro tak mówisz.

Andrew bawił się telefonem.

— Zadzwoń do Gavrasa? — spytał. — Dowiedzieć się, co w trawie piszczy?

— Nie wiem. — Alice popatrzyła na niego, a potem odwróciła wzrok. Strzepywała palcami, jakby chciała je wysuszyć. — Tak. Nie. Wyszłoby na to, że się wtrącamy.

— Kto to jest Gavras? — zapytałem.

— Komendant policji w Pyros — powiedział Andrew. — Zastępca komendanta z czasów zaginięcia Jasmine. Dobrze mówi po angielsku. Przez ten czas wiele razy się z nim kontaktowaliśmy.

Ująłem dłoń Alice, żeby spróbować powstrzymać jej nerwowe ruchy.

— Moim zdaniem nie trzeba się w to mieszać. Przynajmniej Daisy i Phoebe nic nie jest. — Uśmiechnęła się z wdzięcznością, ściskając moją rękę. — Cała sprawa na pewno szybko ucichnie. Z pewnością знаła napastnika. Tak zwykle bywa, prawda?

Zapadło ponure milczenie.

— Złapią sprawcę — ciągnąłem — i wsadzą go za kratki. — Z początku próbowałem uspokoić Alice, dodać jej otuchy świadomością, że jej córce nic nie grozi, ale stopniowo coraz bardziej zaczynał podobać mi się dźwięk własnego głosu. Przestałem się pilnować. — Wiecie, jakie dziewczyny wpadają w tarapaty: te, które lekceważą inną kulturę, nieodpowiednio się ubierają, za dużo piją, prawdopodobnie flirtują, epatują nagością...

— No nie, Paul — weszła mi w słowo Tina. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że „sama tego chciała”?

— Oczywiście, że nie. — Boże, rozmowa o takich sprawach zawsze była trudna. — Po prostu... pozory mogą mylić. Być może sprawa jest bardziej skomplikowana. Albo mniej. Pochopnie wyciągamy wnioski. Czy naprawdę została zgwałcona? Daj spokój, Andrew. Sam widziałeś takie dziewczyny, jak wyzywająco zachowywały się wczoraj w porcie.

Popatrzył na mnie z boku, kątem oka, jak ktoś podchodzący do niebezpiecznego zwierzęcia.

— Nie — wybąkał.

— Daj spokój, widziałem, jak na nie patrzysz! Te w kusych spódniczkach, seks na

patyku. Ubierające się jak dziwki, choć nimi nie są.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Właśnie, że wiesz. — Wpiłem się w niego wzrokiem.

— Seks na patyku? Ja bym tak nie powiedział. Hm... Raczej nie.

Alice wstała i przeszła do krzesła, na którym wisiał ręcznik. Wzięła go i zeszła po stopniach w kierunku basenu. Ani Tina, ani Andrew nie patrzyli na mnie. Tina powiedziała:

— Obudzę dzieci, a potem sama się ubiorę. Strach pomyśleć, że już prawie jedenasta, a ja ciągle w szlafroku.

Andrew wspomniał coś o nastawieniu prania. Posprzątałem ze stołu, a potem zabrałem książkę i papierosy na ozdobną ławkę, o której zaczynałem myśleć jak o swojej „palarni”. Pies nareszcie się zamknął. Czoło pokrywał mi pot. Wiedziałem, że popełniłem błąd. Byłem wściekły na Andrew za to, że nie stanął po mojej stronie, ale wiedziałem też, że mówiłem rzeczy, w które nie wierzyłem, a które z łatwością można było opacznie zrozumieć.

Wyciągnąłem się jak długi na drewnianej ławce, zamknąłem oczy.

Kiedy je otworzyłem, stała przede mną Alice. Nie słyszałem kroków jej bosych stóp na stopniach, a potem na tarasie, najpewniej zagłuszonych przez cykady. Włożyła praktyczny, granatowy kostium kąpielowy Speedo w paski. Włosy miała mokre i ściągnięte. Palcem i kciukiem trzymała jak mokrą szmatę mój płaszcz.

— Zostawiłeś go przy basenie. Artan przez pomyłkę oblał go wężem. Jest przemoczony.

— O kurczę.

— Na słońcu za chwilę wyschnie. — Przerzuciła go przez poręcz ławki i siadła obok. Wyraz jej twarzy był nieprzenikniony, za to szybko zwarła, rozwarła i znów zwarła kolana, co uznałem, w połączeniu z tym, że siadła na ławce, za gest pojednawczy.

— Chyba że się zbiegnie.

— Nie wiem, po co go tu przywiozłeś. Jest trzydzieści pięć stopni.

Zajrzałem jej w oczy.

— Brak pewności siebie — oznajmiłem. Opowiedziałem, jak dzieci z pobliskiego Domu Dziecka Doktora Barnardo co roku przyjeżdżały do mojej podstawówki i ani na chwilę nie zdejmowały ubrań.

— Właśnie tak się tu czuję — wyjaśniłem. — Chłopak od Doktora Barnardo.

Popatrzyła na mnie poważnie.

— Nie rozumiem. Czujesz się niepewny?

— Te moje głupie uwagi. Tak, możliwe, że w tym towarzystwie tracę grunt pod nogami.

— Naprawdę tak się czujesz?

Raptem poczułem chęć, by powiedzieć jej całą prawdę: że kłamałem na temat swego życia, powieści, mieszkania; wyznać, że udaję, a chcę przestać. Być może wszystko ułożyłoby się inaczej. Kurs, który obraliśmy, mógł ulec zmianie. Ale chwila minęła bezpowrotnie.

W oddali, za głową Alice, lśniło srebrne morze. Kilka przechylonych żaglówek

pruło wody. Przeciągnąłem się, ziewnąłem, położyłem jej rękę na szyi. Chciałem jakoś poprawić jej nastrój.

— Rzucę dziś okiem na tego twojego pikapa — obiecałem, ignorując pytanie — gdy się trochę ochłodzi. Jak dobrze pójdzie, to może już wieczorem nim pojedziemy.

Odwróciła się i pocałowała mnie w ramię.

— To miłe.

Obróciłem delikatnie jej rękę, by ucałować dłoń. Nadgarstek przecinały dwie sine pręgi. Czy to ślady paznokci Louisa? Przesunąłem po nich palcami. Zabrała rękę i wstała, jakby uznała spotkanie za skończone.

— Idę jeszcze popływać. A ty?

— Za chwilę.

Ujęła rękaw rozłożonego płaszcza, by go zaraz wypuścić.

— Przykro mi, Paul, ale jest wulgarny. Jak prochowiec ekshibicjonisty.

— Tweed — zaoponowałem żałośnie.

Niedługo potem zaczęła się budowa, przesuwanie mas ziemi, zgrzyt i warkot jeszcze bardziej masywnych maszyn. Nie chodziło o hałas, choćby głośny, ani drgania, od których trzęsła się ziemia, tylko o niepokojące poczucie, że oto trwa nie budowa, tylko niszczenie. Miało się poczucie bycia obserwowanym, ingerencji. Nerwy stawały się napięte jak postronki. Porzuciłem ławkę, która przestała być zaciszem, i przeniosłem się na główną część tarasu, gdzie zastałem siedzącego przy stole Louisa. Owinięty w ręcznik, nagi od pasa w górę; blada, pryszczata klatka piersiowa, czerwone rozstępy tuż nad linią ręcznika i plamy oparzenia słonecznego na ramionach. Oparł głowę na ręce, czoło miał złane potem, włosy mokre. Na stole stała nietknięta miska płatków z mlekiem.

— Wyglądasz na odrobinę złachanego — stwierdziłem.

Oczy miał szkliste, podkrążone. Rozdziawił usta, ale nie odpowiedział — nawet słowa kosztowały zbyt dużo wysiłku.

— Długa noc?

Wydał nieartykułowany dźwięk, coś na podobieństwo stęknienia, podniósł łyżkę z płatkami, ale rozmyślił się i ją odłożył.

Przy basenie Phoebe i Daisy spały na leżakach, zakrywając głowy rękami, z nagimi plecami o krzywiznach instrumentów muzycznych — skrzypiec albo drogich gitar. Artan zamiatał przy basenie szerokimi, regularnymi zamachami gumowej szczotki, spoglądając na nie. Daisy uniosła głowę i go zobaczyła.

— Artan, rzuć mi olejek do opalania, dobrze?

Wziął olejek ze stołu i jej przyniósł.

— Milusi jesteś.

Alice i Andrew stali na drugim końcu niższego tarasu, patrząc na niebo i cicho rozmawiając.

— Louis wstał — oznajmiłem, podchodząc do nich. Na dźwięk mojego głosu obrócili się jak na sprężynach.

— Tak — potwierdził Andrew. — Zbudziłem go, ale nie był to chyba dobry pomysł. Ciągłe jest nieco zmęczony.

— Dzisiaj może się wcześniej położyć — powiedziała Alice.

Andrew popatrzył na telefon.

— Zajrę do niego. Sprawdzę, czy ma co jeść.

— Powodzenia — rzuciłem.

— Dziękuję — powiedziała Alice do Andrew. — Może da się namówić na prysznic?

— Zrozumiano. — Andrew lekko zasalutował i odmaszerował ścieżką w górę.

Harmider, który ustał na kilka minut, rozpoczął się na nowo.

— O Boże — westchnęła Alice, odwracając się znów ku morzu. — To straszne, straszne. Są znacznie bliżej niż wczoraj, praktycznie na naszej ziemi. Jutro dotrą do zagajnika.

— Mogliby zdobyć się na grzeczność i odczekać do końca urlopu — zauważyłem.

— Akurat — uśmiechnęła się.

— Co gorsze, koparka czy pies? — Usiłowałem ją rozbawić.

— Sama nie wiem.

— Moim zdaniem koparka jest lepsza. Przynajmniej nie trzeba się przejmować, czy dostała jeść i nie czuje się opuszczona. I nie próbuje rozpaczliwie dokopać się do jądra Ziemi.

Znowu się uśmiechnęła, odsunęła z ust kosmyk włosów, a potem poszła do grillowiska i siadła na metalowym krześle. Wyprostowała nogę i przyjrzała się kostce — ugryzienie komara bądź wrastający włos.

Znalazłem wolny leżak i położyłem się z westchnieniem. Postanowiłem nie zwracać uwagi na hałas. Otwarłem książkę.

Czas mijał. Pojawili się Frank i Archie, skoczyli na główkę do basenu, potem pływali w tę i z powrotem na wyścigi, zbijając wodę w pianę. Przyszła Tina z pudełkiem farb i w końcu, bardzo powoli pokonując stromą część ścieżki, nadciągnął Louis. Stał pod figowcem u dołu schodów, nie patrząc na nikogo, potem wolno, powłócząc nogami i ze spuszczoną głową, przeszedł na drugi koniec basenu. Legł na leżaku plecami do słońca, z rękami spuszczoneymi na ziemię.

Zasnąłem. Nie wiem, na jak długo. Gdy się przebudziłem, koparki cały czas warczały, ale zostałem sam: puste leżaki, szklana tafla wody w basenie.

Tina stała przy schodach. Widziałem ruchy jej ust.

— Paul! — powtarzała. — Paul.

Zerwałem się na równe nogi, świat stał się czarno-biały, kręciło się w głowie, szumiało w uszach.

— Paul — powtórzyła, idąc w moją stronę. Włożyła następny namiot, tym razem z wyblakłego materiału w stylu lat sześćdziesiątych, ozdobionego łódkami. — Nikt nie kazał ci się szykować?

— Szykować?

— Wynajmiemy kajaki i urządzimy piknik. Obiecaliśmy to dzieciom w tym roku. Alice miała ochotę uciec od tego rozgardiaszu. Wszyscy siedzimy w samochodzie i czekamy na ciebie.

— No dobrze. — Zrobiłem smutną minę, opuszczając kąciki ust. — Nikt mi nie powiedział.

Narzuciłem na głowę koszulę i poszliśmy ścieżką, potem wokół tarasu przed dom. Twarze w oknach samochodu. Pracujący już silnik. Pomyślałem sobie, że może ktoś przypomniał sobie o mnie dopiero wtedy, gdy zbierali się do odjazdu. Nie. Alice by nie zapomniała. Tina otworzyła bagażnik, spojrzała na mnie wyczekująco — „przepraszam, nic więcej nie zostało” — i wsiadłem, moszcząc się między dwoma dużymi płóciennymi torbami na plażę. Zgiąłem się wpół, dotykając kolanami twarzy, z karkiem sztywnym od wysiłku trzymania głowy nachylonej.

— Przepraszam, że musieliście na mnie czekać — zawołałem wesoło. — Spałem.

Alice siedziała zaraz przede mną, na środku ostatniego rzędu foteli. Odwróciła się.

— Możesz spać w każdych warunkach.

— Mam czyste sumienie.

Wyciągnęła rękę, zdołała sięgnąć do mojego ramienia.

— Też bym tak chciała. — Po czym dodała szeptem: — Wybacz.

Andrew zjechał do głównej drogi, a potem zaraz w prawo, przy drogowskazie do Klubu Plażowego Delfinos. Nie widziałem zbyt wiele zza toreb.

— Czy to nie jest terytorium nieprzyjaciela? — spytałem, gdy wjeżdżaliśmy na parking na końcu długiego, asfaltowego podjazdu. — Czy to nie wrota piekieł?

Wszyscy się wyładowywali. Męczące oczekiwanie, aż skończą się przeciągać, zbierać i zamkną drzwi. W końcu drzwi bagażnika podniosły się. Stał za nimi Andrew.

— Tylko tu mają kajaki — oznajmił sucho.

Wszystko białe, oślepiająco białe. Białe ściany i pomalowane na biało chodniki. Hotel nowoczesny i kanciasty, połączenie wibracji Wschodu i Grecji, z pomalowanymi turkusowo okiennicami, bambusami w doniczkach i małymi okienkami. Kilka szpiczastych palm na wysypanych białym kruszywem klombach. Dość młoda kobieta z ogromnym worem pościeli wyłoniła się z jednych drzwi i zniknęła w innych. Słyszałem płacz niemowlęcia w pokoju na piętrze. Poza tym panowała osobliwa pustka. Ani śladu hord maruderów, którzy napełniali Alice i Andrew taką grozą.

Andrew wziął jedną z płóciennych toreb i wręczył mi drugą, po czym ruszyliśmy jak kolejna horda maruderów przez parking w stronę końca budynku, zza którego migła plaża: skrząca się woda z małymi, igrającymi falami, parasolki w stylu rustykalnym, zrobione z suszonych i uplecionych w maty liści palm, pas kremowożółtego piasku. To tu skryli się ludzie. Słysząc było nawoływania i dźwięczne krzyki, jedyne w swoim rodzaju, dźwiękowe tło plaży, podobne do ptasiego śpiewu. Strzałka na bocznej ścianie budowli wskazywała drogę do recepcji i Andrew, nakazując dzieciom czekać na zewnątrz, pchnął drzwi, przytrzymując je przed Alice i Tiną. Zawahałem się, nie pierwszy raz nie mając pewności, czy sprzymierzyć się z dorosłymi, czy z ich potomstwem, ale wszedłem do środka.

W niewielkim pomieszczeniu było zimno i pachniało sztuczną wanilią. Szum w kratce klimatyzacji w ścianie i świeca płonąca na długim kontuarze. Po naszym wejściu w stronę drzwi spojrzało trzech mężczyzn — jeden siedział za kontuarem, dwóch stało, ubranych w grube, granatowe spodnie i sztywne, białe koszule z rękawami równo podwiniętymi za łokcie. Policja. Na paskach wisiła broń.

Alice zrobiła krok do przodu. Zająknęła się, jak gdyby odrobinę za późno wzięła

oddech.

— Poruczniku Gavras.

Starszy z dwóch policjantów był wysoki i muskularny, z krótkimi, szpakowatymi włosami, grubymi, brązowymi rękami i niebieskimi oczami w opalonych fałdach twarzy.

— Pani Mackenzie — odpowiedział uprzejmie. — Państwo Hopkins.

Uściskał po kolei ich dłonie, po czym poprawił pasek w spodniach, wtykając koszulę po bokach i z tyłu. Pod pachami miał plamy potu. Przedstawił ich młodszemu koledze, Angelo Dasiosowi o symetrycznej urodzie gwiazdora filmowego, i Iannisowi, „kierownikowi hotelu”, grubasowi z bokobrodami i marynarką à la Nehru we wzorki. Nikt nie przedstawił mnie, stojącego przy tablicy ogłoszeń w głębi sali, a i ja nie chciałem wychodzić przed orkiestrę.

Wypowiedzieli parę niezręcznych komunałów o pogodzie i liczbie turystów.

— Dostał pan nowe plakaty? — zapytała Alice.

— Tak, oczywiście. — Odwrócił się do niej. Uśmiechnął się, miał stanowczy zarys szczęki. — Rozmieściliśmy je w najważniejszych punktach wyspy.

— Nie widziałam żadnego — oznajmiła Alice. — To ja wszędzie je rozklejałam i rozdawałam, komu mogłam.

— Mimo to zapewniam — zareplikował z uśmiechem wąskich ust — że zostały rozdzielone.

Było widać, jak bardzo ciąży mu obecność Alice i Andrew. Trwająca od dziesięciu lat. Tyle hałasu z powodu martwej dziewczyny.

— Ja widziałem jeden — wyrwałem się. — Na latarni w -Elcondzie.

Gavras przekręcił głowę i zauważył mnie.

— O, proszę. Niezależny świadek. — Wyraźnie wziął mnie za przypadkowego gościa hotelowego. — Zapewniam panią raz jeszcze, pani Mackenzie, że nikomu nie zależy bardziej niż mnie na znalezieniu Jasmine Hurley. — Wypowiedział jej imię i nazwisko w szczególny sposób: „Jazaminer Urlej”.

Po chwili ciszy odezwał się Andrew:

— I słyszeliśmy o wczorajszym napadzie w Agios Stefanos. Chyba gwałt, prawda? Okropne. Jakby tylko tego brakowało.

Gavras pogładził palcem brew.

— Właśnie z tego powodu tu jesteśmy. Niedobrze.

Iannis, kierownik hotelu, wydobył gdzieś spomiędzy nosa i gardła dźwięk mający wyrażać przyzwierzenie.

— Co się stało? — spytała Tina. — Może nam pan powiedzieć?

— Nieszczęśliwy zbieg okoliczności — odparł. — Młoda dziewczyna wyszła sama zaczerpnąć świeżego powietrza. Wszystko wskazuje na to, że napastnik wykorzystał jej stan upojenia, zabrał ją w jakieś odosobnione miejsce i... hm...

— Nasze dziewczyny były wczoraj wieczorem w klubie — podjęła Tina. — Mówią, że nic nie widziały, ale jeśli chce pan z nimi porozmawiać, z pewnością chętnie odpowiedzą na wszystkie pytania.

— To się przyda. — Policjant wyjął z kieszeni na piersiach mały notes. — Staram się zebrać nazwiska wszystkich, którzy tam wtedy byli. Dziewczeta nazywają się...



— Phoebe Mackenzie i Daisy Hopkins. — Alice uprzedziła Tinę. — Można się z nimi skontaktować za moim pośrednictwem.

Czekałem, aż wspomni o Louisie, ale się nie doczekałem.

— To wszystko? — zapytał.

— Tak. — Stała nieruchomo, ręce o mocno splecionych palcach trzymała za plecami. — Poruczniku Gavras, czy dziewczyna widziała napastnika?

— Tego nie mogę powiedzieć. Mamy jednak podejrzanego, którego będziemy chcieli przesłuchać.

— Ach tak? On mieszka tutaj? Może go znała?

— Nie mogę powiedzieć nic więcej. Właśnie z tego powodu... jak mówię... — Spojrzenia jego i kierownika hotelu spotkały się. Zauważyłem, że Alice odrobinę rozluźniła ramiona.

— W takim razie — pojęła jego niewypowiedziane słowa — na nas już pora.

— Tak. — Gavras lekko się skłonił. — I tak już zabrałem państwu zbyt wiele czasu.

Ale musieliśmy jeszcze zapłacić za kajaki i „kartę dzienną”, która dawała do nich dostęp. Gavras i jego przystojny pomocnik musieli się odsunąć, żeby Andrew mógł podejść do terminalu, który Iannis wyjął spod kontuaru. Andrew wpisał kod. Nie pomyślałem o zabraniu ze sobą pieniędzy, więc po cichu się ulotniłem.

Frank i Archie gdzieś zniknęli. Phoebe i Daisy rozmawiały z paroma dziewczynami, widoczne na skraju plaży. Za to Louis opadł na ziemię przy ścianie z nogami wyciągniętymi na ścieżkę. Miał nabiegnięte krwią oczy i był bladozielony; z trudem przeżywał.

— O kurczę — powiedziałem. — Chcesz wody?

— Nie. Nic.

Drzwi otworzyły się i zjawili się pozostali. Alice cicho krzyknęła z przerażenia na widok Louisa na chodniku i wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu wstać.

— Przepraszam, przepraszam — mamrotał, dźwigając się na nogi. — Chyba zaraz zwymiotuję.

— Dobra, chwileczkę. — Zaczęła się gorączkowo rozglądać, żeby na widok strzałki z napisem „Sklep i toalety” skierować go z powrotem w stronę parkingu. Zawołała jeszcze przez ramię: — Czekaście na nas.

— Nie przejmuj się — odezwał się Andrew. — To prawdopodobnie tylko udar.

Uniosła rękę na znak potwierdzenia i zniknęła za węglem.

Tina i Andrew stali zapatrzeni na morze ze znudzonymi uśmiechami na twarzach. Powiedziałem, że idę zapalić, i wyszedłem z cienia na intensywne słońce. Zapaliłem papierosa i ogarnąłem wzrokiem całą scenę. Zawsze dziwnie jest odkryć innych urlopowiczów na wakacjach tuż obok ciebie. Nie jakąś willę wysoko w górach, tylko plażę pełną ruchu, wrzawy, organizacji. Zapach olejku kokosowego i kremu do opalania Nivea. Rzędy jachtów Laser i kajaków nad wodą jak wyrzucone na piasek wieloryby. Matka pomagała maluchowi w budowie zamku. Dwie dziewczyny w bikini rzucały frisbee. Radosne wrzaski grających w siatkówkę; pluski z basenu bardziej na prawo, być może zza tamtych palm. Inni. Tłumy. Poczulem kłującą tęsknotę za mieszkaniem w Bloomsbury, za głosami dzieci, które czasem przynosił wiatr.

Odwróciłem się, zgasilem papierosa w importowanym piasku. Znalazłem się na tyle blisko Phoebe i Daisy, by częściowo słyszeć ich rozmowę z dwoma nieznanymi — dziewczynami o długich, mokrych włosach, owiniętymi w pasujące do siebie ręczniki w niebiesko-białe paski. Postąpiłem jeszcze krok.

— Była naprawdę strasznie pijana — mówiła jedna. — Piła praktycznie cały dzień. Dlatego potem kapała się w morzu — głupio, bo słona woda zatarła wszystkie ślady.

— Wątpię, żeby w ogóle wiedziała, co się dzieje — powiedziała druga.

— A kto to zrobił? — zapytała Phoebe.

— Wszyscy mówią o bracie Kylie, Samie. Naprawdę wpadła mu w oko i chodził za nią cały wieczór.

— Który to? — spytała Daisy.

— Taki młody, trochę przyszczaty, długie, kasztanowe włosy opadające nieco na oczy.

Dziecko budujące zamek zaczęło się drzeć i uderzać w wiaderko. Nie dosłyszałem następnych słów Phoebe, a potem dziewczyny nagle się rozdzieliły. Zza budynku wyłonili się Andrew, Tina i Alice, za nimi dreptał Louis. Dziewczyny minęły ich, odwracając się w drugą stronę. Alice odprowadziła je wzrokiem.

— Kto to?

Phoebe odrzuciła włosy na ramię.

— Takie znajome z Klubu 19. Umawialiśmy się na wieczór.

— Dziś raczej nici z pójścia do klubu — stwierdziła Alice.

— Wątpię, żeby był otwarty — włączył się Andrew. — A nawet gdyby był, musicie słuchać matki.

— To nie fair. Im rodzice pozwalają wyjść dzisiaj na miasto — protestowała Phoebe. — A one znały tę zgwałconą dziewczynę. Mówię serio. Rozmawiały z nią.

— Mamy na uwadze wasze dobro — oświadczył Andrew. (Boże, ale on umiał być nadęty).

— Nam coś takiego się nie zdarzy — wypaliła Phoebe. — Nie zgwałcą nas, bo po pierwsze, nie jesteśmy takie głupie, żeby się rozdzielać, po drugie, nie zamierzamy się tak strasznie upić, a po trzecie, nie będziemy flirtować tak jak ona, żeby zachęcać jakiegoś zajoba.

Zdumiewał mnie egocentryzm nastoletniego mózgu. Żeby uzyskać pozwolenie na wyjście, Daisy i Phoebe zwały całą winę na ofiarę. Przytaczały te same argumenty, którymi sam naraziłem się w rozmowie rano. I wtedy Daisy rzuciła:

— I ewidentnie na niego leciała — chodziła w jego butach.

Na te słowa poczułem nagły niepokój i odwróciłem się w stronę rozmawiających.

— Czemu?

— Klapki jej pękły czy coś takiego — odpowiedziała Daisy.

— Skąd była?

— Chyba z Newcastle.

Poczułem, jak krew uderza mi do głowy, i odwróciłem się w stronę morza, żeby nikt nie zauważył. Zgubione klapki. Newcastle. Czyli zgwałcona została dziewczyna z autobusu. Ta, która wyglądała jak Rita Ora. „Ty kutasie”. Jak się nazywała? Laura.

Początkowo lekceważyłem sprawę, nie myśląc wcale o ofierze, a teraz cała ta historia nabrała realnych, okropnych kształtów. Wraciał tłumiony niepokój. Czy Louis był w to zamieszany? Czy Alice go chroniła?

— Przepraszam.

Odwrociłem się. Z drugiej strony nadchodził łysy, zwałisty policjant, brnąc przez piasek w swoich buciorach, z bronią połyskującą przy pasie. Za przedramię prowadził jakiegoś młodego chłopaka. Ten, zaledwie piętnastolatek z długimi, chudymi rękami, miał na sobie kąpielowe szorty i luźną kamizelkę, był boso. Nie dało się nie zauważyć różnicy ich mas, wyobrazić odcisku kciuka wbijającego się w ramię. Chłopiec miał długą, wąską twarz i pusty wzrok. Zagryzał wargę.

Zszedłem im z drogi. Minęli mnie; mężczyzna cały czas ścisnął rękę młodzieńca. Chłopak obejrzał się raz przez ramię, niezgrabnie pocierając oko dłonią, po czym ruszyli wzdłuż budynku w kierunku recepcji.

Wszyscy staliśmy i się im przyglądaliśmy. Po chwili milczenia Tina odwróciła się, pytając z rozwartymi ustami:

— To chyba nie może być ten podejrzany? Wygląda, jakby miał ze dwanaście lat.

— Wiem — potwierdziłem. — Boże. Biedak. To znaczy oni chyba wiedzą, co robią.

— Z pewnością — odezwała się Alice. Louis znowu opadł na piasek, na co trąciła go stopą. — No dalej, wstań. Idziemy. — Zatrzymanie chłopaka było jej jakby obojętne, wręcz sprawiało ulgę. Uśmiechnęła się do mnie dziarsko i beztrósco ruszyła ku kajakom.

## Rozdział 11

Woda pode mną straciła kobaltową barwę, którą miała z oddali, zmieniając się w czarną i groźną, pełną niebezpieczeństw. Czaiły się w niej nierówne pumeksowe granie, ostre szpice i załomy, nagłe plamy ciemności.

Bałem się, że się przewrócę i wpadnę w otchłań. Starłem się skupić na wiosłach, na kącie zanurzenia piór. Była to ciężka robota i zadyszałem się, w gardło drapał ten uciążliwy żar. Wielka, żółta kamizelka ratunkowa wywoływała swędzenie pod pachami.

Hotel, dwa białe sześciany ponad wodą, oddalił się. Po lewej miałem wysepkę — czy to „skała Sereny”? Alice pozostawiła mnie w tyle: „Nie masz nic przeciwko temu, tak? Muszę stale wiosłować, bo się wywróczę”. Wysforowała się mocno do przodu, prując równo z Andrew. Tina na ochotnika wiozła Louisa, za to Phoebe i Daisy, Frank i Archie raz po raz zawracali, żeby się ze mnie pośmiać, manewrowali na różne sposoby, żeby pokazać mi, jakie to łatwe, by znowu wysunąć się do przodu i pozostawić mnie na szarym końcu.

— Załapałeś już? — ryknął w którymś momencie Frank, dodając coś, co rozbawiło Archiego.

Z trudem ominąłem łańcuch skał u wyjścia z zatoki. Trwało to całą wieczność. Rąbałem wodę, miast się w nią wrzynać. Gdy w końcu je opłynąłem i zacząłem zmagać się z prądem, by zmienić kurs, zostałem zupełnie sam. Ci, których widziałem, dotarli do niewielkiej zatoczki i wyciągali łódki z wody. Tina stała na brzegu, osłaniając dłonią oczy. Pomachała mi, ja w odpowiedzi uniosłem łokieć. Sól szczypała w kącikach ust. Nie ustępowałem. Alice i Andrew obok siebie schylali się nad kajakami. Louis siedział po drugiej stronie zatoczki, rzucając do wody kamienie. Czemu Alice nie powiedziała policjantowi, że syn był w nocnym klubie? Czy jej zdaniem mógł być zamieszany w sprawę albo, co gorsza, wiedzieć wszystko? Nie, chodziło raczej o naturalny odruch ochrony syna przed kłopotami. Lecz przecież Andrew powinien był ją namawiać do powiedzenia prawdy. Tak należało zrobić — niezależnie od roli Louisa. Nie zdziwiłem się, że tego nie zrobił. W Andrew było coś niesmacznego, jakieś zepsucie, rozbieżność pomiędzy rzeczywistym stanem fizycznym a tym, jak chciał być widziany. Ciągłe przypominało mi się, jak odprowadzał wzrokiem te młode Niemki, a potem, dzisiaj rano, kłamał na ten temat. Ja przynajmniej, niezależnie od wszystkich swoich wad, byłem uczciwy. To mnie powinna słuchać, a nie jego. Poczulem jakieś nieznanne ukłucie i zdałem sobie sprawę, że tak może czuć się człowiek patrzący z pozycji autorytetu.

Dopłynąłem na łachę przy akompaniamencie oklasków i gratulacji. Archiego i Franka posłano, żeby pomogli mi wydostać się z wody.

— Raz, dwa, trzy, już — wołał Frank, z przesadnym wysiłkiem dźwigając kajak. Gdy zrzucałem żółtą kamizelkę, na wargach Phoebe igrał uśmiezek.

— Ale cię spiekło, Paul — zauważyła. — Przyda się trochę kremu.

Leżała na ręczniku. Przewędrowałem wzrokiem jej ciało.

— Wysmarujesz mnie?

— Spieprzaj.

Alice zostawiła Andrew i podeszła. Objęła mnie i przytuliła, przelotnie kładąc głowę na moim ramieniu. Czułem nacisk wilgotnego stroju Speedo na swojej piersi, co

podnieciło mnie mimo wyczerpania.

— Biedny Paul. — Pocałowała mnie w spalone słońcem barki.

— Trzeba było powiedzieć, że to twój pierwszy raz — zawołał Andrew. — Chociaż nie mieści mi się w głowie, jak mogłeś przeżyć czterdzieści dwa lata i nigdy nie wiosłować w kajaku!

Roześmiał się dla zamaskowania drwiny. Drobne docinki — to jego ulubiona broń.

Tina klęczała na przetartym chodniku w szkocką kratę, rozkładając bułki i pomidory, rozwijając odporne na tłuszcz opakowania z szynką i wyglądającym jak plastik serem. Z turystycznej lodówki wyjęła butelkę piwa i wetknęła mi ją do ręki. Na jej nosie i policzkach wysypały się piegi: skóra poczuła słońce.

— Proszę. Lekarstwo na wszystkie boleści.

Podziękowałem jej i z leżących na ziemi toreb wygrzebałem swoje papierosy. Usadawiłem się na skale i zapaliłem, podczas gdy reszta kręciła się przy patchworku z chodników i ręczników, by skubać prowiant. Plaża była mała i kamienista, za to mieliśmy ją dla siebie. Ścieżka wiodła stromym, lesistym stokiem ku szosie, srebrnemu pasowi przecinającemu zbocze góry. Większość kamieni, owalnych i białych, zabrudziła smoła. W powietrzu unosił się nieprzyjemny swąd siarki. W szparze między skałami gromadziły się śmieci, ze zwiniętą pieluchą włącznie.

— Wszystko zawsze smakuje dużo lepiej, kiedy się je na powietrzu — oświadczyła po pewnym czasie Tina.

Nikommu nie chciało się reagować na jej słowa, chociaż Alice, która prawie nie tknęła wałówki, wydała pomruk mający wyrażać zgodę.

— Paul, będziesz jadł? — zawołała Tina.

Machnąłem w powietrzu papierosem i wskazałem na piwo trzymane między kolanami.

— Na razie nie. Może później.

— Dzięki temu zachowujesz taką figurę — westchnęła. Przygotowała sobie kanapkę, rozwarła usta i odgryzła nierówny kęs. — Jak wrócimy, zaczynam dietę 5:2.

— Sprawdza się lepiej u mężczyzn — zaznaczył Andrew.

— Znaczy, że nie mam szans?

— Moim zdaniem jesteś w porządku taka, jaka jesteś — włączyłem się.

— Stokrotne dzięki, Paul — powiedziała, a ja poczułem mały zastrzyk zadowolenia.

Phoebe i Daisy rozłożyły ręczniki i opalały się w identycznych kostiumach kąpielowych — seksownych, różowych bikini bez ramiączek. Coś tam sobie szeptały. Skupiłem się na kształtach, w jakie układały się ich wargi. Tematem był brat Kylie, Sam, chłopak, którego na naszych oczach zgarnęła policja w Delfinos, i pytanie, czy mógł dopuścić się gwałtu.

— Nie wyglądał na takiego — stwierdziła Phoebe.

— To znaczy na jakiego? — wtrąciła się Tina, która także podsłuchiwała. — Zapamiętajcie to sobie: pozory czasami mylą.

Popatrzyłem w kierunku Alice. Podniosła jakiś kamyk i przyglądała się mu.

— Być może — rzuciłem — chcieli przesłuchać go w charakterze świadka, a nie

podejrzanego.

Alice uniosła głowę i spojrzała w moją stronę, po czym odwróciła wzrok. Cisnęła kamień daleko w morze i położyła się, zamykając oczy, z twarzą wystawioną do słońca.

— Zdaje mi się, że wyszedł wcześniej — powiedziała Daisy, wspierając się na łokciach. Zawołała do Louisa, który siedział w cieniu drzewa i delikatnie skubał bułkę z szynką: — Rozmawiałeś z nim, no nie? Obaj wyszliście mniej więcej w tym samym czasie, długo przed nami. Nie mieliście zamiaru wracać razem na piechotę?

Obserwowałem Alice. Nie poruszyła się.

— Nie wiem — wymamrotał Louis. — Chyba trochę pobłądziłem.

— Nie słyszałam, jak wracacie — oznajmiła Tina. — Spałam jak zabita.

Czekałem. Chyba Alice czy Andrew powiedzą teraz prawdę? Gdy żadne się nie odezwało, już miałem zamiar zabrać głos — mogłem po prostu opowiedzieć o tym, co widziałem — ale się rozmyśliłem.

— Ale ta dziewczyna to naprawdę jest biedna — powiedziała Tina. — Mam nadzieję, że ma jej kto pomóc i że nie leży w obcym szpitalu sama. Że przylecieli do niej rodzice albo przynajmniej ma jakąś miłą przyjaciółkę.

— Była z dużą paczką — rzuciła bezmyślnie Phoebe. — Na pewno nic jej nie jest.

Pomyślałem o ludziach, w których towarzystwie obracała się Laura: butelki piwa, wygolone głowy.

— Jej znajomi nie robili za dobrego wrażenia — odezwałem się.

Alice wbiła we mnie spojrzenie.

— Skąd znasz jej znajomych?

Niepotrzebnie się odzywałem. Starannie zgasilem papierosa i odpowiedziałem:

— Jeżeli to dziewczyna, którą mam na myśli, to nazywa się Laura. Jechała ze mną wczoraj autobusem z bandą skinheadów.

— To nie przyjechałeś taksówką?

Poczułem, jak robi mi się gorąco.

— No... w końcu wybrałem autobus.

Spojrzała na mnie jakoś dziwnie.

— Ale zdaje mi się, że mówiłeś...

— Tak, głupiec ze mnie. — Nie wiem dlaczego, ale skłamałem.

Zszedłem ze skały i wziąłem pomidora. Ciepły sok trysnął mi na brodę. Wytarłem go grzbietem dłoni i siadłem na kamykach, ostentacyjnie moszcząc sobie miejsce obok Alice. Czułem, jak nieznacznie odsuwa się ode mnie, a Andrew oboje nas obserwuje. Jak zwykle. To oni zachowywali się w sposób naganny, za to ja miałem wyrzuty sumienia.

Ubrudzę kąpielówki smołą, ale to nieważne. Nie były moje. Nic tutaj nie należało do mnie, uświadomiłem sobie ze smutkiem, chociażbym nie wiem jak bardzo udawał, że jest inaczej.

Po obiedzie, jako że Louis doszedł już do siebie, zamieniliśmy się miejscami. Do domu postanowiłem wrócić samochodem z Tiną, a on wiosłował w kajaku, by opłynąć cypel. Patrzyłem, jak odbijają od brzegu, i ironicznie pokrzykiwałem, udzielając rad i zachęcając — „tak jest, dobra równowaga, ładne, równe pociągnięcia” — starając się w żartobliwy sposób odzyskać kontrolę nad sytuacją.

Do samochodu dochodziło się pod górę, ścieżką usłaną kamieniami i sosnowym igliwem. Powietrze przesycił ostry aromat eukaliptusa. Krążył nad nami jakiś drapieżny ptak, może sokół, a jego cień marszczył się i przechylał na ziemi. Tina znacznie mnie wyprzedziła, choć słyszałem jej głośny oddech i ciche okrzyki zdumienia na widok kąta nachylenia zbocza. Ja niosłem bagaże i szedłem za nią równym krokiem, ciesząc się z chwili samotności. Miałem się nad czym zastanawiać.

Gdy dotarłem do szosy, Tina stała oparta o drzwi auta i wachlowała się dłonią.

— Ojej, ale gorąco — stwierdziła. — Na pewno bym padła, gdybyś nie zgodził się zostać moim jucznym koniem.

Z rykiem przejechała kawalkada quadów z nastolatkami w kamizelkach za kierownicami, podobna do kolumny pił motorowych na kołach.

Odczekałem, aż znikną za zakrętem, pozostawiając za sobą tuman pyłu.

— Przynajmniej na coś się przydałem. — Miało to wyjść zalotnie, a nie żałośnie, ale czerwona na twarzy Tina zrobiła krok w moją stronę.

— Nie przejmuj się Andrew. — Wykonała dziwny, raptowny ruch ręką, zwijając ją w pięść, którą przycisnęła mi do policzka. Wypad w krainę współczucia. Pozorowany odwrót. Ciekawe, czy gdybym był dzieckiem, szczypnęłaby mnie w policzki i przystawiła twarz do mojej. Zabrała rękę i usiadła obok mnie na barierce. — Czuje się odpowiedzialny za Alice i czasem go ponosi.

— Sęć w tym, że ja też chętnie bym się nią opiekował.

Chyba znów nie wyczułem tonu. W drodze pod górę zastanawiałem się, czy opowiedzieć jej o pijaństwie Louisa, o tym, że Andrew i Alice to ukrywają. Teraz wiedziałem, że tego nie zrobię. Tina długo na mnie patrzyła. Mało się nie zaśmiałem, poczułem pieczenie w oczach, przygryzłem wargę i odwróciłem głowę.

— Zakochałeś się w niej, co? — zapytała na koniec.

Była to chwila jedyna w swoim rodzaju. Do tej pory nie uświadamiałem sobie prawdy tego stwierdzenia. Być może byłem przewrażliwiony z powodu gwałtu i przejścia się Alice. A może chodziło o wstrząs spowodowany wyprawą kajakiem i ulgę, że już dobiegła końca. Zrobiło mi się dziwnie słabo i przez moment wołałem się nie odzywać. Wzruszyłem nonszalancko ramionami i wreszcie zdołałem wykrztusić:

— Nie zasługuję na nią. W tym cały kłopot.

— To dlatego kłamałeś o taksówce? Żeby lepiej wypaść?

— Prawdopodobnie. Tak.

Siedzieliśmy nachyleni nad drogą. Odwróciła się, żeby ogarnąć wzrokiem widok.

— Jestem pewna, że się nadajesz. Że ona potrzebuje właśnie kogoś takiego jak ty. Po prostu musi to sobie uświadomić, pogodzić się z tym. W tym tygodniu zachowuje się, jakby nie była sobą. Martwi się o Louisa. Utrata domu też nie ułatwia sprawy. W połączeniu z całą resztą.

Ja też się odwróciłem. Rozciągał się przed nami widok nieba i drzew, i dużego, ciemnego korpusu Albanii, za to trójkątem morza w kierunku cypla wolno przemieszczało się kilka drobnych kształtów.

— To znaczy w połączeniu z czym? — zdziwiłem się. — Podobno jesteśmy na wakacjach.

Westchnęła cicho.

— To trudno wyjaśnić. Tutaj człowiek nigdy nie jest do końca na wakacjach. To niemal obowiązek. Alice zawsze zmagala się ze zniknięciem Jasmine.

— Ale czemu?

Znów westchnęła, tym razem ciężiej.

— Po części chyba dlatego, że przy tym była, przeżyła tamtą noc i dni następne, przesłuchania, szukanie... W sumie wszyscy przez to przeszliśmy. Ale Alice — ona już taka jest — wzięła to bardziej do siebie. A teraz wypowiedzenie dzierżawy, konieczność rezygnacji z domu... Oto, jaka jest Alice. Znasz ją krócej niż ja. Alice musi wszystko kontrolować. Zawsze tak było. Niczego nikomu nie powierzy: jest zadowolona tylko wtedy, gdy sama wszystkim kieruje. Bardzo ją lubię, to jasne, ale ona jest święcie przekonana, że jeśli nie stoi w centrum wszystkiego, świat się rozpada. Jeśli nie siedzi za kierownicą, wypadki wymykają się spod kontroli.

— Z tego musi wynikać sporo problemów. — Zmarszczyłem brwi.

— Ona już taka jest — powtórzyła.

W drodze powrotnej oboje milczeliśmy. Obezwładniała mnie senność: połączenie fizycznego wyczerpania, wzburzenia, upału i nasennego działania piwa Mythos. Tina nastawiła kompakt, składankę, którą co roku przywozili na Pyros: prywatne scherzo. Spod półprzymkniętych powiek widziałem oliwne gaje, które wznosiły się i opadały, morze i niebo, które zlewały się ze sobą i rozdzielały. Nuciłem sennie przy drugim kawałku, przejmującej piosence o okrucieństwie i zdradzie.

— Czyli znasz to? — spytała Tina.

— No. Ludzie na studiach często ją puszcza.

Jej twarz błysnęła, zwrócona w moją stronę, po czym odwróciła się do przodu.

— Everything But The Girl. *Charmless Callous Ways*. Ulubiona piosenka Florrie. Podobno.

Florrie. Otwarłem oczy i usiadłem prosto. Czy to piosenka wywołała wspomnienie? Obraz tamtej owalnej twarzy z fryzurą pixie i nieznaczną wadą zgryzu, migającej w blasku świec po drugiej stronie stołu. Maharadża Tandoori. Dzioki taniec przy bufecie w czasie jakiejś imprezy, niezręczny pocałunek pijanych na rogu King's Passage i jeszcze jedno namacalne wspomnienie: jej śliska pościel, szorstki dotyk spranego, luźno tkanego pledu.

— To dziwne, że nie wiedziałam, że z nią chodziłeś — stwierdziła Tina.

— Trwało to bardzo krótko. Chciałem zapytać... — starałem się dobrać odpowiedni ton — łagodnej troski z domieszką wstydu. — Nie wiedziałem, że nie żyje.

Tina powoli zamrugnęła; chyba nieznacznie poruszyła głową, ale nie mogłem mieć pewności.

— To okropne, tak, wiem.

— Czy była chora?

— Andrew woli, żebym o tym nie mówiła. To trochę temat tabu.

— Wypadek?

— Tak, chyba tak, straszny wypadek.

Znaleźliśmy się na drodze w górę do domu i gwałtownie zredukowała biegi,



migając i sprawdzając ustawienie lusterek. Otworzyłem usta, żeby jeszcze o coś zapytać, ale wyraz jej twarzy mnie powstrzymał.

— Przykro mi — powiedziałem.

Nie chciałem wprowadzać jej w zakłopotanie. Istniały inne sposoby, by się tego dowiedzieć.

## Rozdział 12

Dom był rozgrzany do białości; mury drżały od żaru. Czarny kostium kąpielowy zwisał niczym nietoperz z konaru oliwki; plastikowa butelka ambre solaire stała przy nodze krzesła; poza tym nie było widać żadnych śladów mieszkańców. Panowała cisza — budowa została przerwana. Pusty taras oślepił.

Tina rozłożyła ręczniki do wyschnięcia i usiadła przy stole na zewnątrz, a ja zakrzętnąłem się w kuchni, robiąc dzbanek herbaty z saszetek red label, które znalazłem w kredensie. Bzyczało parę much, krążących w eskadrach na wysokości głowy. Talerze po śniadaniu leżały niepozmywane w zlewie: smuga masła, półksiężyc skórki chleba. Ktoś zostawił na blacie zwitek pieniędzy — kilka monet zwiniętych luźno w banknocie pięciu euro. Kieszonka w szortach Andrew była cienka, wpakowałem więc monety i banknot w paczkę po papierosach, którą zrolowałem i wepchnąłem, na wzór Jamesa Deana, pod koszulkę na ramieniu.

Wyniosłem herbatę na tacy.

— O, super — zawołała Tina. — Będiesz mamusią? — Gdy nalałem i wypila pierwszy łyk, stwierdziła: — Tego mi było trzeba. Czy to nie dziwne, że gorący płyn tak potrafi człowieka odświeżyć?

Często dziś myślę o Tinie. Była ciepłą, ciekawą kobietą, nieodpowiednią dla Andrew. Byłaby zdolna do wszystkiego, gdyby tylko poszła za głosem intuicji i wyrwała się spod jego kontroli. Zawsze ją lubiłem. Możliwe, że moje życie potoczyłoby się inaczej, gdybym ożenił się z kimś takim.

W owej chwili rozwiązała płócienny szal i rozpuściła włosy. Utworzyły kasztanową aureolę wokół jej twarzy. Zanurzyła w nie palce i założyła włosy za uszy, śmiejąc się przeprasząco.

— Powinnaś zapuścić długie — powiedziałem, uśmiechając się do niej. Przez chwilę wyobraziłem sobie, jak jej nagie ciało unosi się nade mną; przymknięte, leszczynowe oczy, oswobodzone pełne piersi, które lubiła chować.

Zarumieniła się, jakby czytała mi w myślach.

— Andrew woli krótsze — bąknęła. — Łatwiej utrzymać je w czystości. A w moim wieku...

— To znaczy? — przerwałem jej, uruchamiając cały swój urok.

— Przestań flirtować, Paul. Dałam sobie z tym spokój, gdy przechodziłam menopauzę. — Uniosłem brwi. — Było to wczes-ne pokwitanie — wyjaśniła z uśmiechem. — Próżność każe mi to zaznaczyć.

Odwzajemniłem uśmiech, a po upływie kilku chwil spytałem, jak idzie jej malowanie. Czy miała zamiar bardziej się tym zająć? Zamyśliła się.

— Tak naprawdę nie mam talentu.

— Te obrazy u ciebie w kuchni... są cudowne — skłamałem.

— Kiedyś miałam więcej czasu. Gdy byłam młoda, przed dziećmiakami...

Potem rozmawialiśmy o jej różnych zajęciach: jak wybrała spokojniejsze życie zamiast pracy w City, jak ciężko szło wychowanie dzieci, bycie dobrą matką. Martwiła się o nie — to oczywiste. Sklep stał się cudownym kompromisem, który pozwolił jej się

spełnić. Uwielbiała dostawy nowej przędzy, z niemal zmysłową rozkoszą sortowała motki według koloru lub faktury, prowadzenie ksiąg rachunkowych dawało jej osobliwą satysfakcję. Warto było się trudzić ze względu na wdzięczność klienta.

Słuchałem jej z przyjemnością, poruszony zadowoleniem, jakie odnajdywała w pracy, wręcz zainteresowany tym, co miała do powiedzenia; pytania same się we mnie rodziły! Czy się reklamowała? Jak pozyskiwała klientów?

— Rekomendacje ustne.

— I to wystarcza?

— Zwykle tak, a kiedy nie wystarcza, łapiemy ich na łąso z włóczki cashmerino aran i ściągamy z ulicy do ładu — odparła.

Kto zajmował się firmą pod jej nieobecność? Wywieszała na wystawie informację o dorocznym urlopie. Nie, raczej nie straci klientów, wełna jest towarem sezonowym.

— Ludzie robią na drutach zimą, a latem grają w tenisa.

— Chyba obracamy się w różnych kręgach — roześmiałem się.

Znowu spojrzała na mnie z czymś zbliżonym do sympatii.

Skoro jej o tym przypomniałem, zaczęła na głos zastanawiać się nad wszystkim, czym powinna się zająć: zamówieniami, dopilnowaniem projektantów strony internetowej, finalizacją terminów kursów. W tym roku zorganizują „Naukę robienia na drutach dla początkujących”, „Początki szydełkowania” i „Naukę techniki Fair Isle”.

— W sumie — przełknęła resztę herbaty i klasnęła z determinacją — może skorzystam z chwili spokoju i napiszę parę maili.

Weszła do ładu, zostawiając mnie samego. Bagaże z samochodu leżały wciąż na ziemi, tam gdzie je wyrzuciła, i wyszukałem w nich swój telefon. Zasięg na tarasie był fatalny, przeszedłem więc przed dom. Na przeciwległym krańcu podwórka były trzy kreski i oparłem się o drzwi jednego z budynków gospodarczych, żeby napisać esemes do Aleksa, który układałem sobie w pamięci już w czasie jazdy samochodem.

Sytuacja była niezręczna. Widziałem się z nim tylko raz od czasu jego powrotu z Nowego Jorku. Razem ze swoim partnerem, Zachem, zaprosili mnie na kolację, która stała się dla mnie wielkim wstrząsem. Alex ugotował risotto z orkiszu jęczmiennego z jarmużem, zaskakująco dobre. Z zapałem opowiadali o nowej posadzie Aleksa w LSO, szkole jogi Bikram założonej właśnie przez Zacha, a także o planach nowego urządzenia łazienki. Miałem nadzieję, że wrócili tylko na jakiś czas; gdy tak siedziałem na kanapie jako gość, a Persefona ocierała się o moje kolano, uświadomiłem sobie, że byłem w błędzie.

Niedługo potem Alex zaproponował kawę, potem wyjście na koncert. Nie skorzystałem z żadnego zaproszenia. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że wraz ze stratą widoków na zajmowanie mieszkania przestałem interesować się naszą znajomością. Jednak Alex jako jedyny łączył mnie z pewną częścią mego dawnego życia. Puściłem mu takiego esemesa: *Cześć. Sorry, że się nie odzywałem — po uszy w robocie. Kilka pytań. Po pierwsze, czy pamiętasz siostrę Andrew Hopkinsa, Florrie? Studiowała dwa lata niżej. Wiedziałeś, że nie żyje?*

Poszedł. Odczekałem chwilę. Bez odpowiedzi. Chcąc zająć czymś czas, zajrzałem przez brudne szybki w górnej połowie podwójnych drzwi. Wypatrzyłem szydełkowy

wzór z pajęczyn i masywną bryłę pojazdu. Hermes. Cholera. Zastanawiałem się przez moment, a potem nacisnąłem klamkę, spodziewając się, że zardzewiała i z trudem da się ją poruszyć. Działała gładko.

Wszedłem. Drzwi na wścieklej sprężynie zatrzasnęły się. W środku pachniało smarem, rozgrzanym plastikiem i butwiejącą ziemią. Panował półmrok; zabrudzony pasek szkła poniżej dachu przepuszczał szare światło. Na półkach pod ścianą w głębi leżały worki starożytnego cementu, popękane wiaderka z farbą i kilka uwalanych pojemników z tworzywa sztucznego. Sam pikap, biała toyota, był zardzewiałym brzydalem. Nie miałem pojęcia, po co Alice zawraca sobie nim głowę. Samochód wyglądał, jakby się wstydził, z maską do ściany, chowający się. Ciekawe, kiedy ktoś w nim ostatnio siedział. Prawdopodobnie wiele lat temu.

Skoro już tutaj byłem, do głowy wkradła mi się pewna myśl. Możliwe, że zepsuło się coś prostego, związanego z wodą albo olejem. Dość często widziałem, jak ojciec wymienia płyny w starym morrisie marina. Odkręcić, dolać, zakręcić. Zanurzyć, wytrzeć, włożyć znowu. Rodziła się fantazja o mężczyźnie z prawdziwego zdarzenia; ręce Alice z radości uniesione w górę, niechętny szacunek pozostałych.

Żeby się dostać do maski, musiałbym wejść w głąb szopy. Pomiedzy autem a ścianą zostało akurat tyle miejsca, żeby się precyzyjnie przemieszczać, ale ściany pokrywał czarny pył i na pewno się pobrudzę. Zatrzymałem się, pełen niechęci. I wtedy zawarczał telefon: esemes od Aleksa.

*Cześć, nieznajomy. Oczywiście, że pamiętam Florrie. Biedaczka. Jeden z twoich podbojów, tak? Koleżanka Gillian. Dziwne, że nie wiedziałeś. Tragedia.*

Szybko napisałem: *Jak?*

Tym razem odpowiedź przyszła natychmiast: *Samobójstwo. Chyba przedawkowała.*

Oparłem się plecami o ścianę, poczułem szorstkie ziarno betonu. Przedawkowanie. Samobójstwo. Białaczka, wypadek samochodowy — dramaty, które sobie wyobrażałem — dla mnie nie były wcale dramatami. Myśl o nich bez trudu weszła w skład opowieści o jej życiu. Ale samobójstwo to co innego. Nie można było opędzić się od myśli o Florrie w takim położeniu — o jej uczuciach i myślach, stanie umysłu, problemach w pracy, kolejach jej losu.

*Cholera* — odpisałem. — *Szkoda, że nie wiedziałem.*

Powody, dla których o tym nie wiedziałem, były oczywiste. Nie utrzymywałem stosunków z nikim, kto mógłby mi powiedzieć, z wyjątkiem Aleksa, który przebywał stale za granicą. Gillian także była moją znajomą. Mieszkałem z nią i Alekssem na drugim roku — ale kontakt się urwał, tak samo jak z większością ludzi — chyba że, tak jak Alex, byli mi do czegoś potrzebni. Tak właśnie postępowałem. Taki byłem. Ale powodzenie powieści, najpierw zamieszanie związane z natłokiem ofert, a potem krótki okres tak zwanej sławy, festiwalu literackich, uroczystości rozdawania nagród i sesji zdjęciowych („Dziesięciu młodych pisarzy godnych uwagi”)... to wszystko wzmacniało tę stronę mojego charakteru. Po co wlec się do Peckham na spotkanie z Gillian, skoro mogę sączyć koktajle w Bibendum z redaktorem działu kulturalnego „Sunday Timesa”?

Stojąc w mroku tej szopy, pożałowałem człowieka, którym kiedyś byłem. Palec

zawisał nad ikonką telefonu. Byłoby fajnie pogadać z Aleksem, tak po prostu. Dowiedzieć się, jak traktują go w LSO. Wypytać o Persefonę. Powstrzymałem się: Bóg jeden wie, ile kosztuje taka rozmowa. Zamiast tego szybko wystukałem kolejną wiadomość: *Dzięki*. Włożyłem aparat z powrotem do kieszeni.

Pikap przestał mnie interesować, wyszedłem więc z szopy i wróciłem na taras. Rozejrzałem się chwilę po domu — opuszczone pokoje, rozrzucone ubrania i słuchawki. Ze stołowego korzystały jedynie nastolatki i zastałem w nim kubki na podłodze, szklanekę przewróconą na bok, strzęp tektury z wnętrza opakowania po herbatnikach.

Drzwi ze stołowego wiodły do pokoju Tiny i Andrew. Stały otworem, a ponieważ było tak cicho, zajrzałem do środka. Tina spała na łóżku, laptopa odepchnęła na bok. Jedną rękę trzymała zarzuconą na głowę, pokazując ciemną fałdę pod pachą, ściąg-nięta sukienka ciasno opinała jedną z piersi.

Cicho wyszedłem z domu, wziąłem suszący się ręcznik i poszedłem nad basen.

Artan stał w głębokim końcu, trzymając długi kij i wyławiając owady. Na jego twarzy pełgały plamy światła. Kości policzkowe rzucały cienie. Pozdrowiłem go, na co uniósł rękę z rozstawionymi palcami.

— Pięć minut — powiedział.

— W porządku. Nie spiesz mi się.

Ale poczułem się skrępowany. Jak mogłem się wylegiwać, gdy on coś robił? Zostawiłem ręcznik na krześle, jak gdybym przyszedł tam z takim zamiarem, i zapuściłem się w lesisty teren zaraz za basenem: eukaliptus i sosna, głównie młode, suche listki pod nogami. Słońce kroilo cienie. Znalazłem się na skraju działki — za zagajnikiem zaczynało się pole, na którym rozpoczęto budowę.

Niski, biały murek, częściowo zwalony, znaczył granicę i chcąc dać Artanowi więcej czasu, postanowiłem zrobić kółko, przemierzyć pole, przejść bramę i wrócić podjazdem. Po kilku krokach potknąłem się. Zorientowałem się, że mam przed sobą cembrownę starej studni, za małej, żeby w nią wpaść, i zasypanej liśćmi, jednak uderzyłem się w kostkę i musiałem rozmasować ból.

Przechadzka była przyjemna: powietrze wciąż rozgrzane, ale blask słońca znacznie już łagodniejszy. Pszczoły brzęczały w żółtych kwiatach na wysokich łądogach. Tykało tysiąc cykadzich zegarów. W oddali szereg wysokich, smukłych drzew cyprysowych, symboli śmierci, tworzył kolce ciemnej zieleni na jaśniejszym tle.

Koparki miały pyski opuszczone na ziemię, jakby się pasły. Pies nie dawał znaku życia. Starąłem się trzymać działki Alice i chodzić jak najciszej. Z bramy dostrzegałem wyciągnięty pod tymczasową budą z blachy, czarnobury cień, leżący na brzuchu, z nogami i ogonem zwróconymi w jedną stronę. Mniejszy, niż przypuszczałem na podstawie szczekania, i boleśnie wychudzony — miał widoczne łuki żeber.

— Biedny kundel — mruknąłem, ostrożnie wspinając się na bramę.

Drażek zatrząsł się, gdy tylko z niego zeskoczyłem, a pies natychmiast zerwał się na równe nogi, rzucając się do przodu, wstrzymywany przez łańcuch. Zaczął szczekać i nie chciał przestać. Słyszałem go całą drogę do domu.

Spałem na leżaku przy basenie, gdy nagle się rozbudziłem.

W piźmowo słodkim powietrzu roiło się od owadów. Słońce dawno ukryło się za

wzgórzem. Basen zrobił się czarnogranatowy.

Na tarasie zorientowałem się, że coś nie gra. Wszyscy wrócili. W pokojach paliły się światła. Andrew i Tina stali z głupimi minami, a Alice siedziała na krześle między nimi, blada, z wargami, z których prawie odpłynęła krew. Sukienkę miała wilgotną w miejscach, gdzie kostium kąpielowy pod spodem był mokry.

— O Boże, nic ci nie jest? — zapytałem, widząc jej twarz. — Jesteś chora?

Postąpiłem do przodu, ale Andrew wyciągnął rękę, żeby mnie powstrzymać.

— Nic jej nie jest — oświadczył. — Mamy wszystko pod kontrolą.

— Co?

— Nic się nie dzieje — ciągnął. — Przeżyła lekki szok, nic więcej. — Mówił wolnym, spokojnym głosem. Ktoś był tu traktowany protekcjonalnie — i miałem wrażenie, że chodzi o mnie, chociaż zaraz przyszło mi na myśl, że być może o Alice. W powietrzu między nim i Tiną czuło się napięcie, jak gdyby bali się Alice albo obawiali się, że mogą zrobić jej krzywdę. Starannie dobierali każde słowo, każdy gest. Andrew odwrócił się i położył dłoń na ramieniu Alice.

— Zrób kilka głębokich oddechów — powiedział. — Tak jest. Najważniejsze to zachować spokój.

— Wiem. — Poklepała Andrew po ręce, której nie odtrąciła.

— Biedna Alice — odezwała się Tina. Stała przy drzwiach do kuchni. Za jej plecami paliło się światło, nad głową bzyczały komary. — Zaparzę herbaty. Na pewno wszystkim nam dobrze zrobi.

Gdy się odwróciła, Alice nieco przesunęła głowę i pocałowała rękę Andrew. Tina tego nie widziała. Ale ja tak, i bynajmniej mi się to nie podobało.

Miałem ochotę dać Andrew fangę w nos. Tymczasem zdobyłem się tylko na:

— Możecie mi powiedzieć, co się stało?

Andrew zabrał rękę i cofnął się o krok.

— Alice kogoś widziała — poinformował mnie. — Kogoś podobnego do Jasmine.

— Oboje widzieliśmy — przemówiła Alice, unosząc ku niemu wzrok. — Prawda? Tym razem widzieliśmy ją oboje.

— Tak.

Alice odchyliła się z krzesłem do tyłu, mocno łapiąc brzeg stołu.

— W małym supermarkecie. Było ciasno. I jeden facet zachowywał się dziwnie — prawda, Andrew? — Andrew przytaknął. — Chodził alejkami, wychodził ze sklepu i wracał znowu. To mnie zaintrygowało. Zostawiłam Andrew w kolejce i wyszłam sprawdzić, co się dzieje, i zobaczyłam ten samochód — co to za auto, Andrew?

— Peugeot 205, bładoniebieski. Dwudrzwiowy hatchback.

— Stał przed sklepem, czekając na tego mężczyznę, z pracującym silnikiem. Gość wylatywał ze sklepu i wrzucał jedzenie, które ukradł, przez otwarte okno. Za kierownicą siedziała dziewczyna. Zobaczyłam ją. Po prostu... tam była.

Z powrotem postawiła krzesło prosto.

— Rozmawiałaś z nią?

— Podeszłam do samochodu i próbowałam zagadnąć ją przez okno. Byłam spokojna, prawda? Andrew? Nie powiesz chyba, że nie byłam spokojna?

Andrew skinął głową.

— Zapytałam, jak ma na imię, ale nie chciała powiedzieć. Zatrąbiła i mężczyzna wypadł ze sklepu, odepchnął mnie z drogi, a potem po prostu odjechali.

— Prawdopodobnie założyli, że wezwiesz policję — stwierdziłem.

— Bo wiedziałam, kim ona jest.

— Z powodu kradzieży.

— Nie, Paul. Z innego powodu.

Patrzyła na mnie niespokojnym wzrokiem. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Możliwe, że zobaczyła Jasmine. A może nie zobaczyła. Ale nikt nie mógł zaprzeczyć, jak bardzo chce ją znaleźć. Poczuję przypływ głębokiej czułości, któremu towarzyszyło wszechogarniające pragnienie, by rozpiąć wilgotną sukienkę, zdjąć mokry kostium kąpielowy i zaprowadzić ją do łóżka.

— Co? Jak ci się zdaje?

— Nie wiem? Zapisałaś numer rejestracyjny?

— Tak.

— W takim razie trzeba zadzwonić na policję.

— Sama nie wiem...

— Gavras nie zawsze traktuje doniesienia Alice poważnie — włączył się Andrew.

— Ale mógłby dowiedzieć się, do kogo należy samochód.

— Nie ma sensu — pokręcił głową. — Na pewno jest kradziony. Albo niezarejestrowany. Szczerze mówiąc, wyglądali na ludzi nieprzejmujących się prawem i porządkiem. Wiesz, narkomani, hipisi.

— Hipisi? — zwróciłem się do Alice. — Czy sama mi nie mówiłaś, że na wyspie jest duża komuna hipisowska? Że twoim zdaniem Jasmine może być właśnie u nich.

— Tak — potwierdziła niepewnie.

— To może trzeba się tam przejechać i sprawdzić.

— To dość daleko.

— Wiem, ale jeśli jest szansa... — Kobieta na pewno nie była Jasmine, ale dzień sam na sam z Alice to było właśnie to, czego mi było potrzeba. Chciałem trzymać ją z dala od Andrew. Mog-libyśmy się zintegrować. Mógłbym pogadać z nią o Louisie, pomóc w zrobieniu tego, co należy, po prostu ją do cholery zdobyć. — Może byśmy się tam jutro wybrali, oboje, i popytali ludzi w okolicy?

Alice ścisnęła czoło palcami.

— Pokaż mi jeszcze raz fotografię, Andrew.

— Zrobiliście zdjęcie? — spytałem. — Mogę zobaczyć?

Andrew pogmerał przy swoim telefonie i mi go podał. Usiadłem przy stole. Zdjęcie było słabej jakości. Zostało zrobione przez przednią szybę auta, więc twarz się rozmazała, ale wiedziałem, że to nie Jasmine. Po pierwsze za stara. Ta kobieta była pod trzydziestkę, miała długą, owalną twarz i dwa pasma włosów w kolorze mysiego blondu; czarny ćwiek w nosie i drugi w brodzie, pod wargą. Chude, wyciągnięte ręce trzymały kierownicę, między ramieniem a kamizelką ziała mroczna przepaść. Rozstawiłem palce na ekranie, żeby powiększyć jej twarz, było w niej coś — wygląd nie fotogeniczny, starszej Jasmine, tylko czternastolatki w kwiecistej bandanie na fotce rodzinnej, ta sama

zuchwałość i grymas bezbronności. Na pewno właśnie ten akcent poznała w niej Alice.

— Widzisz? — zapytała Alice. — Widzisz?

— Tak, widzę. To może się przydać. Weźmiemy je ze sobą jutro.

Przesunąłem palcem po ekranie iPhone'a. Następne zdjęcie też przedstawiało dziewczynę, tylko że tył jej głowy; na następnym było zbliżenie na błotnik samochodu, pod kątem; na kolejnym samochód z tyłu, odjeżdżający. Wróciłem do poprzednich, które dopiero co widziałem: błotnik, tył głowy, zamazana dziewczyna. Jeszcze jedno przeciągnięcie palcem. Wcześniejsza fotografia nie pokazywała dziewczyny w supermarkecie ani auta. Na poprzednim zdjęciu byłem ja.

Przyjrzałem się uważniej. Zrobione tego samego dnia, wcześ-niej, na plaży. Stałem na żwirze, trochę na prawo wysokie drzewa, przede mną morze, na które tamci wyprowadzają łodzie. Ale skupiałem się na Daisy, na jasnoróżowym trójkącie majtek bikini, kiedy się pochylała.

Dobry Boże, złapany na gorącym uczynku.

— Dzięki — odezwał się nagle Andrew, zaglądając mi przez ramię. — Mógłbyś już oddać?

Na szczęście Alice nie zdążyła niczego zauważyć, zanim zabrał mi z ręki telefon.

Kolacja upływała w atmosferze pełnej napięcia. Alice i Tina milczały, Andrew się mądrzył, a niewiedzące o niczym dzieci marudziły. Phoebe, wściekła, że nie może pójść do klubu, przyczepiła się do Louisa z powodu jego zachowania przy stole. Archie wyraził się niezbyt entuzjastycznie na temat spaghetti bolognese, na co Andrew niespodziewanie wybuchnął gniewem, zrywając się na równe nogi i gwałtownie podnosząc syna z krzesła.

— Idź do siebie i się nie pokazuj — syknął.

— Uspokój się — odezwała się nieśmiało Tina.

— Musi się czegoś nauczyć.

— To nie jest odpowiednia pora.

— Tak bardzo się starałem.

Z ulgą doczekałem chwili sprzątanania ze stołu i ostentacyjnie się tym zająłem:

— Niech nikt nie rusza się z miejsca. Moja kolej.

— To miłe z twojej strony — powiedziała Alice. — Mnie nie starczyłoby energii.

Przy zlewie dolatywały mnie urywki rozmowy, strzępy zdań. Ciągłe gadali o tym samym. Łzawy głos Alice:

— Tym razem to co innego, Tina.

— Wiem. Uważaj... Pamiętaj o swoim zdrowiu.

Tina przyniosła więcej szklanek.

— Rozumiem, że to zdarzało się już wcześniej — powiedziałem.

— Tak. Biedna Alice. Trudno powiedzieć, jaki jest na to dobry sposób. Poza tym istnieje możliwość, że tym razem się nie myli, więc...

Chwyciła ściereczkę do naczyń, ale ją powstrzymałem.

— Zostaw, ja wytrę.

Kiedy wyszedłem z kuchni, Alice nigdzie nie było. Nastolatki grały w karty na mojej palarni. Tylko Tina i Andrew zostali przy stole z kieliszkami wina, cicho się kłócąc. Założyłem, że chodzi o Alice. Na mój widok umilkli. W oddali zaszczekał pies.



— Wszystko w porządku? — zapytałem.

— No. Ale dziś duszno, nie? — zareplikował Andrew. — W dodatku ten cholerny pies. — Wstał, zaciskając szczęki. — NIE WYTRZYMAM!

— Wiesz, gdzie podziała się Alice? — spytałem Tinę.

— Pewnie poszła się położyć.

Leżała na brzuchu, ubrana, zapłakana i uległa. Okazało się, że dobrze rozegrałem wieczór — zmyłem naczynia, unikałem sprzeczek. Wygląda na to, że czasem wystarcza dyskrecja. Przekręciłem ją na plecy, scałowywałem sól z jej twarzy. Nie opierała się, kiedy ściągałem jej przez głowę sukienkę, zsuwałem kostium Speedo z piersi, wiodłem ustami po granicy opalenizny.

Ręce trzymała nad głową, twarz miała przyciśniętą do poduszki.

— Tina uważa, że się mylę, na pewno. Może nie powinniśmy jechać do Epitary. Może to zwykła głupota.

Podniosłem głowę.

— Warto spróbować — odparłem. — I obiecałaś Yvonne, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, by odnaleźć jej córkę. Tylko wyobraź sobie, że to jednak była Jasmine — jakie byłoby to zdumiewające.

Ujęła dłońmi moją twarz, pociągnęła ją wyżej, żeby zajrzeć mi w oczy ze szczególną siłą.

— Andrew mówi, że ze mną pojedzie. Dlaczego tak ci na tym zależy?

— Jeżeli to Jasmine, chcę być przy tobie w chwili, gdy ją odnajdziesz.

— Dlaczego? — Uśmiechnęła się półgębkiem.

— Bo zależy mi na tobie bardziej, niż zdajesz sobie z tego sprawę.

Patrzyła na mnie dłuższą chwilę i w końcu powiedziała:

— Szkoda, że nie potrafisz zdecydować się na coś w stu procentach.

— Nikt nie potrafi. — Przywarłem do jej warg ustami, żeby nie mogła nic powiedzieć, i jakimś cudem się udało.

Znowu zbudziłem się nad ranem. Znowu pies, żaloszny, ale nieprzestający szczekać: nieznośny jazgot rozbijający noc na drobne kawałki. Ugryzienia komarów jak ciarki pod skórą. Wydało mi się, że słyszę jakiś hałas, że to Alice kręci się po pokoju, ale znalazłem ją śpiącą obok, górę ciepła i włosów.

## Rozdział 13

Wstałem przed Alice i wziąłem szybki prysznic, starając się jej nie obudzić. Włożyłem długie spodnie i koszulę z guzikami: strój, który uznałem za odpowiedni na drogę do wsi po drugiej stronie wyspy, gdzie mieliśmy zmierzyć się z bezczelnym hipisem.

Alice spała dalej, z wilgotnymi włosami na poduszce i rozwartymi lekko ustami.

Robotnicy budowlani wrócili do wiercenia i przesuwania ziemi. Część nastolatków ruszyła się z łóżek. Phoebe siedziała na najwyższym stopniu ścieżki w bawełnianym sarongu i przeżuwała kawałek chleba. U jej stóp gromadziły się mrówki, powoli przesuwając okruchy. W kuchni Frank histerycznie uderzał ściereczką do naczyń w dużego, pomarańczowego robaka, a Louis stał przy otwartych drzwiach lodówki i gapił się w jej wnętrze. Kolory jakby mu wróciły, chociaż być może razem z pryszczami. Trudno powiedzieć. Patrzyłem, jak wyjmuje i odkręca słoik masła orzechowego; już miał zanurzyć w nim paluch, gdy mnie zobaczył i odwrócił się, cały czerwony, w poszukiwaniu łyżki. W gruncie rzeczy był jeszcze po prostu chłopcem. Niezgrabnym i niespokojnym, palącym się ze wstydu. Syn Alice. Nie żaden gwałciciel.

Gdy wyszedłem na taras z kawą, Alice stała przy drzwiach swojego pokoju, rozmawiając z Andrew. Ubrała się w letnią sukienkę, espadryle na obcasach i oklapły słomkowy kapelusz; on stał na bosaka w krótkim szlafroku frotté. Usłyszałem jej słowa:

— Nie, zależy mu na tym. — Na mój widok wyraz jej twarzy się zmienił. — O wilku mowa. Chcesz jechać, prawda, Paul? Andrew się zaoferował, ale mówiłam mu właśnie, że nie ma takiej potrzeby.

Postawiłem filiżankę na stole ze stanowczym stukiem.

— Jestem do dyspozycji.

Andrew podszedł do mnie z cofniętymi ramionami i wyprężoną piersią. Brodę okrywał mu dziś zarost, ale nierówny, jak u starca.

— Nie podoba mi się, że będzie cały czas prowadzić — wycedził przez zaciśnięte zęby.

Alice stała odwrócona i rozmawiała z Phoebe.

— Nie jest dzieckiem — zaprotestowałem.

Przysunął twarz; oddech miał nieświeży, zalatujący lekko cykorią.

— Jest w delikatnym stanie.

Ręce, które trzymałem za plecami, zacisnęły się w pięści.

— Wiesz co — zacząłem — daj mi namiary do firmy wynajmującej auta. Na pewno obejmą mnie ubezpieczeniem.

Warkot maszyn raptownie umilkł — nagła słodycz powietrza. Alice spojrzała w naszą stronę.

— Doskonały pomysł.

Andrew wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować.

— I już po strachu — podsumowałem ugodowo.

Czyli trochę czasu, aż Andrew znajdzie numery telefonów, ja przejdę przed dom, gdzie miałem zasięg, i podam numer prawa jazdy oraz dane do płatności pracownikowi,

do którego udawałem, że dzwonię.

Dwie godziny po kiepskich drogach. Minęliśmy parę rozproszonych wiosek, gdzie starcy grali pod drzewami w kości, ale potem trzeba się było piąć pod górę, krajobraz pustoszał i ubywało roślinności, zastępowanej nagimi występami skalnymi, spod których gdzieś pokazywała się zieleność. Puściliśmy składankę — Pulp, Oasis, The Beautiful South — od czasu do czasu nucąc. Opuściłem szyby.

— Andrew ma obsesję na punkcie trzymania ich zamkniętych, gdy działa klima — powiedziała, wystawiając twarz na gorący powiew. — Ale to miłe.

Kiwnąłem głową w rytm muzyki.

Samochód był duży, a widoczność z tyłu kiepska, i musiałem się koncentrować, szczególnie na przełęczy z raptownymi zakrętami o sto osiemdziesiąt stopni i przyprawiającymi o zawrót głowy spadkami. W jednej chwili nie wiedzieć skąd pokazała się pędząca w naszą stronę ciężarówka i zahamowałem tak nagle, że Alice rzuciło do przodu.

— Przepraszam — tłumaczyłem się. — Nie chcę nas zabić.

— Tak, lepiej tego nie rób.

Dziś była spokojniejsza, w znacznie lepszym nastroju; pełna nadziei, ulgi, że znowu panuje nad sytuacją, jak sądzę. Czułem jej sympatię i zastanawiałem się, czy zdałem jakiś egzamin. Miałem zamiar zapytać o Louisa, ale znalazłszy się z nią sam na sam, zmieniłem plany. Strasznie mi zależało, żeby się jej przypodobać. Zdaje się, że zaczynała się już godzić z zawodem, jaki czeka nas u celu.

— Prawdopodobnie tylko idziesz mi na rękę — stwierdziła w pewnym momencie. — Jak wszyscy. Tyle że mnie tak zależy na uzyskaniu jakiejś odpowiedzi, żeby Yvonne nie żyła w niepewności, bo tak nie da się przecież żyć. Myśl, że jutro pojedę po nią na lotnisko z niczym, zobaczę w jej twarzy pustkę.

— Opowiedz mi o dniu, w którym zniknęła Jasmine — zaproponowałem — jeżeli jesteś w stanie.

Skrzywiła się.

— Było okropnie. Po prostu strasznie. Dopiero co przylecieliśmy. Wycieczkę zorganizowali Tina i Andrew. Zajęli się wszystkim, wzięli mnie pod swoje skrzydła, starali się, jak mogli. Ale Harry zmarł dwa miesiące wcześniej i byłem w rozsypce. Przepraszam... — Potrząsnęła głową. — Mówię o sobie. A przecież nie o mnie chodzi.

— To nic, mów dalej. Chcę to usłyszeć.

Westchnęła.

— Smutek czasami przypomina panikę. Potrzebni są ci ludzie, ale gdy jesteś pośród nich, pojawia się takie dojmujące pragnienie, by się odsunąć, zostać sama. Opowiadam ci o tym, bo ma to jakiś związek z resztą. Nosiło mnie. Był to trudny wieczór. Zostawiliśmy bagaże i przyjechaliśmy do Georgia na kolację. Za dużo piliśmy — to znaczy z wyjątkiem Tiny. Ona czuwała nad wszystkim i odwiozła dzieci do domu; wtedy były jeszcze małe. Razem z Andrew wdaliśmy się w rozmowę z parą Francuzów przy sąsiednim stole. I wtedy wszedłeś ty... — Spojrzała na mnie.

— No tak.

— Byłeś o wiele bardziej pijany niż my, krzyczałeś i śpiewałeś, i w ogóle

zachowywałaś się poniżej krytyki.

— Tamtego dnia wieczorem wszyscy przeżywaliliśmy swoje osobiste dramaty — stwierdziłem.

— Andrew się ciebie pozbył, ale miałam już tego dość. Musiałam zostać sama, więc wyszłam, zostawiając Andrew. Ale w połowie drogi zdałam sobie sprawę, że zostawiłam na krześle sweter, tak że wróciłam i skończyło się jeszcze jednym drinkiem z Andrew i Francuzami. Niewiele później Yvonne zaczęła krzyczeć na ulicy, że straciła córkę. Zebrali się wszyscy ci Grecy i inni turyści, ale nikt nie znał angielskiego i w ten sposób się w to wszystko zaangażowałam. Tak bardzo starałam się ją uspokoić, powtarzałam, że wszystko będzie dobrze. Potem przyjechała policja i rozpoczęły się poszukiwania... — Urwała.

— Zrobiłaś wszystko, co się dało — stwierdziłem po chwili.

— Nie. Nie znalazłam jej. Po prostu rozplynęła się w powietrzu. Wybiegła z mieszkania po kłótni z Karlem — zakazał jej wychodzić w ubraniu, jakie włożyła. W czasie awantury Yvonne brała prysznic, ale jak tylko zorientowała się, co się stało, wybiegła za córką, zdecydowana przyprowadzić ją z powrotem. Mieszkali w apartamentach, tam gdzie teraz mieści się Delfinos, i przeszli plażą, drogą, do portu, do klubu, przeczesali bary. Szukali wszędzie. To straszne uczucie — pewnego razu zgubiłam Phoebe w domu towarowym, gdy była jeszcze mała. Przychodzi taka chwila, gdy rozum ustępuje miejsca panice i człowiek nie wie, gdzie się podziać.

— Policja pewnie zakładała, że poszła gdzieś z chłopakiem, o którym wspominałaś, i wróci nazajutrz?

— Tak. Ale nie pokazał się żaden chłopak i nigdy już nie widziano Jasmine.

— Nie mów nigdy, być może odnajdziemy ją dzisiaj — upomniałem ją.

Odwróciła się ode mnie w stronę okna.

— Tak.

Droga stawała się bardziej płaska, w miarę jak dojeżdżaliśmy do cywilizacji. Alice wolała chyba zmienić temat. Zapytała, dlaczego nie lubię Andrew. Patrząc przed siebie, odparłem, że moim zdaniem ma chrapkę na jej ciało. Zaśmiała się.

— Mylę się? — zapytałem, siląc się na chłodny i beznamiętny ton. — Mam wrażenie, że między wami coś jest.

— Zazdrosny?

— Chyba tak.

— Przestań się wygłupiać.

Musnęła palcem moje ramię, potem spojrzała w okno. Poczulem się niezręcznie, jak gdyby mnie na czymś przyłapano, i dla ukrycia tego powiedziałem, jak bardzo lubię Tinę.

— Tak, jest niesamowita, prawda?

Potem spytała, co „sądzę” o dzieciach Hopkinsów, na co znalazłem świetną odpowiedź, mówiąc, że jej dzieci są znacznie bardziej żywe, że Archie jest bez wyrazu, a wdzięk i uroda Phoebe przyćmiewają zalety Daisy.

— A mimo to Daisy o wiele lepiej idzie w szkole...

— Liczy się inteligencja emocjonalna.

— Tak — przytwierdziła z satysfakcją. — A Daisy umie być bezczelna.

— Ma za wysokie mniemanie o sobie.

Kątem oka zauważyłem jej uśmiech. Zawsze mnie dziwi, jak rodzice uwielbiają porównywać się z innymi, jak chętnie wysłuchują krytyki nawet pod adresem dzieci przyjaciół.

— A co do Louisa... — zacząłem, uznając, że to dobry moment.

— Co z Louistem?

— Widziałem, jak w nocy przywieźliście go samochodem. Wrócił później, niż powiedziałaś policji.

— Biedny Louis — zaśmiała się. — Był bez życia. Obiecałam, że nikomu nie powiem. Gdyby dziewczyny się dowiedziały, zamieniłyby mu życie w piekło. Ale było wcześniej — nie pamiętasz? Obudziliśmy cię. Dziewczęta jeszcze nie wróciły.

— Myślałem, że wróciły... że były... — Urwałem. Nie mogłem się przyznać, że je widziałem, bo to oznaczałoby przyznanie, że podglądałem je w basenie. — No tak.

Po krótkiej przerwie dodała:

— Ciekawie powiedziałeś o tej inteligencji emocjonalnej. Flor-rie zawsze szło w szkole lepiej ode mnie. Dlatego ona studiowała w Cambridge, a ja w Bristolu. Za to była bardzo niepraktyczna. Gubiła się, nie miała orientacji przestrzennej. Bez przerwy musiałam jej coś pożyczać, pomagać w szukaniu zgubionych rzeczy. Było jej trudniej zawierać znajomości.

Poczułem, jak się spinam. O Florrie pamiętałem jeszcze kilka innych rzeczy. Napisała do mnie list. Nie pamiętałem treści. Tylko pobieżnie go przejrzałem, a potem wyrzuciłem do kosza.

— Biedna Florrie — stwierdziłem. — O ile pamiętam, była bardzo wrażliwa.

— Tak.

— Nie wyszła za mąż i nie miała dzieci?

Alice spojrzała na mnie, odwróciła wzrok. Zmarszczyła czoło.

— Nie.

— Czy w chwili śmierci miała pracę?

— Nie, mieszkała z rodzicami.

— To smutne — powiedziałem, myśląc sobie: Kurwa mać, całkiem jak ja. Bez żony, dzieci, pracy, mieszkanie u starej matki... — Przepraszam. Samobójstwo to coś okropnego dla tych, którzy zostali.

— Tak, wiem.

Umilkła, odwrócona do okna. Zastanawiałem się nad jakimś bardziej optymistycznym tematem, ale kompletne zarzucenie sprawy Florrie wydawało mi się nietaktowne.

— Byłaś na jej urodzinach? — spytałem po kilku chwilach namysłu. — W Fellows' Garden?

— Byłam.

— Może się poznaliśmy. — Popatrzyłem na nią.

— Tak było.

Opony wjechały na zwirowy odcinek i musiałem się skupić na drodze.

— Na pewno bym pamiętał.

— Wiem jedno o Paulu Morrisie — stwierdziła, nie bez sympatii. — Pamiętasz tylko to, co chcesz.

Epitara leżała na zachodnim wybrzeżu; wiał tam silniejszy wiatr, a morze wyglądało inaczej — fale rozbijały się kawałek od brzegu i dopiero potem toczyły się dalej. Piach miał ciemniejszy, niemal szarozółty odcień.

Miejscowość składała się z szeregu chaotycznie rozrzuconych budynków i tawern stojących za długą, porośniętą chaszczami plażą. Robiła wrażenie sceny wędrówki ludów, wszędzie ogłaszano „Pokoje. Chambres. Zimmer”. Jedną część plaży, najbliższej głównej drogi, którą nadjechaliśmy, oddano na użytek konwencjonalnej turystyce, zastawiając ją rzędami składanych leżaków z materiału i złachanymi żółtymi parasolkami, za to na drugim końcu wzniesiono tymczasowy kemping — namioty z różnych bajek, kupa worków, z których wysypywały się śmieci, i parę furgonetek z markizami w cieniu drzew. Gorąco i niechlujnie. W wodzie bawiły się małe dzieci, tu i ówdzie leżały brązowe, nagie ciała, podobne do fok wygrzewających się na słońcu. Kilka kobiet sprzedawało z ręczników biżuterię i grzebienie do włosów.

Stanęliśmy na niewielkim parkingu przy drodze i skierowaliśmy się do tawerny, której właścicielkę, Angielkę mieszkającą na Pyros od lat osiemdziesiątych, Alice podobno znała. Przeszła od zaplecza, a ja usiadłem na wąskim, ocienionym ganku z widokiem na plażę i zamówiłem kawę u młodego kelnera z przylizanymi czarnymi włosami i równiutkim wąsikiem. Wiało — plastikowy obrus raz po raz wyrывał się z metalowych zatrząsków i trzepotał na wietrze.

Alice wyszła z blondynką po pięćdziesiątce.

— Paul, to Niki Stenhouse — przedstawiła nas sobie. — Kiedyś mieszkała w Agios Stefanos. Gdy się poznałyśmy, pracowała w CV Travel, ale potem wyszła za Theo i odtąd prowadzi tutaj jego rodzinną firmę.

Wstałem, podałem kobiecie rękę i objąłem ją wzrokiem: połączenie przedstawicielki brytyjskiej wyższej klasy średniej i hipiski — praktyczny kok i prosta sukienka, ale do tego duże, dyndające kolczyki, brzęczące bransoletki i naszyjnik z muszelek. Twarz pokrywały zmarszczki i przesadna opalenizna, za to pewien luz ruchów, stanie na rozstawionych nogach podpowiadały, że może być niezła w łóżku.

— Fajnie, że z nią przyjechałeś — zaczęła z wyraźnym akcentem Home Counties, którego się nie spodziewałem. Ciągle trzymała mnie za rękę i uważnie patrzyła mi w oczy. — Wiem, że Alice jest za to wdzięczna.

— Niki chyba zna dziewczynę, którą widziałam — tłumaczyła Alice — ale mówi, że tamta jest tutaj od niedawna — zjawiała się dopiero latem tego roku.

Niki puściła moją dłoń i popatrzyła na Alice.

— Przyznam się, że uznałam, iż jest Niemką.

— Ale nie masz pewności.

— Po prostu zeszła się z Günterem — on mieszka tu jakiś czas. Samochód nie jest jego. W zeszłym roku ktoś go porzucił i jeden z zasiedziałyh mieszkańców przez zimę doprowadzał go do stanu używalności. Zdaje się, że korzystają z niego wspólnie.

— Dopij kawę — poleciła Alice. Nadal stała. — Mieszkają w ostatniej przyczepie

kempingowej, tak że powinniśmy się zbierać.

Przełknąłem fusy i wstałem, kołysząc się w biodrach i pstrykając palcami dla pokazania, że jestem zmobilizowany. Tym samym wprowadziłem nieodpowiedni ton, nieco zbyt bez troski. Czasami się zapominałem.

Zapach trawy i parafiny, oleju kuchennego i żużlu stawał się coraz mocniejszy, im bardziej zbliżaliśmy się do pola kempingowego. Kobieta z białymi dreadami i manchesterskim akcentem zeszła z plaży, by zapytać Alice, czy miałyby ochotę na masaż stóp.

— Nie, dziękuję — odparła, patrząc przed siebie. Była spięta, nie czuła się pewnie.

Ostatnia przyczepa była mniej retro i bardziej przypominała dom na kółkach, kwadratowy i biały, z wysuniętym dachem i trzema plastikowymi krzesłami wokół stołu na zewnątrz. Obok grilla na ziemi leżały rozrzucone kulki ze zmiętych papierowych ręczników. Przy kołach leżała wyciągnięta para chudych kotów.

Tutaj było zaciszniej, mniej wiało. Zapach gnijących warzyw i narkotyków przyprawiał o zawroty głowy. Drzwi od frontu stały otworem, jednak Alice i tak zastukała.

— Dzień dobry — zawołała. — Jest tam kto?

Przyczepa nieco się zakołysała, rozległy się kroki i jakaś kobieta wyjrzała przez drzwi. Miała na sobie obcisłą, spraną, brązową, trykotową sukienkę bez rękawów; była bez stanika. Włosy na nogach i pod pachami. Nosila długi warkocz, na twarzy miała dwa czarne ćwieki — jeden w skrzydełku nosa, drugi na środku podbródka. Prawdopodobnie była kobietą ze zdjęcia Andrew, ale nie miałem pewności.

— Cześć — zagaiła.

Alice wbiła w nią wzrok. Z trudem przełknęła ślinę.

— Jasmine?

Kobieta cofnęła się o krok. Twarz stężała, opadły kąciki ust.

— Czego chcesz? — zapytała.

Alice wyciągnęła rękę.

— Chcę ci pomóc — wyszeptwała. — Wiesz, kim jesteś? Wiesz, jak się nazywasz?

Kobieta roześmiała się.

— Nie potrzeba mi twojej pomocy. Co cię obchodzi, jak się nazywam.

Nie mówiła z angielskim akcentem, a z bliska widziałem nieznaczące ślady bruzd na czole i przy kącikach ust. Nie myliłem się. Miała więcej niż dwadzieścia cztery lata, może była już po trzydziestce.

— Widziałam cię w supermarkecie — mówiła Alice. — Po drugiej stronie wyspy, w Stefanos.

Kobieta mocno pchnęła drzwi, które zaczęły się zamykać. Alice cicho jęknęła i wtedy dostrzegłem szansę na wykazanie się gorliwością i zaangażowaniem; szybko postąpiłem do przodu i zdążyłem naprzec na drzwi, nim się zatrzasnęły. Poleciały w głąb przyczepy, a kobieta krzyknęła.

Leżała na podłodze, trzymając się za czoło. Z nosa kapiała jej krew.

— O Boże — zawołała Alice. — Nic jej nie jest?

Schyliłem się, chciałem jej dotknąć, uspokoić, lecz odsunęła się ode mnie

z mieszaniną odrazy i lęku. Zaczęła się drzeć, kłać na mnie po angielsku i w jakimś innym języku — może niemieckim czy niderlandzkim — i wierzgać nogami.

Z plaży nadbiegł mężczyzna, wysoki i szczupły, w samych szortach, na nogach lekko zgiętych w kolanach i stopach rozstawionych, by łatwiej przemieszczać się po piasku.

— Greta — krzyknął, przyspieszając, w miarę jak zbliżał się do przyczepy. Zaczął okładać mnie pięściami. — Co ty, kurwa, wyprawiasz?

Podniosłem ręce, usiłowałem go odepchnąć.

— Przepraszam, przepraszam! — krzyczała Alice. — To był wypadek. On nie chciał. Wszystko przez drzwi. Chcieliśmy tylko zadać kilka pytań.

— Nie chciałem zrobić jej krzywdy — potwierdziłem.

Greta wstała, obciągając sukienkę. Chwyciła ścierkę do naczyń i przyłożyła ją sobie do nosa.

— Pogięło cię? — zapytała.

— Nie — zareplikowałem. Wyciągnąłem ręce w geście pokoju i postąpiłem jeszcze parę kroków naprzód. — Szukamy tylko Angielki imieniem Jasmine. Wzięliśmy cię za nią. Chcieliśmy tylko porozmawiać. Przepraszam. Przepraszam.

Mężczyzna przepchnął się obok mnie, aby wejść do przyczepy. Przytulił kobietę, odsuwając ścierkę i oglądając jej nos.

— Wezwę policję. Jak zwierzęta.

— Nic podobnego — oznajmiła spokojnie Alice. — Bo jesteście złodziejami.

— Tutaj nie ma Jasmine — powiedział. — Zostawcie nas w spokoju.

Alice zaczęła odchodzić, ale mnie pozostała jeszcze jedna szansa, by zrobić na niej wrażenie. Przypominając sobie coś, co wyczytałem na plakacie w Elcondzie, wskoczyłem na stopień przyczepy.

— Mogę zobaczyć twoje ramię? — zapytałem. — Masz tam bliznę? Jasmine, której szukamy, ma.

Kobieta tylko się na mnie gapiła. Niewiele się namyślając, zacząłem sięgać ręką do jej szyi i wtedy poczułem, jak dwoje mocnych ramion chwyta mnie za klatkę piersiową — facet w szortach wyrzucił mnie bokiem z przyczepy. Chcąc złagodzić upadek, zdarłem sobie skórę z dłoni.

— Wariat — stwierdziła kobieta, gdy zatrzaskiwały się drzwi.

Po powrocie zastaliśmy przed domem policyjne auto.

Alice, z ręką na moim udzie, zasnęła oparta o okno. Starąłem się jej nie zbudzić, mocno zwalniając na zakrętach i unikając co bardziej wyboistych odcinków. Zbudziła się na wybojach ostatniego odcinka polnej drogi i już miałem wykorzystać bliskość, która zrodziła się między nami, proponując kolację we dwoje. Ale wysiadła, zanim zdążyłem się odezwać.

Poszedłem za nią na taras, gdzie między Andrew i Tiną siedział przy stole Gavras. Były tam też obie dziewczyny w kostiumach kąpielowych, z nogami na siedzeniach krzeseł, dłubiące przy paznokciach. Ani śladu chłopaków, chociaż z domu dobiegały odgłosy walki i stłumionych wybuchów z xboxa.

— Proszę nie wstawać — uprzedziła Alice.



— Pani Mackenzie. — Policjant wstał mimo wszystko, skłaniając się nieco. Dziś włożył ciemnoszarą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. — Słyszałem, że wybrała się pani na sympatyczną przejażdżkę.

— Tak. Pojechaliśmy odwiedzić starą znajomą w Epitarze... Ja... My... — Zaplątała się. Wiedziałem dlaczego: wstyd z powodu podjęcia kolejnego daremnego wysiłku, popełnienia jeszcze jednego błędu.

Wystąpiłem do przodu, osłaniając ją ciałem.

— Alice była tak miła, że zechciała pokazać mi wyspę. — Wyciągnąłem rękę. — Paul. Paul Morris. Bo chyba się nie znamy.

— Twarz wydaje mi się znajoma. — Ścisnął mi dłoń z uniesionymi brwiami.

— Byłem wczoraj w hotelu.

— Aha. — Pokiwał głową. — Co przypomina mi o powodzie mojej tu obecności. Pani Mackenzie, wspominała pani, że członkowie państwa grupy byli w klubie tego wieczoru, kiedy doszło do gwałtu. Właśnie z nimi rozmawiam. Wypytywałem Phoebe i Daisy, czy pamiętają cokolwiek.

Alice znów trzymała rękę za głowę, nerwowo wodząc palcami wzdłuż niektórych kosmyków.

— Tak, tak — wybąkała. — Czy na coś się przydały?

— Raczej nie — odezwał się Andrew. Wystukiwał coś na black-berrym, którego trzymał na dłoni. Phoebe ziewnęła.

— Wyszliśmy za wcześnie. Ale stwierdziłyśmy, że to na pewno nie ten Sam.

— Ale powinien pan spytać Louisa — dodała Daisy. — Zdaje się, że z nim rozmawiał.

Gavras machnął zniecierpliwiony ręką.

— Chłopak, o którym mówisz, został wypuszczony. Ma alibi, siostrę, która po niego przyjechała. Zatem to tylko nieporozumienie. A Louis...?

— Brat Phoebe.

— O. — Gavras nagle się ożywił. — Był w klubie wieczorem, gdy doszło do gwałtu?

Alice zerknęła spiesznie w stronę domu, skąd nadal dobiegały odgłosy strzelaniny, i odwróciła się z powrotem. Andrew ją uprzedził:

— Louis wrócił jeszcze wcześniej od dziewcząt. Chętnie pozwoliłbym panu oderwać go od tej gry wideo i wypytać o więcej, ale nie ma to raczej sensu. Wypuściliśmy go tylko na drinka i przywieźliśmy z powrotem długo przed północą. — Roześmiał się i ściszył głos. — Ma zaledwie szesnaście lat. Zdaje się, że nie bawił się zbyt dobrze. Przez większość czasu siedział w kącie i grał na telefonie w Candy Crush.

Przeniosłem wzrok z Andrew na Alice i z powrotem. Zarumieniła się lekko. Czy była zadowolona, że Andrew brnął dalej w kłamstwo? Jakie to miało znaczenie? Skoro Louis tak bardzo się upił, nie nadawał się przecież na świadka. Mimo to lepiej byłoby powiedzieć prawdę.

— Rozumiem — powiedział Gavras. — W takim razie nie przeszkadzajmy chłopakowi w zabijaniu.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, z wyjątkiem mnie.

— Jak ona się czuje? — spytałem.

Gavras popatrzył na mnie zdeorientowany.

— Kto?

— Laura, ofiara. Trzyma się?

— Zna pan pannę Cratchet? To pana znajoma? — Zmrużył oczy.

— Nie. Po prostu słyszałem, jak ma imię. To wszystko.

— To miłe z pańskiej strony, panie Morris, że okazuje pan taką troskę.

Andrew uśmiechnął się.

— Nasz gość zawsze zwraca uwagę na szczegóły, gdy chodzi o młode damy.

Gavras skłonił głowę.

— Została otoczona najlepszą opieką i bardzo stara się nam pomóc. Panie Morris, czy był pan w klubie w wieczór napaści?

— Nie. — Ze śmiechem potrząsnąłem głową. — Jestem o wiele za stary.

— Rozumiem — powtórzył.

— Jaką pomoc ma pan na myśli? — zainteresowała się Alice. — Widziała napastnika?

— Nie, nie widziała.

— Sądzi pan, że to przestępstwo z premedytacją? — spytał Andrew. — Czy też pod wpływem chwili?

— Nie jestem w stanie powiedzieć.

— Czy dziewczyna miała pojęcie, w jakim wieku jest gwałciciel? — zapytałem.

Gavras popatrzył na mnie.

— Dosyć pytań. — Wykonał kolisty ruch barkami, rozciągając mięśnie. — Nie ma powodów do zmartwienia. Nie ujdzie mu to płazem.

Po tym nie było już szans na intymną kolację *à deux*. Tina znów zrobiła makaron — tym razem z tuńczykiem z puszki, znacznie gorszy od wszystkiego, co przytrafiło mi się jeść na studiach. Miał być z dodatkiem oliwek, ale Alice kupiła nie te, co trzeba — bez przypraw, surowe i twarde jak naboje.

— To nic — orzekła, zamykając słoik. — Do czegoś je wykorzystamy.

Zasiedliśmy razem na tarasie. Atmosfera zrobiła się napięta. Byłem przekonany, że Andrew i Tina znowu się pokłócili, Alice nosiło na myśl o zbliżającym się przyjeździe Yvonne i Karla. Mnie niepokoił Louis. Przyglądałem mu się, jak siedział naprzeciwko, nieufornym mężczyzna-dziecko o ciele za dużym jak na rozwijający się dopiero umysł i twarzy przechodzącej tę drastyczną zmianę wieku młodzieńczego. Ładował jedzenie do ust widelcem trzymany w prawej ręce jakby dla pokazania, że konwenanse go nie obowiązują, że jest za bardzo macho. Ale wtedy Daisy poprosiła go o szklankę wody, którą nalał niezgrabnie, rozlewając na stół, po czym zaczerwienił się, nieśmiały jak mały chłopiec.

Było ciągle gorąco, wilgotno jak za dnia, i pojawiła się propozycja „kąpieli o północy”. Alice koniecznie chciała zmyć naczynia.

— Odpocznij sobie — poprosiła, gładząc mnie po ramieniu. — Dosyć już dziś zrobiłeś.

Andrew zgłosił się do wycierania; całą resztą zeszliśmy nad basen, zapalając

światła pod wodą.

Tina była w dziwnym nastroju.

— Przykro mi, że w Epitarze się nie udało. Ale od razu mówiłam.

— Tak, szkoda. W każdym razie trzeba było spróbować.

— Brakowało was tutaj. No — strzepnęła liść ze stołu w kierunku basenu — przynajmniej Andrew za wami tęsknił.

Patrzyłem, jak Daisy pływa bez celu, włosy ociekają jej wodą, a apatyczne ciało połyskuje w białym ledowym świetle. Tym razem ten widok mnie nie poruszał.

— Dlaczego Andrew i Alice nie ma tak długo? — zdziwiłem się.

— Na pewno zaraz zejdą.

Ale nie mogłem usiedzieć na miejscu. Powiedziałem Tinie, że zapomniałem papierosów, i wróciłem do domu.

Siedzieli w mojej palarni, na pewno zdawało im się, że tam są bezpieczni, ukryci. Andrew obejmował Alice, palce ścisnęły jej rękę powyżej łokcia, broda oparta była na jej głowie. Na myśl o zaroście dotykającym jej miękkich włosów wzdrygnąłem się.

Nie zobaczyli mnie. Alice miała spuszczone wzrok, on zamknięte oczy. Mówili cicho, jej usta poruszały się. Nie usłyszeli moich kroków — prawdę powiedziawszy, szedłem od basenu najciszej, jak umiałem.

To była chwila wykradziona, nie zbliżenie przyjaciół, tylko coś mroczniejszego, bardziej niebezpiecznego.

Zacisnąłem zęby, ręce ścisnęły się w pięści. Czyli moja zazdrość była „głupotą”, tak? Czuję się tak, jakbym dostał kopa w krocze. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Miałem ochotę krzyknąć, bić się. Lecz w końcu zawróciłem tam, skąd przyszedłem.

## Rozdział 14

Mało co spałem, przez psa, gorąco i tęsknotę za Alice. Może gdybym nie był z dala od domu, gdyby wszystko to działo się w Londynie i mógłbym pogadać z Michaelem, byłoby mnie stać na dystans. W efekcie leżałem sobie, miotając się między gwałtowną zazdrością a rodzajem żalosej pokory. W jednej chwili boleśnie tęskniłem za dotykiem jej skóry, strasznie pragnąłem przesunąć rękę po rozgrzanym, zmar-szczonym prześcieradle i pogładzić palcami jej żebra, by za chwilę wyobrazić sobie, jak wstaję, znajduję Andrew i daję mu po mordzie.

Z porankiem wrócił rozum. Być może tylko to sobie wyobraziłem? Alice jeszcze leżała, gdy wyszedłem spod prysznic, rozłożyła ręce i przyciągnęła mnie do siebie.

— Dziękuję za wczoraj — zamruczała, wsuwając palce pod wilgotny skraj ręcznika.

Odszukałem jej twarz.

— Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie.

Ucałowała mnie w nos, potem w usta, szukając mojego języka.

— Wracaj do łóżka — powiedziała, ujmując moje pośladki.

Wieczorem odwróciłem się do niej plecami, żeby czytać — a raczej udawać, że czytam — ale teraz oczywiście uległem. Nieco zbyt natarczywie rozłożyłem jej nogi, ugryzłem wargę, przytrzymałem rękę nad głową. Próbowałem ją posiąść, podporządkować sobie — jeśli nie ją, to przynajmniej własne emocje. Jęczała z rozkoszy, ale nie szczytowała. Czyżbym opacznie pojął tamtą scenę? Czy wyszłaby teraz z inicjatywą, czy byłoby jej przyjemnie, gdyby kochała Andrew?

Na śniadanie przyszliśmy późno. Budowa już ruszyła, słychać było odgłosy wiercenia. Tina w różowym szlafroku siedziała daleko od Andrew, malując widok, wokół nóg ustawiła tubki z farbą i garnek wody. Ubrany Andrew przysiadł na stole i spoglądał na zegarek.

— Jedziemy po bandzie, tak? — rzucił rozdrażniony do Alice.

Yvonne i Karl mieli wylądować w południe i przy kolacji ci dwoje zastanawiali się, kiedy powinni po nich wyjechać.

— Zdamy — stwierdziła. — Muszą przejść przez kontrolę. Zresztą jestem gotowa.

Oderwała kawałek chleba, przystawiła go sobie do nosa, z zamkniętymi oczami chłonąc drożdżowy aromat.

— Skoro mam już ubezpieczenie — odezwałem się, siadając i nalewając sobie kawy — mogę rzecz jasna prowadzić.

Odstawiłem kawiarkę i pilnie ich obserwowałem. Alice przybrała zamyślony wyraz twarzy, jakby zastanawiała się nad moją propozycją.

— Może nie jest to zły pomysł. Andrew, co ty na to?

— Lotnisko jest dość trudno znaleźć.

Siedząca na drugim końcu tarasu Tina odłożyła swój blok z rysunkami.

— Paul z pewnością da sobie radę.

— Nie, rzeczywiście jest ciężko — potwierdziła Alice. Przechyliła się ponad moją

głową i wzięła masło, smarując nim chleb. Kończyła mówić z pełnymi ustami: — Zrobimy tak, jak się umawialiśmy.

Odczekałem, aż samochód dotelepie się do końca podjazdu i zniknie za rogiem, a warkot silnika zamieni się w odległy szum. Wtedy obszedłem dom w poszukiwaniu Tiny.

Była w kuchni. Pozostawiła farby i ubrała się — znowu lniany worek, tym razem w barwie spranej zieleni, parę centymetrów krótszy z tyłu niż z przodu, odsłaniający błękitno-białe krzywizny z dołeczkami nad kolanami. Oczy miała zaczerwienione — siateczki popękanych naczyń w kącikach — i ciekaw byłem, czy płakała.

— Nic ci nie jest? — zagadnąłem.

— Nic.

Głęboko zaczerpnąłem tchu. Czy powinienem spytać, co sądzi o Andrew i Alice? Czy odważę się ująć to w słowa?

— Planuję piknik w Stefanos. Da się tam przejść piechotą. To by nam dobrze zrobiło. W dodatku uciekniemy od hałasu.

Minęła mnie i zaczęła zbierać ręczniki z krzesel na tarasie.

— Możemy kupić na obiad zapiekanki z serem i zjeść je na plaży — opowiadała, upychając ręczniki do dużej brezentowej torby. — Ponurkować z rurką. Popływać. Wezmę farby. — Krzyknęła: — Dzieci! Szybciej! Idziemy! — I powróciła do mnie: — Może wypiszę parę kartek. Co ty na to?

Powstrzymałem ją w drzwiach, kładąc dłoń na ramieniu. Widziałem, że jest poruszona. Powinna wiedzieć, że jestem po jej stronie.

— A chciałabyś, żebym z wami poszedł? — zapytałem znacząco.

— Rób, jak chcesz.

— Jasne. Ale czy chciałabyś, żebym poszedł?

Cholera. Jak teraz o tym myślę, to tak, możliwe, że wyszedłem na potrzebującego wsparcia. Nie chciałem. Po prostu starałem się być miły.

Popatrzyła na moją rękę, potem w oczy. Powtórzyła spokojnie:

— Rób, jak chcesz.

W wyrazie jej twarzy było coś, co mi się nie spodobało. Zabrałem rękę.

— To może raczej zostanie.

Potem siedziałem na tarasie, paląc papierosa, i patrzyłem, jak się kręcą, szukają, znajdują i znów gubią różne potrzebne rzeczy (kąpielówki, piłki, maty z plecionki), zbierają zbędne rekwizyty bezsensownego życia. Nikt mnie nie chce — litowałem się nad sobą — nikt mnie nie potrzebuje.

— Zostajesz? — zapytał przed wyjściem Frank.

— Chyba tak.

— Po co?

— Coś wymyślę, jakoś wykorzystam ten czas.

— Na przykład naprawisz Hermesa? — powiedział, a stojąca za jego plecami Phoebe roześmiała się.

Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, wróciłem do domu. Do pokoju Andrew i Tiny prowadziło dwoje drzwi — jedno z tarasu, zamknięte na klucz, i drugie z salonu,

otwarte. Wszed-łem do środka i zacząłem się rozglądać. Połączenie bałaganu i pedantycznego porządku, jak we wspólnym mieszkaniu kaprała i kurwy. Komoda zavalona kosmetykami i dźwięczną płataniną biżuterii, a obok schludnie zasłane łóżko. Po stronie Andrew pusto, po stronie Tiny książka, romansowy bestseller, leżąca grzbietem do góry, ze zgiętymi stronami. Na drewnianym stołeczku obok stało pół szklanki wody i leżał blister proszków. Tabletki na sen — Ambien. Więc dlatego tak mocno spała. Na wszelki wypadek poczęstowałem się paroma — nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się smaczny sen.

Otworłem szafę i przeszukałem jego ubrania. Wywróciłem kieszenie: nic. Na najniższej półce, wetknięta pod ręcznik, znajdowała się mała, skórzana kosmetyczka, której zawartość wysypałem na ziemię: tubka Ultimate Brushless Shave Kiehla, Noir Toma Forda i słoiczek witamin MAX dla macho, „poprawiające zdrowie, witalność i aktywność umysłu”. Już miałem włożyć wszystko z powrotem, gdy zorientowałem się, że saszetka ma wewnątrz przegródkę. Pomacałem i wyciągnąłem trzy złote opakowania. Prezerwatywy. Trzymałem je w ręku, nagle zrobiło mi się niedobrze. Po co Andrew gumy? Tina wspomniała o wczesnej menopauzie. Z pewnością nie służyły mu do kochania się z żoną.

Wsadziłem wszystko z powrotem do saszetki, którą wetknąłem pod ręcznik. Ale prezerwatywy zatrzymałem u siebie w portfelu. Może Andrew pomyśli, że Tina je znalazła. Choć miałem nadzieję, że pozna, czyja to sprawka.

Po powrocie na taras przekręciłem głowę, wstrzymując oddech. Przez warkot maszyn przebijały się głosy, dziewczęcy śmiech. Znad basenu. Cicho zszedłem po stopniach i stanąłem w cieniu figowca: dwie osoby stały w wodzie, splecione ze sobą. Jedną była Daisy, drugą szeroki w barach blondyn. Odwrócił się, zobaczył mnie. Kurwa. Artan. Zamachałem.

Daisy wyskoczyła na brzeg od mojej strony i złapała ręcznik.

— Zdawało mi się, że poszedłeś z tamtymi.

— A ja myślałem, że ty poszłaś.

— Nie mów nikomu. To nie tak, jak ci się zdaje. Tylko się przyjaźnimy.

Artan wyszedł z wody na drugim końcu basenu i wkładał spodnie, odwrócony do nas plecami.

— Nie jest dla ciebie nieco za stary? — zdziwiłem się.

Uśmiechnęła się drwiąco.

— Naprawdę chcesz o tym porozmawiać?

Czy powinienem wpaść w oburzenie? Zamknąć ją w domu? „Zobaczysz, powiem matce, młoda damo”. Czy tak zareagowałby ktoś o normalnych odruchach moralnych? Szczerze mówiąc, było mi wszystko jedno. Miałem za dużo na głowie, żeby przejmować się jeszcze nią. Była dorosła. No, prawie.

— W porządku — powiedziałem. — Umowa stoi. Jak będziesz czegoś potrzebować, jestem w domu.

— A co będziesz robił? — spytała podejrzliwie.

Wzruszyłem ramionami.

— Naprawiał pikapa.

Tym razem zablokowałem drzwi szopy klinem w postaci dużego plastikowego pojemnika, który stał pod ścianą. Etykieta była po grecku, ale figurowała na niej czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami — międzynarodowy symbol trucizny. Był szczelnie zamknięty, ale na wszelki wypadek po przeniesieniu go wytarłem ręce w szorty. Do środka wpadła struga światła i przekonałem się, że tam, gdzie przed dwoma dniami ścianę pokrywała gruba warstwa brudu, teraz biegła smuga, jak gdyby ktoś przetarł to miejsce ręcznikiem albo chciał się tamtędy przecisnąć.

Rzeczy na regałach w głębi szopy wyglądały na stare rupiecie — niedokończone puszki z farbą, puste pojemniki. Nie miałem pojęcia, po co ktoś chciałby się tu zapuszczać. I wtedy przypomniał mi się Artan zamykający za sobą drzwi. Może to tutaj trzymał narzędzia, mimo że żadnych nie widziałem? Albo przebierał się tu w roboczą odzież. A może pieprzył Daisy? Pieprzył ją? Kogo to obchodzi?

Samochód dostawiono prawie do samych regałów, za to od przodu zostało trochę miejsca. Znalazłem na środku pod maską dźwignię zwalniającą. Maskę otworzyła się gładko i postawiłem ją na metalowym pręcie. Na razie poszło łatwo. Za to wewnątrz — wzdrygnąłem się. Jakbym zaglądał komuś w trzewia, wnętrzości — zwinięte i brudne. Nie miałem o tym pojęcia. Nie mogłbym znaleźć nawet chłodnicy, a co tu mówić o bagnecie do mierzenia poziomu oleju. Stary klucz do nakrętek leżał na czymś przypominającym pasek klinowy. Ująłem go, zważyłem w dłoniach. Ciężki, zardzewiały, z zawiasem podobnym do papuziego dzioba. Potem przeszedłem do drzwi kierowcy. Otworzyły się — nie do końca, z powodu ściany, ale na tyle, że mogłem się prześlizgnąć i usiąść na fotelu.

Siedziałem tam przez chwilę w chłodnym półmroku, za otwartą maską. Usiłowałem sobie wyobrazić, że jestem mechanikiem albo po prostu zwykłym gościem ze Środkowego Zachodu, który wie, co robi, mężczyzną, którego kobieta pokroju Alice po prostu musiałaby szanować. Zapaliłem papierosa i opuściłem szybę, żeby wystawić łokieć. Rozsiadłem się wygodniej, choć zbyt wygodnie się nie dało: znalazłem się na płaskim siedzisku z plastiku obitego tapicerką. Ale było tu czysto, z wyjątkiem paru gałązek, żwiru z drogi i starej chusteczki do nosa porzuconej w miejscu na nogi. Kurde — uśmiechnąłem się melancholijnie — jeśli Alice zostawi mnie dla Andrew, zawsze mogę przeprowadzić się tutaj.

Dopaliłem fajkę i zgmiotłem ją butem. Kluczyk tkwił w stacyjce, tak jak mówiła Alice. Zaskakująco mały jak na taką potężną maszynę: bez breloka. Uruchamianie auta w zamkniętym pomieszczeniu nie wydawało się rozsądne. Spaliny z tlenkiem węgla, wszystkie butelki z płynami.

Nachyliłem głowę, żeby przekręcić kluczyk, ale się zaciął. Usiłowałem go wyciągnąć — ani drgnął. Palce miałem śliskie od potu i nie było szans na porządne chwycenie klucza. Wytarłem ręce w koszulę i ponowiłem próbę. Bez skutku. Kluczyk nie mógł tak doszczętnie zardzewieć; po prostu potrzebowałem lepszego uchwytu. Rozejrzałem się i zwróciłem uwagę na starą chusteczkę do nosa. Wystarczy. Podniosłem ją, owinałem palce w zakurzoną, kremową bawełnę i spróbowałem ponownie. Tym razem uchwyt był wystarczająco mocny, żeby wytworzyć tarcie. Kluczyk obrócił się. Silnik zakaszał i zgasł. Drugi raz: to samo. Ostatnia próba, skóra już obolała od metalu, który

głęboko wbijał się w palec wskazujący. Grzechot, gardłowy warkot i bestia zaczęła drzeć, a otwarta maska brzęczeć. Zdumiony puściłem kluczyk. Naprawiłem go. Być może wystarczyło wyjąć ten metalowy klucz spod maski.

Wyłączyłem silnik i w szopie znów zapanowała cisza.

Byłem niezmiernie dumny z siebie, czemu towarzyszyła poprawa samooceny. Cóż Alice mogła widzieć w Andrew, czego nie zobaczyła we mnie? Z pewnością dawał jej wsparcie emocjonalne i moralne, ale czy mieli romans? Czy możliwe, że złote prezerwatywy są stare? Albo skonfiskowane synowi? Zapaliłem kolejnego papierosa i zaciągnąłem się. Bo jeśli rzeczywiście ze sobą spali, czy Andrew naprawdę ma szansę w porównaniu ze mną? Muszę się wykazać, to tyle. Trzeba znaleźć jakiś sposób na pozbycie się go.

Szczegółowo zapamiętałem sobie ten tok myślenia. Nie pamiętam za to, gdzie zapodziałem klucz. Nie wiem, czy rzuciłem go na podłogę szopy — ale był ciężki i padałby z donośnym brzękiem, którego sobie nie przypominam. Czy może zabrałem go do szoferki i tam zostawiłem?



## Rozdział 15

Alice i Andrew wrócili koło piątej, długo po innych. Leżałem na łóżku i udawałem, że śpię, gdy Alice jak gdyby nigdy nic wpadła do pokoju. Samolot się spóźnił, po drodze zatrzymały ich kozy — „musieliśmy wyłączyć silnik i czekać, aż ktoś przyjdzie i je przepędzi” — i przed odwiezieniem Yvonne i Karła do hotelu zatrzymali się jeszcze na drinka.

— Najważniejsze — oświadczyła, zrzucając buty i z impetem siadając na boku materaca — że dojechali.

— Dobrze się czują? — zapytałem. — Taki powrót musi być wstrząsem. — Próbowałem nawiązać kontakt tak bliski, jak w samochodzie. Jednak nastrój Alice był już inny. Wykonywała zbyt zamaszyste gesty. Gdy się nade mną pochyliła, wilgotne wargi miała rozwarłe, a z ust pachniało ouzo.

— Tak. Tak, rzeczywiście, oboje są w dobrej formie. Biorąc pod uwagę okoliczności. — Przeciągała zgłoski. — Nie wiem, czy już do nich dotarło, gdzie są. A ty co porabiałeś?

— Prawdę mówiąc — podniosłem się, oparty na łokciu — miałem całkiem ciekawy dzień. — Miałem zamiar jej opowiedzieć o Daisy i Artanie oraz naprawieniu pikapa. Spodziewałem się, że obydwie informacje na swój sposób zbliżą nas do siebie.

Ale ona już wstała i zdejmowała ubranie.

— Później opowiesz — powiedziała, stojąc nago. — Za pół godziny jesteśmy umówieni z Yvonne i Karłem u Nico, a ja koniecznie muszę wziąć prysznic.

Lokal u Nico był mniejszy i ładniejszy niż u Giorgia, z bawełnianymi obrusami w kratę i kaskadą winorośli ponad tarasem. Yvonne i Karła zastaliśmy przy długim stole nad wodą. Alice manewrowała między krzesłami, żeby się do nich dostać, trzymając mnie za rękę. Yvonne wstała, Alice wypchnęła mnie naprzód.

— Droga Yvonne, to mój przyjaciel Paul, o którym opowiadałam ci w samochodzie. Zamieszkał z nami na tydzień.

Yvonne wyciągnęła rękę, a ja stałem przez chwilę, gapiąc się na nią skrępowany. Była mała i drobna, o szczupłej twarzy i długich włosach; skórę pod oczami miała szorstką jak papier ścierny. Włożyła bawełnianą sukienkę w kwieciste wzory z krótkimi rękawami jak w kimonie — stare ubranie Alice, pamiętałem je z fotografii. Wisiała na niej, szeroko odsłaniając dekolt. W uśmiechu pokazywała zęby z plamami.

Pochyliłem się i ją objąłem, czując nacisk krzyżyka, który nosiła na szyi. Wilgotna szminka musnęła mój policzek.

— Tak naprawdę przyjechałem na dwa tygodnie — stwierdziłem, odsuwając się — o czym, zdaje się, zapomniała.

Yvonne uśmiechnęła się szerzej, Alice wybuchnęła śmiechem.

— Przepraszam. Dwa tygodnie. A to jest Karl.

Był mniejszy od Yvonne: zasuszony rockers o siwym zarós-cie, zapadłych policzkach i wyblakłym, niebieskim tatuażu w kształcie wymyślnej jaszczurki za uchem. Gdy ścisnął moją dłoń, kwadratowy złoty sygnet na jego palcu wskazującym wbił się w ciało u podstawy mojego kciuka.

— Bardzo mi miło — powiedział.

Patrzyłem, jak pozostali witają się z Yvonne, Tina ją obejmuje, Louis przewraca krzesło, Daisy siada jak najdalej ode mnie. Wysunąłem puste krzesło przy Karlu. Kelner przyniósł karty. Andrew zamówił wino.

— Czy może wolałbyś piwo, Karl?

— Chętnie — mruknął Karl.

— I piwo dla mojego szanownego kolegi — zarządził Andrew.

Alice, która zasiadła u szczytu stołu, z ożywieniem rozmawiała z Yvonne, wypytując o pokój w hotelu: czy jest w nim dostatecznie chłodno, czy mają moskitiery, czy poduszki są wygodne?

Wydało mi się, że Yvonne zaczyna się nieco irytować.

— W porządku — odpowiedziała krótko. — Tak, jak się spodziewaliśmy. Wszystko jest dobrze.

— Alice zależy na tym, żeby wszystko było w idealnym porządku. — Karl przechylił się w moją stronę. — Jak co roku. Co nie ma żadnego znaczenia.

— Gdzie mieszkacie?

— Gdzieś tam... — Wykonał ruch brodą. — Fajny basen, z części pokoi jest widok na morze, ale nie z naszego. W pierwszym roku, gdy straciliśmy Jasmine, zatrzymaliśmy się w Apartamentach Plaża Barbati i potem dawali nam upusty. Ale zburzyli Apartamenty i postawili ten wielki luksusowy hotel...

— Delfinos.

— Dyrektor się nie zmienił, ale...

— Ludzie mają krótką pamięć — stwierdziłem.

Karl wzruszył ramionami.

— Tak. Ludzie zapominają o wielu sprawach.

Nastolatki usadowiły się na przeciwległym krańcu stołu. Spojrzałem w tamtą stronę dokładnie w chwili, gdy Daisy popatrzyła na mnie. Rumieniec oblał jej twarz. Uśmiechnąłem się i nieznacznie skinąłem głową. Okazało się, że fajnie mieć na nią haka.

— Ma to sens? — pytał Karl.

Odwróciłem się do niego z powrotem.

— Proszę?

— W samochodzie Alice mówiła, że w noc zaginięcia Jasmine byłeś na Pyros, a dokładnie w Agios Stefanos, ale że nic nie pamiętasz i nie ma sensu pytać.

— Tak, obawiam się, że ma rację. Niewiele pamiętam z tamtej nocy.

— O jedno piwo za dużo, tak? — Pokiwał głową.

Zaczynałem wpadać w popłoch.

— Niestety. O wiele za dużo.

— Ale ja cię pamiętam. — Zmrużył oczy, przygryzając wargę. — Tak, na pewno. Widziałem cię na ulicy.

— Wątpię. Myślę, że w międzyczasie gdzieś sobie poszedłem.

— Na pewno? — Postukał się palcem w bok głowy. — Mam dobrą pamięć do twarzy.

W myślach pognałem w przeszłość, starając się zignorować rozmowy z Alice.

Zdaje się, że mówiła, iż wyjechałem ze wsi taksówką na długo przed zaginięciem Jasmine. Gorączkowo szukałem w pamięci własnego wspomnienia — i nic.

— Wątpię — powtórzyłem. — Takie rzeczy się raczej pamięta.

U szczytu stołu Alice opowiadała Tinie i Yvonne o spotkaniu z kozami — żywo gestykulując, jak gdyby chciała dodać anegdocie impetu, napęłnić ją życiem i powietrzem. Wyobraziłem sobie, jak bez jej starań opowieść zwiędłaby i opadła bez kształtu na ziemię, i poczułem, jak wzbiera we mnie litość i współczucie. Jakby zawarła pakt z diabłem, udając, że Jasmine jeszcze żyje, że ciągle jest nadzieja. I zauważyłem, że z kobiet najbardziej żał mi Alice, nie Yvonne, i jakie to jest dziwne.

Karl poklepał mnie po ramieniu.

— Andrew opowiadał, że jesteś pisarzem.

— Tak. Piszę powieści.

— Ja nie czytam za dużo, ale jeden z kumpli z pubu wydał książkę o filatelistyce — mówię „wydał”, a tak naprawdę sam za to zapłacił. O, dziękuję. — Przynieśli mu lager i pociągnął długi łyk.

— A ty czym się zajmujesz?

Odstawił szklanę.

— Pracuję w B&Q, w dziale obsługi zaopatrzenia, ale zaczynałem jako technik grup rockowych. Big Tallulah? Steve and the Sunshine Boys? The Krooks? — spoglądał na mnie pytająco. — Nic ci to nie mówi?

Z przykrością potrząsałem głową.

— W ten sposób się poznaliśmy, w 1995 roku. Była świetną wokalistką, śpiewała jak ptak, ale potem zrezygnowała. Od odejścia Jasmine nie zaśpiewała ani jednej nuty.

Zamilkł i spojrzał na Yvonne po drugiej stronie stołu. Alice pochylała się nad nią i wskazywała jej pozycję w menu.

— Powinnaś zamówić musakę. Zasmakuję ci.

— Jak to dobrze, że wiesz, co mi zasmakuje — stwierdziła Yvonne, odkładając kartę. Robiła wrażenie wyczerpanej, ręce opadały wzdłuż ramion, jakby nie bardzo wiedziała, co z nimi począć.

— Pewnie od tego czasu wszystko się zmieniło — zauważyłem, odwracając się z powrotem do Karla.

— Przejebane — odpalił. — Nie umiem ci powiedzieć, jaką zostawiła po sobie dziurę. Sam nie wiem. Czasami to tak strasznie złości.

— Jaka była Jasmine? — zapytałem po chwili przerwy.

Składał serwetkę na coraz mniejsze kwadraty.

— Było z nią dużo kłopotów, nie oszukujmy się. Często miała zapalenie migdałków i nie chodziła do szkoły, nie nadażała z programem. Ale lubiła swoje króliki, chociaż Yvonne musiała ją ciągle gonić do sprzątania klatki. Obie bez przerwy skakały sobie do oczu, ale taki to już wiek, no nie? Jas zainteresowała się Eminemem, chłopakami, wszystko robiła tylko po to, by wkurzyć matkę. Iskrzyło.

Popatrzyłem na drugi koniec stołu, gdzie młodszy uczestnicy naszej wycieczki siedzieli wpatrzeni w swoje telefony.

— Nastolatki bywają trudne — odezwałem się. — Rozumiem to.

Karl wyjął z tylnej kieszeni spodni portfel i wydobył z niego zdjęcie Jasmine, które już widziałem — z rudym kotem trzymanym przy policzku. Ale ta fotografia nie została przycięta i w kadrze widać było stół zastawiony brudnymi kartonami po żarciu na wynos, niedojezoną pizzą, rozlanym z butelki piwem. Kuchnia daleka od ideału — większy bałagan, chaos. „Iskrzyło”.

Karlowi jakby głos uwiązał gdzieś w krtani.

— Miała wredny uśmieszek. To znaczy ma.

Przynieśli jedzenie i Andrew zabrał się do dzieła, pomiatając kelnerem, rozdzielając kebaby z baraniną i pieczonego miecznika. Oboje z Yvonne zamówiliśmy musakę, choć zwróciłem uwagę, że ona tylko dziobała w swojej.

Andrew jedną ręką wyciskał sok z cytryny na kalmary, a drugą pokazywał Phoebe, żeby podała mu dzbanek z wodą.

— Wiele się tutaj działo w tym tygodniu — oznajmił. — Zgwałcili jakąś biedną dziewczynę po nocy spędzonej w klubie.

Louis coś mruknął.

— Co powiedziałaś? — zapytała Alice, wbijając w niego wzrok.

— Powiedziałem „głupia dziwka”.

— Louis!

— Paul tak ją nazwał.

Tak gwałtownie wyrzuciłem nogi do przodu, że krzesło zazgrzytało o podłogę.

— Nic podobnego — zaprotestowałem.

Andrew wstał.

— Louis, nie wolno tak mówić.

Chłopak wzruszył ramionami, a Alice położyła dłoń na ramieniu Yvonne.

— Przykro mi, niepotrzebnie o tym wspominałam.

Yvonne odsunęła jej rękę.

— Znaleźli gwałciciela?

Alice wymieniła spojrzenia z Andrew. Kąciki jej ust nieco opadły i lekko pokręciła głową. W kolczykach odbił się blask świec.

— Nie — powiedziała. — Jeszcze nie.

Po jedzeniu poszedłem do toalety. Przyglądałem się swojej twarzy w lustrze, usiłując nadać jej rozluźniony, normalny wyraz. Wypaliłem papierosa i zeszło mi dłużej, niż planowałem. Gdy wróciłem, przy stole siedziała tylko Tina. Powiedziała, że reszta się porozchodziła — jedni po lody, inni „po świeże powietrze”. Przyznała, że Yvonne się wzruszyła. Alice zaproponowała, że odprowadzi ją do domu.

— Chciała, żeby Alice ją odprowadziła? — spytałem.

Tina się uśmiechnęła, nieznacznie unosząc brwi.

— Zdaje się, że wiedziała, iż nie ma wyboru.

Kelner przyniósł rachunek i spytał, czy będziemy chcieli zapłacić, czy raczej zaczekamy na resztę towarzystwa. Odchyliłem głowę i zapatrzyłem się na dach.

— Bo chyba moja kolej — stwierdziłem, prostując się. Wyjąłem z kieszeni portfel i wysunąłem z niego kartę kredytową, starając się zasłonić przy tym prezerwatywy.

Tina obróciła rachunek i wzdrygnęła się.

— Podzielmy się po połowie — zaproponowała. — Jest dość pokaźny.

— No, nareszcie — rzuciłem i usadowiłem się wygodniej, gdy nasze karty zostały przyjęte i oddane z powrotem.

Zaśmiała się, nie spuszczając ze mnie wzroku.

— Biedny Paul — powiedziała.

Rozparłem się, oczekując kolejnej miłej pogawędki, wyrwy w naszej wzajemnej izolacji, może nawet drinka przed snem. Restauracja pustoszała, puszczała piosenkę, którą lubię — jazzowy standard, przy którym miałem ochotę zacząć pstrykać palcami i pobujać się. Czuję w sobie agresję, może smutek, którym trzeba było dać upust. Ale Tina była chyba w innym nastroju. Biedna Tina. Nie powiedziałbym jej o Dai-sy, nawet gdybym nie przyrzekł dochować tajemnicy. Miała wystarczająco dużo zmartwień. Wciągnęła szybko powietrze i wstała.

— Chyba przyłączę się do dzieci i zjem sobie loda — powiedziała. — Będiesz tak miły i skoczysz do marketu? Potrzeba wody mineralnej i papieru toaletowego, i jeszcze trochę kawy na rano. To chyba tyle, prawda? Chyba że coś jeszcze przychodzi ci do głowy?

Wzruszyłem ramionami, nie mając pojęcia, co jest, a czego nie ma w domu.

— No, to w porządku. Umówiłam się z resztą za kwadrans przy samochodzie.

Wyszła z restauracji, machając do właściciela, który pił przy drzwiach ze znajomym. Dokończyłem swoje, potem jej wino, i po kilku chwilach poszedłem w jej ślady.

We wsi roilo się od ludzi, jak zawsze o tej przejściowej porze, gdy rodziny zbierały się do odejścia, a zaczynała napływać młodzież. Z nocnego klubu po drugiej stronie zatoki dobiegał puls muzyki, ciężkiego basu, co pewien czas przerywanego rozdzierającym gwizdem. Błyskały kolorowe światła.

Powlokłem się wolno do supermarketu. W środku było jasno i gorąco. Przy alkoholach kręciło się trzech mężczyzn. Ciastka w dziale z pieczywem robiły wrażenie zeschniętych. Kupiłem, co trzeba, i wyszedłem na plac, rozglądając się bez konkretnego celu. Już miałem ruszyć do samochodu, gdy po drugiej stronie ulicy zobaczyłem Andrew, który wchodził do Nico. Szybko przeszedłem ulicę, zakładając, że wraca uregulować rachunek, i ciesząc się, że będę miał okazję zakomunikować mu, że się tym zająłem, ale w środku nie było go nigdzie widać. Omiotłem wzrokiem ulicę i odniosłem wrażenie, że kieruje się do klubu.

Szybkie przedzieranie się przez ciżbę wczasowiczów nie należało do łatwych. Jakiś czas widziałem jego głowę, aż nogą zaczepiłem o czyjś sandał, a noszący go człowiek, zwalisty mężczyzna o pękatych łydkach, odwrócił się i posłał mi groźne spojrzenie. Przeprosiłem, ale właśnie w tym ułamku sekundy straciłem koncentrację. Gdy dotarłem do Klubu 19 na końcu ulicy, Andrew przepadł.

Cztery nastolatki w obcisłych spódniczkach i na obcasach stały przed wejściem, obciągając spódnice i rozpuszczając włosy.

Byłem ciekaw. Wszedłem za nimi.

W klubie, dość ciemnym i jeszcze pustawym, był bar i kilka stolików. Młodzieniec w szerokich dżinsach i ciasnej białej koszuli stał za mikserem; z nadgarstka zwisał mu

wielki metalowy zegarek, na szyi wisiały słuchawki. Kilka nastolatek nieśmiało kołysało się przy ścianach. Z bliska ich skóra przybierała sine, żółte i czerwone odcienie.

Stałem tak przez chwilę, trzymając torby z zakupami. Dziewczyny w kapeluszach i dżinsowych szortach, mikroskopijnych czarnych sukieneczkach, nogi i rzęsy, tusz, drżące obojczyki. Muzyka, łomot i rzęch, warkot, od którego pękają bębny. I nagle uderzyło mnie, że kiedyś już tu byłem. Wieczorem po rozstaniu z Saffron poznałem jakąś dziewczynę i poszedłem z nią do jej wynajmowanego pokoju. Zapamiętałem niewiele więcej, bo była to tylko jeszcze jedna z ciągu dziewczyn. Ale jak staro czułem się teraz, jak daleko od tego wszystkiego. Uświadomiłem sobie, że chciałem tylko zostawić to za sobą. Po poznaniu Alice stało się to możliwe. Mógłbym stać się kimś innym.

Oparłem się o ścianę, wyczerpany swym życiem, pułapką, jaką sobie zbudowałem.

Nie słyszałem, jak wchodził. Czy w takim hałasie w ogóle było coś słychać? Sala i tak zrobiła się już pełna. Co zmieniała jeszcze jedna osoba, jedno ciało?

Jak długo tam był? Niedługo. Kilka minut, może sekund, aż odwróciłem się i go spostrzegłem.

Uniósł brwi na mój widok, przechylając podbródek. Po chwili, czując się jak w potrzasku, przeszedłem w jego stronę.

— Panie Morris — zagaił, gdy przy nim stanąłem.

— Poruczniku Gavras.

Pochylił się do mojego ucha.

— Przypomniał mi się ten sławny angielski podryw. Często pan tu przychodzi?

— Raz, dwa razy. — Odsunąłem się, uśmiechnięty.

Przyszpilił mnie spojrzeniem spod gęstych brwi.

— O ile pamiętam, mówił pan, że jest za stary na tego rodzaju lokale.

— To prawda, lecz teraz szukam Andrew. Zdawało mi się, że tu wchodził.

— Nie szukał pan damskiego towarzystwa?

— Nie. Oczywiście, że nie. Już je mam.

Pokiwał kilkakrotnie głową, wysuwając dolną wargę.

— Panią Mackenzie?

— Tak.

— To delikatna kobieta. Potrzebuje opieki.

— To dziwne — jest pan drugą osobą, która opisała ją przy mnie jako delikatną.

Ale to prawda.

— Tak że proszę o tym nie zapominać.

## Rozdział 16

Pozostali czekali na mnie w zatoczce na poboczu drogi. Nad głowami krążyły nietoperze. Świetliki migotały. Przeprosiłem za spóźnienie. Nie wspomniałem o spotkaniu z Gavrasem, za to opowiedziałem, jak to zdawało mi się, że Andrew wchodzi do klubu, i z ciekawości poszedłem jego śladem.

— Pomyłka, stary. — Andrew poklepał mnie po plecach. Miałem wrażenie, że jak irytujący kameleon przyswoił sobie pewne manieryzmy Karla. — Czy aby nie chodziło o jakąś fajną laskę? Jeśli nie, to pora iść do okulisty. W twoim wieku wzrok zaczyna się już pogarszać.

Wcisnąłem się obok Alice na tył samochodu. W drodze powrotnej raz po raz wzdychała.

— Cieszę się, że mamy to już za sobą — oznajmiła wszystkim, by ciszej powiedzieć do mnie: — Dzięki, że starałeś się dotrzymać towarzystwa Karlowi.

Z przodu dobiegł rechot Andrew.

— Słyszałaś, jak mówił Paulowi, że pracuje „w dziale obsługi zaopatrzenia”? Wiesz, co to znaczy, no nie?

— Co? — zapytałem.

— Że wykłada towar na półki w sklepie!

— Polubiłem go — oświadczyłem.

Alice położyła mi rękę na udzie i ścisnęła je.

— Rozumiem, że policja mogła z początku żywić jakieś podejrzenia — podjąłem — ze względu na jego wygląd, ale znał Jasmine od dziecka. Moim zdaniem szczerze ją kochał.

— Prawdę mówiąc — włączyła się Alice — to on najwięcej się nią zajmował.

— To znaczy? — Popatrzyłem na nią zdziwiony.

Wzruszyła ramionami.

— Yvonne raczej nie miała szczególnie rozwiniętych odruchów macierzyńskich.

Miałem okazję pomyśleć o tym jeszcze nazajutrz rano, gdy Yvonne i Karl wpadli popływać. Karl miał na sobie szorty i sandały, które wyglądały na nowe, ale Yvonne tonęła w kopertowej sukience, być może również odziedziczonej po Alice. Rozpuszczone włosy tworzyły skrzydła po obu stronach wąskiej twarzy i Alice przyniosła do nich spinkę w kwiecisty wzór, z podziwem przypatrując się efektowi. Wyglądało to tak, jakby odrywała kawałki siebie i oddawała je tamtej. Gdyby mogła dać Yvonne strzęp własnej skóry, na pewno by tak zrobiła. Obdarłaby się z niej żywcem.

Yvonne nie podziękowała Alice za spinkę i jakiś czas później widziałem, jak wyrывa ją sobie razem z włosami. Nie była wdzięczna za szcudrość; zносиła ją. Co było oczywiście zrozumiałe. Alice tak strasznie zależało na tym, żeby wszystko było w porządku, a Yvonne na pewno myślała sobie, że nic — żaden z głupkowatych prezencików Alice — nie odwróci tragedii. Jednak niespecjalnie polubiłem Yvonne. Na samą myśl o tym czułem wyrzuty sumienia. Ale było w niej coś zimnego i nieludzkiego. Wiem, że nie należy jej za to krytykować — straciła dziecko, do końca życia powinno być jej wolno robić, co chce — ale nie śmiała się z żartów, nawet nie udawała. Ani trochę.

A większość ludzi próbuje, niezależnie od tego, co im się przytrafiło, tak że było to zwyczajnie dziwne.

Było wilgotno i dość pochmurno — niebo pokrywały cienkie warstwy białych chmur — w nudnym, jednostajnym świetle taras i basen robiły wrażenie zapuszczonych i szarych. Nastrój psuła nie tylko obecność Yvonne i Karla. Chodziło też o pogodę. Człowiek przyzwyczaja się do słońca, a kiedy ono znika, wszyscy czują się pozbawieni powietrza.

Poszedłem z Tiną do kuchni robić kawę i z dala od reszty zapytałem:

— Czy ktoś przyglądał się Yvonne z powodu Jasmine... to znaczy, czy była podejrzana?

Tina zagryzła wargi, z trudem powstrzymując śmiech.

— Paul. Szsz. Przestań.

— Ale poważnie, tyle ogląda się konferencji prasowych z zapłakanymi rodzicami, a potem okazuje się, że to oni za wszystkim stoją. Pamiętasz to biedne dziecko w Walii? Karl mówi, że Jasmine i Yvonne bez przerwy skakały sobie do oczu. Może doszło do kłótni, która wymknęła się spod kontroli.

— Ja słyszałam, że to Karl wiecznie sprzeczał się z Jasmine.

— On mówi tak o Yvonne.

Tina zalała kawę gorącą wodą.

— Nie wiem. Nie znam dobrze żadnego z nich. To zawsze Andrew i Alice się nimi zajmowali. Widzisz, ja siedziałam w domu z dziećmi, kiedy to się zaczęło. Przespałam całe zamieszanie. O wszystkim dowiedziałam się dopiero następnego dnia rano. A wtedy już wszędzie kręciła się policja. Boże, wszystko to było takie straszne. — Wzdrygnęła się. — Yvonne na pewno nie miała z tym nic wspólnego. To matka. Alice nie stałaby przy niej tak długo, nie dokładałaby tylu starań, żeby znaleźć Jasmine, gdyby dręczył ją choćby cień wątpliwości.

— Sam nie wiem. Po prostu jest w niej coś dziwnego.

— Dobrze, inspektorze Morse — uśmiechnęła się Tina. — Przy najbliższej okazji pomów o tym z porucznikiem Gavrasem.

Karl i Yvonne siedzieli ubrani w cieniu przy basenie. Daisy i Phoebe opalały się w symbolicznych bikini. Alice w swoim kostiumie Speedo pokonywała kolejne długości basenu, podczas gdy Andrew stał na skraju zagajnika i rozmawiał przez telefon. Robotnicy jeszcze nie zaczęli pracy na budowie, za to pies ujadał.

Postawiłem tacę na metalowym stole obok Yvonne i rozdałem filiżanki.

— No — zawołał Karl. Wyglądał na zmęczonego, oczy miał przekrwione. — Dom z lokajem. Super.

Yvonne wrzuciła do filiżanki kilka kostek cukru i zaczęła mieszać. Karl położył rękę na jej dłoni, żeby przestała.

Alice dopłynęła do końca basenu i złapała rękami za brzeg.

— Czy to biedne zwierzę kiedykolwiek śpi?

— Może warto by skrócić jego męki — podsunąłem.

— Miły jesteś. — Phoebe uniosła głowę i krzywo na mnie popatrzyła. — Może warto by skrócić twoje męki.



Andrew wsunął telefon do kieszeni.

— Tego się nie da znieść — stwierdził. — Poproszę Artana, żeby się tym zajął. Porozumieją się w swoim języku.

— Tak? — zdziwiłem się.

Daisy podniosła wzrok, popatrzyła mi w oczy i odwróciła się.

— Mówię przenośnie — wyjaśnił Andrew. — Kurczę. — Omiótł mnie wzrokiem od stóp do głów. — Zżyłeś się z moimi kąpielówkami. Nie kupiliśmy ci innych na zmianę, tak?

— Sorry.

Machnął ręką, jak gdyby nie miało to znaczenia. Ale wspomniał o tym specjalnie, przy ludziach, żeby mnie upokorzyć, i udało mu się.

— A teraz proszę o uwagę. Zorganizowałem coś specjalnego.

Stał w sztywnej, czarnej koszulce polo z zaprasowaną, białą lamówką, w za długich, wyprasowanych szortach, na rozstawionych nogach, z podbródkiem zlewającym się z szyją, czekając na sakramentalne pytanie.

— No, powiedz. — Pierwsza nie wytrzymała Tina.

— Podzwoniłem tu i ówdzie i... no, wynająłem jacht, dziewięć metrów długości, z kapitanem. Będziemy łowić ryby, zjemy obiad, popływamy. Miałabyś ochotę, Jasmine?

Upiorna chwila, po której zorientował się, co powiedział.

— To znaczy Yvonne.

Skierowała wzrok w jego stronę. Nic w wyrazie jej twarzy nie wskazywało, by coś zauważyła.

— Tak. To jest myśl.

Obydwie nastolatki usiadły, zniecka ożywione, nawet Tina kiwała głową z aprobatą.

— Po prostu bosko. — Alice wyszła z wody i wzięła ręcznik, wycierając oczy. Położyła mu na ramieniu mokrą dłoń. — Ale wpadłeś na sprytny pomysł.

Ale wpadłeś na sprytny pomysł.

Ogarnęła mnie złość. Wywołała ją jej czołobitność, ale wzbierała we mnie już od jakiegoś czasu: przytyk z powodu kąpielówek, szyderstwo Phoebe, duchota, pies, głód seksu po tym, jak Alice wczoraj wieczorem odwróciła się do mnie plecami. Kiedyś powiem mu, co wyprawia córeczka, będę patrzył, jak się wije. Ale póki co moja noga nie postanie na jego jachcie.

— Zorganizuję chłopców — zapowiedziała Tina, idąc na ścieżkę.

— Niech nie zapomną kremu do opalania — zawołała Alice. — Nie wolno wierzyć chmurom.

Nikt nie zapytał mnie o zdanie. Nikt nie spytał, czy chcę popływać łódką, czy wolę coś innego. (Przy czym chodzi mi oczywiście o Alice). Równie dobrze mógłbym nie istnieć.

Wróciłem do pokoju i wyciągnąłem z torby przewodnik od Michaela.

Leżałem na łóżku i wertowałem go, kiedy weszła Alice.

— Robotnicy już przyjechali — powiedziała. — Wyjeżdżamy w odpowiedniej chwili. Gotowy?

— Na co? — Odłożyłem książkę na łóżko, okładką do góry.

— Na rejs jachtem.

— A, o to chodzi. Nie jadę.

Otworzyła drzwi szafki w poszukiwaniu suchego kostiumu, ale znieruchomiała i odwróciła się, a kostium, pasek lycry w kolorach tęczy, zwiślał jej z palców.

Wziąłem przewodnik i zjrzałem na przypadkową stronę. Wypadł złożony wycinek z gazety; wsunąłem go z powrotem.

— Dziś wybieram się na zwiedzanie ruin.

— Jakich ruin?

— Ruin wczesnohelladzkiej osady w Okarcie. Jak zdążę, to jeszcze... — zerknąłem na stronę — wpadnę do źródła w Eksogi, gdzie według mitologii pastuch Odyseusza Eumaeus poił świnię. Dojeżdża tam autobus z końca drogi. Pytałem wczoraj na mieście.

Liczyłem na to, że położy się obok mnie, obejmie, zgodzi się zostać, będzie błagać, żebym pojechał — wszystko jedno. Była to chwila swego rodzaju próby.

Zawinęła kostium w ręcznik, który przyłożyła do piersi, opierając na nim podbródek.

— Przestań się dąsać.

— Nie dąsam się.

— Wszystko z powodu tego, co Andrew powiedział o kąpielówkach. Tylko żartował.

Wzruszyłem ramionami.

— Chodź. Będzie fajnie.

— Czemu?

Chciałem usłyszeć: „Bo będziesz przy mnie”.

— Zobaczysz. Andrew jest świetnym żeglarzem.

Jestem swoim najgorszym wrogiem. Chciałem być przy niej ponad wszystko na świecie, a tymczasem wspomniała o zdolnościach żeglarskich Andrew. Cholera, byłem za bardzo wkurzony.

— Dobrze mi zrobi trochę samotności — odparłem.

Wychodziłem pośród typowego dla nich, beznadziejnego zamieszania — kręcili się gorączkowo i bez sensu jak muchy w zamkniętym pomieszczeniu.

— Jezus Maria — słyszałem, jak Andrew mówi do jednego z chłopaków. — Buty. Co się z tobą dzieje?

— Idę — rzuciłem w powietrze. Chcąc sprawiać wrażenie człowieka kulturalnego, włożyłem koszulę lila do płóciennego garnituru (mokre kąpielówki Andrew zostawiłem na stole w kuchni) i wyposażyłem się w pewne rekwizyty: przewodnik Michaela, stary rozkład jazdy autobusów, który znalazłem w szufladzie, i butelkę wody z lodówki. Przebyłem taras, przedzierając się przez ten chaos. Chciałem, żeby odprowadzali mnie wzrokiem, stali się świadkami mojej samodzielności, buntu. Nie jestem niczyją własnością — oznajmiał wymach moich rąk. Patrzcie — mówił uniesiony podbródek — oto, jak wygląda wolność.

— To na razie — powiedziała Alice z niejakim żalem. — Baw się dobrze.

— Postaram się. — Przesłałem jej buziaka.

Na końcu podjazdu przystanąłem przy bramie. W górnej partii pola zniwelowano teren wielkości boiska piłkarskiego. Grupka mężczyzn stała przy obracającej się betoniarnie. Od tej strony rozebrano ogrodzenie i ścięto kilka drzew, oczyszczając poszycie. Większa z dwóch koparek przemieściła się kilka metrów w stronę działki Alice i wruszała łapą ziemię. Pies gryzł kość w tymczasowej budzie. Niemożliwe, żeby słyszał mnie w takim harmidrze. A może wiedział, że nie musi pilnować, gdy pracują maszyny.

Przeciągnąłem się i przeskoczyłem bramę. Po lewej znajdował się mały kawałek zapuszczonej łąki za odcinkiem żywopłotu na tyle gęstego, że nie było mnie widać z drogi. Sprawdzając, czy pies ciągle nie zauważa mojej obecności, schyliłem się i zapaliłem papierosa z niemal pustej już paczki.

Czekając, otworzyłem przewodnik i znalazłem artykuł prasowy, który wypadł z niego przed chwilą. Na pewno Michael wyciął go z myślą o mnie. Był z „Daily Telegraph” — jego ulubionej gazety — i nosił tytuł *Ciemna strona rajy*. Przeczytałem cały. Mówiąc w skrócie, opisywano Pyros jako gniazdo przestępstw i korupcji, nasilających się z powodu kryzysu euro. Łapówkarstwo, czyli *fakelaki*, stało się podstawą całej infrastruktury, pleniąc się wśród „prawników, lekarzy, celników, w sądownictwie, policji”. Bredzili coś o prostytucji i nielegalnych imigrantach, cały akapit poświęcili rentom uzyskiwanym na podstawie fałszywych oświadczeń lekarskich. Na Pyros dziesięć razy więcej ludzi niż w reszcie Europy szło na zwolnienia z powodu kłopotów ze wzrokiem. W Grecji łądowej mówiło się o „wyspie ślepców”.

Pod artykułem Michael napisał pajęczym pismem prawnika „Dobrej zabawy!”.

Co za filut. Zmiałem papier.

Na ich wyjazd nie trzeba było długo czekać. Drżenie gruntu, nagły błysk srebra pomiędzy gałęziami. Odczekałem, aż minivan zniknie na drodze ku szosie głównej, i wtedy wstałem. Niski, krępy mężczyzna w białoniebieskiej koszuli z krótkimi rękawami i pomarańczowym kasku, który ocieniał jego twarz, patrzył w moim kierunku. Zgniotłem papierosa nogą i uniosłem rękę na znak powitania. Nie reagował, więc odwróciłem się, przelazłem przez bramę i ruszyłem drogą w stronę domu.

Wiedziałem, gdzie Alice trzyma klucz — pod doniczką lawendy na tarasie. Wszedłem do kuchni, gdzie panował straszny bałagan. Już nikt nie przejmował się brudem. Drzwi kredensów stały otworem, ścierki leżały na podłodze. Otwarta puszka miodu przyciągała armię mrówek samobójczyń. Obok czajnika leżała sterta drobnych monet, którą sobie zabrałem. Węszyłem jakiś czas po domu, znajdując banknot o wartości dziesięciu euro w zmiętej pościeli na łóżku Louisa. Niewiele ciekawego w pokoju dziewczyn, poza bielizną, oprócz tego kilka plastikowych osłon na wstawki w nowoczesnych majtkach bikini. Phoebe zostawiła kartę kredytową opartą o klawiaturę laptopa; patrzyłem na nią z żalem, ale nawet ja nie byłem taki głupi.

Zabrałem z lodówki zimne piwo i wypilem je nad basenem, ciesząc się, że mam cały dolny taras dla siebie. Wypaliłem ostatniego papierosa z paczki, a o drugiej znalazłem w lodówce resztki wtorkowego pikniku i z końcówki chleba zrobiłem sobie kanapkę. Zmęczony tym wszystkim położyłem się na łóżku i zasnąłem. Zbudziłem się o wpół do czwartej — idealna pora na filiżankę herbaty. Zaparzyłem ją i usiadłem na

indyjskiej leżance, gdy przypomniało mi się, że skończyły się fajki. Przeszukałem swoją walizkę: nic. To samo w torbie Alice. Nie paliła, ale pamiętałem przyjemność, z jaką raczyła się papierosem w wieczór, gdy się poznaliśmy (choć od tamtego czasu nie widziałem, żeby paliła). Zjrzałem do chłopaków — pod łóżko Louisa. Do szafki nad kuchennym zlewem.

Poczułem niepokój. Nerwy jak postronki, sztywna szczeka, przebieranie palcami. Supermarket w Stefanos będzie nieczynny w porze popołudniowej, za to w tawernie u Nico mieli Marlboro Light i grecką markę, Karelia Royal. Zacząłem wyobrażać sobie ciężar paczki w ręce, chrzest papieru między palcami, pojedyncze włókna tytoniu w zębach, słodki, leśny zapach.

I wtedy przyszedł mi do głowy pomysł: Hermes. Czemu by tam nie pojechać? Alice nie wiedziała, że go naprawiłem — nie było okazji się tym pochwalić. Mógłbym zrekompensować jej poranek, zaskakując powitaniem po zejściu z jachtu.

Pikap zapalił za trzecim razem. Ostrożnie wycofałem na podwórze, zdołałem zawrócić ze zgrzytem skrzyni biegów, a potem ruszyłem podjazdem, mijając plac budowy, wąską drogą polną i dalej do szosy głównej. Nie można powiedzieć, żeby silnik pracował gładko. Sprzęgło nie działało prawidłowo i auto kilka razy zgasło. Ale o tej porze na szosie panowały pustki i nie miał mnie kto obserwować. Ostrożnie wjechałem do wsi, rozglądając się za minivanem; gdy zauważyłem go w zatoczce, zaparkowałem za nim.

Kupiłem papierosy — karelkie, najtańsze — i wypaliłem jednego w drodze do pikapa. Jakie było moje zdumienie, gdy po powrocie nie zobaczyłem już minivana. Wsiadłem do auta, niezręcznie zawróciłem na trzy razy i ruszyłem pod górę. Zastanawiałem się, co sobie pomyślą, gdy zastaną pusty garaż. Nie mogłem się doczekać ich reakcji na mój przyjazd — irytacji Andrew i zachwytu Alice.

Silnik zgasł mi jedynie raz, na zjeździe z szosy. Ponowne uruchomienie wymagało kilku prób. Starsza kobieta w czerni pracowała na skrawku pola przy drodze. Obserwowała mnie, oparta o motykę. Rzuciłem przez otwarte okno:

— *Kalispera.*

Skinęła głową.

Wjazd polną drogą pod górę był trudniejszy od zjeżdżania. Kamienie parę razy zazgrzytały o podwozie. Potem jechałem już na dwójce: charkot silnika, bezsensowne buksowanie kół, gęsty jak dym kurz po bokach. Przejście z drogi na podjazd do domu było o rzut beretem. Przygotowując się na ostry zakręt, zredukowałem bieg do jedynki i silnik zaraz zgasł.

Odczekałem chwilkę, żeby doszedł do siebie. Panowała cisza, powietrze zdawało się płynąć; budowlańcy zrobili sobie przerwę. Brzęczały pszczoły. Z oddali dobiegał odgłos dzwonka owcy. Daleki krzyk, plusk wody.

Silnik obrócił się, ale nie załapał.

Wysiadłem. Stałem na drugim drążku bramy, trzymając się wierzchołka, i rozglądałem się za ludźmi, którzy mogliby mi pomóc. Słońce pokazało się przez szczelinę w chmurach, a prowizoryczny kojec znalazł się w cieniu — długi nóż cyprysowego mroku położył się na markizie i kawałku ziemi, który osłaniała. Nie byłem

pewien, czy widzę psa. Był jakiś ciemny kształt, choć równie dobrze mogło chodzić o niewielką kupkę ubrań. Nie poruszał się i nie wydawał dźwięku, więc nie, to nie mógł być pies. Na pewno gdzieś sobie poszedł. Być może Artan na polecenie Andrew dobrał się robotnikom do skóry i zgodzili się na życie bez cerbera.

Dłonie miałem mokre, lepiły się. Zakładając, że to pot pomieszany z kurzem, wytarłem je odruchowo o koszulę i już miałem schodzić z bramy, gdy zauważyłem ślady na liliowym materiale — ciemnoróżowobrazowe. A ręce miałem poplamione czymś przypominającym rdzę. Zdezorientowany, zacząłem pocierać palce. Popatrzyłem na górny drążek bramy. Był zalany mokrymi smugami szkarłatu.

Jeszcze raz popatrzyłem na nieruchomy kształt w kojcu. Przerzuciłem nogi przez bramę, zeskoczyłem i przerażony poszedłem po kamieniach w jego stronę. Kolczaste rośliny drapały mnie po łydkach.

Biedne zwierzę leżało na boku — kontury kościstego ciała miało zlane krwią. Oczy były już szkliste, zamglone, bez życia, zęby wyszczerzone w okropnym zastygłym uśmiechu, lepka ślina wisiała w otwartym pysku. Nóż tkwił jeszcze w gardzieli, przy trzonku krzepła krew. Pod ostrzem rozcięte kości i ścięgna. W gardle stanęła mi żółć i nachyliłem się, żeby zwymiotować.

Usłyszałem krzyk i stanąłem prosto. Jakiś mężczyzna w kasku szedł polem w moją stronę. Gestykulował, pokazywał na swój samochód, niebieski sedan z otwartymi drzwiami, który utknął za moim pikapem. Oczywiście chciał, żebym przejechał dalej.

— Tutaj! — zawołałem. — Szybko! Pies! Ktoś go zabił! — Rozłożyłem ręce w geście przerażenia i grozy. Dłonie były wciąż zakrwawione i szybko wytarłem je w spodnie.

Mężczyzna zerwał się do biegu, a kiedy do mnie dotarł, zaczął krzyczeć jeszcze głośniej, a twarz wykrzywił mu grymas. Był niski i ciemnowłosy, na rękach pęczniały mu mięśnie. Kilka razy popchnął mnie w klatkę piersiową. Zatoczyłem się w tył, mało nie upadłem.

— To nie ja — usiłowałem go przekonać. — Ja tylko go znalazłem. Dopiero co przyjechałem. Przed chwilą.

Zaczął dzwonić, trzymając mnie w żelaznym uścisku za ramię, żebym nie uciekł. Za paznokciami miał brud. Z samochodu wyszedł drugi człowiek. Otworzył bramę i przybiegł przez pole. Miał na sobie niebieską koszulę z krótkimi rękawami, rozdartą na ramieniu — mężczyzna, którego widziałem już wcześniej.

Wdali się w głośną rozmowę, niemal się przekrzykując.

— Nie mam z tym nic wspólnego — powtarzałem. — Proszę, zrozumcie mnie.

Pierwszy mężczyzna pchnął biedne zwierzę nogą. Ziemia pod ciałem była ciemna, białe kamienie pobrudzone czerwienią. Potem wykonał jeszcze jeden groźny ruch pięścią, pokazał na psa, potem na moją kieszeń, pocierając palce, dając do zrozumienia, że chodzi o pieniądze.

— Nic nie zrobiłem — powiedziałem — i nic nie mam.

Wywróciłem kieszenie na potwierdzenie swoich słów. Znów zaczęli na siebie krzyczeć. Potem drugi zwrócił się do mnie:

— Zostań tutaj. My zawołamy szefa.

— Słuchajcie. — Staralem się brzmieć i wyglądać najszczerzej, jak potrafiłem. — Nie zabiłem psa. Nie wiem, dlaczego ktoś zrobił coś takiego. Po prostu go znalazłem. Teraz sobie pójdę, ale nie będę uciekał. Mieszkam tam. — Pokazałem w stronę zagajnika. — Nie wiem, dlaczego ktoś zrobił coś takiego. Ale to nie ja.

Postanowiłem zaryzykować i ruszyłem przez pole w stronę otwartej bramy i pikapa. Poszli za mną, rozmawiając z przejęciem. Kilka razy obejrzałem się przez ramię, uśmiechając się, mam nadzieję, z życzliwością.

Patrzyli, jak wsiadam do szoferki. Powiedziałem przez opuszczoną szybę:

— Miejmy nadzieję, że zapali. — Próbowałem sprawiać wrażenie rozluźnionego, zachowywać się jak człowiek niewinny, chociaż z zakłopotaniem, którego nie udawałem. Nie byłem winny. Portfel leżał z telefonem i kareliami na długim siedzeniu z tworzywa sztucznego. Wolałem, żeby go nie zobaczyli.

Silnik przekręcił się i zapalił. Niewiele razy w życiu dane mi było odczuć większą ulgę. Jeszcze raz uśmiechnąłem się przez okno i powiedziałem, obracając kierownicą:

— Przykro mi z powodu psa.

— Co tu się dzieje? — Alice wyszła z domu, gdy zajechałem na podwórko i wyłączyłem silnik.

Otwarłem drzwi i niemal wpadłem w jej ramiona. Odskoczyła.

— O Boże. Kurwa mać! Co jest? Jesteś ranny?

— To pies. Znalazłem go. Ktoś poderżnął mu gardło. Nie zdążyłem go uratować.

Wsadziłem głowę do pikapa i zacząłem szukać papierosów. Trzęsły mi się ręce.

— Jesteś zlany krwią — powiedziała. Na jej twarzy malowała się odraza. Zapaliłem fajkę i mocno się zaciągnąłem.

— Wiem. To było straszne.

Cofnęła się o krok.

— Masz krew na... na papierosie.

Podniosłem rękę. Miała rację.

— Jezus Maria. — Andrew wyszedł z domu w samym ręczniku przewiązanym przez biodra. Właśnie wziął prysznic, włosy miał zaczesane do tyłu, widoczne były jeszcze ślady grzebienia. — Co się tutaj wyprawia? Co robiłeś z Hermesem?

— Tak. — Alice oderwała ode mnie wzrok. — Co robiłeś z Hermesem?

— To miała być niespodzianka.

Gavras zjawił się po półgodzinie. Alice wjeżdżała pikapem do garażu, a ja trzymałem ręce pod kranem z ciepłą wodą, patrząc, jak krew ścieka, miesza się z wodą i znika w odpływie, wirując. Jeszcze się nie otrząsałem. Chciałem wziąć prysznic i przebrać się, ale Tina przyniosła mi zimne piwo i siadłem na tarasie, by dojść do siebie.

— Musiałeś oglądać okropną scenę — stwierdziła. — Biedaku.

— Zdawało nam się, że ktoś włamał się do domu — mówił Andrew. — Nie ma pikapa, wszystkie drzwi otwarte na oścież... — Ubrał się w top od Bretona i białe džinsy, ciasny strój, który go krępował.

— Powinienem był zamknąć dom na klucz.

Tina dołała mi piwa.

— Dzieciom wydaje się, że coś im poginęło, gotówka, i że ktoś grzebał w ich

rzeczach. Ale na pewno się mylą.

— Powinienem wejść pod prysznic. — Westchnąłem ciężko, spoglądając na zakrwawioną koszulę i spodnie.

— Co porabiałeś cały dzień? — zapytała Alice, obejmując mnie ramieniem.

— Brakowało nam cię — dodała Tina.

Powinienem dać sobie spokój z historyjką o helladzkiej osadzie. Co mi tam: uparłem się. Korzystając z zainteresowania, opowiedziałem, jak to udałem się do Okarty i zwiedziłem ruiny — niewiele do zobaczenia, większość odnalezionych przedmiotów znajduje się w muzeum w mieście Pyros. Wróciłem do opustoszałego domu i pojechałem do Agios Stefanos, żeby powitać ich, gdy będą zsiadać z jachtu, sam nie wiem, dlaczego ich nie znalazłem. Reszta opowieści była prawdziwa — powrót, zgaśnięcie silnika, rzut oka za bramę, widok ciemnego, nieruchomego kształtu.

— I co, Hermes tak po prostu ruszył? — zdziwiła się Alice.

— Nie. Uruchomiłem go już wczoraj.

— Ale wieczorem nic mi nie wspomniałeś.

— Próbowałem!

Wtedy usłyszeliśmy samochód.

Gavrasowi towarzyszyło dwóch mężczyzn: krępy robotnik w bladoniebieskiej koszuli i szczupły mężczyzna z rzadką brodą w granatowej kamizelce ze sztucznego jedwabiu, według Gavrasa przedstawiciel wykonawcy budowlanego. Wszyscy stanęli z szeroko rozstawionymi nogami, a Tina i Alice zaproponowały piwo albo zimną wodę. Andrew stał wsparty o oliwkę na szczycie ścieżki nad basenem. Z tamtej strony wychynęli Archie i Frank, na co Tina przemknęła przez taras i ruchami rąk pokazała, żeby wracali nad wodę. Poszła za nimi, tak więc świadkami tego, co nastąpiło, byli tylko Andrew i Alice.

— O kurczę — zawołał Gavras, patrząc z niesmakiem na moje zakrwawione ubrania. — Miejmy nadzieję — przez twarz przemknął mu uśmiech — że szybko uda nam się wyjaśnić tę nieczystą sprawę.

Usiadł wygodnie obok mnie, z łokciami na oparciach i nogami podwiniętymi pod krzesło. Trzymał duży, oprawny w skórę notatnik, który otworzył na kolanach, wsuwając go częściowo pod stół dla ukrycia zawartości.

Na tarasie panowała duchota: strzępiasta chmura nasunęła się na słońce i bryza zamarła. Schyliłem głowę, by otrzeć kropelki potu z czoła o poję koszuli, po czym uświadomiłem sobie, że mogłem w ten sposób rozmazać krew, więc uniosłem dłoń, żeby to sprawdzić.

Gavras rzucił okiem na notes, być może chcąc sobie przypomnieć, jak się nazywam.

— Panie Morris. Kilka nudnych, administracyjnych pytań.

— Jasne.

— Mógłby mi pan z łaski swojej powiedzieć, kiedy przyjechał pan na Pyros?

— Kiedy przyjechałem?

— Tak. Jak długo jest pan gościem pani Mackenzie?

— Aha. Rozumiem. Tak. Tak, przyjechałem tutaj — kiedy to było? Boże, człowiek traci tutaj rachubę czasu.

— W poniedziałek — pomogła mi Alice, siadając z mojego drugiego boku.  
— Tak, to prawda. Przyleciałem samolotem linii Thomas Cook wcześniej rano.  
Gavras zanotował moje pierwsze kłamstwo i uniósł wzrok.  
— A jak długo będziemy mieli zaszczyt gościć pana na Pyros?  
— Jeszcze dziesięć dni. Przy pomyślnych wiatrach i sprzyjającym morzu.  
— Pomyślnych wiatrach?  
— To cytat.

— Prosiłbym o podanie danych kontaktowych. Naturalnie informacje o pani Mackenzie i państwie Hopkins mam już w kartotekach, ale pan jest tu nową osobą. — Gavras nie spuszczał ze mnie wzroku. — Numer telefonu? — zapytał w końcu. — Komórkowy wystarczy.

— Oczywiście.  
Wyrecytowałem. Zapisał, podniósł głowę.

— Miejsce zamieszkania?

Wzruszyłem ramionami.

— Tutaj!

— W Wielkiej Brytanii?

Znów poczułem falę gorąca i pot zbierający się pod pachami. Alice słuchała. Podaliśmy adres mieszkania Aleksa w Bloomsbury. Gavras miał kłopoty z nazwą ulicy — musiałem mu ją przedyktować litera za literą. Kłamstwo za kłamstwem.

Gdy skończył pisać, zamknął notes i oparł się na nim łokciami.

— Panie Morris. Rozumiem, że emocje w stosunku do psa pilnującego budowy wzięły dziś górę. Nie przyjechałem pana aresztować. Pies... to pies. Lecz jestem przekonany, że tak jak my wszyscy, chciałby pan zakończyć tę sprawę pokojowo.

— To nie on. — Alice pochyliła się. — Mówi, że to nie on, i ja mu wierzę. Paul lubi zwierzęta.

— Pani Mackenzie. Stravros — Gavras pokazał na robotnika w bladoniebieskiej koszuli — widział go zalanego krwią. Co się nie zmieniło. — Znowu popatrzył na moją koszulę i kąciki jego ust opadły. — Został przyłapany, jak się to mówi... na gorącym uczynku.

— Wiem, że jestem we krwi. — Spuściłem wzrok. — Nie wiem, jak to się stało. Pewnie się pobrudziłem.

— Stravros, jak pan widzi, nie jest we krwi.

— Umazałem się chyba od bramy.

— Czy usiłował pan dzisiaj zabić psa, panie Morris? — Gavras uśmiechnął się krzywo, bawiąc się własnym żartem. — Świadek widział pana na polu około godziny jedenastej, w czasie, że tak powiem, rekonesansu. Zauważony uciekł pan.

— To prawda, byłem tam do południa — przyznałem. — Chciałem po prostu spokojnie wypalić papierosa. Nie był to rekonesans i nie zabiłem psa. Przykro mi. Po prostu nie.

— Wszyscy cię słyszeliśmy! — Phoebe, a zaraz za nią Daisy, wyszły z kuchni. — Mówiłeś, że trzeba by skrócić jego cierpienia. Prawda, Daisy?

Daisy przywarła do ściany.



— Nie wiem — mruknęła. Przyszła koza do woza. Dyskrecja w końcu się przydała; musiała stanąć po mojej stronie.

— Mówił, że ma swoje plany — ciągnęła Phoebe. — To dlatego nie pojechał popływać. Dupek.

— Phoebe! Wracaj do domu — upomniała ją Alice. — Tylko pogarszasz sytuację. Odczekałem, aż Phoebe zatrzaśnie drzwi za sobą, żeby powiedzieć cicho:

— Nie pojechałem pływać, bo pojechałem zwiedzać.

Gavras patrzył na mnie wyczekująco.

— Zwiedzać?

— Pojechałem obejrzeć ruiny w Okarcie. Autobusem.

— Autobusem?

Kiwnąłem głową.

— Z przystanku przy świątyni. Piękne widoki.

Gavras pokiwał głową. Dał znak swojemu pomocnikowi, ten postąpił kilka kroków w naszą stronę z reklamówką, którą położył na stole. Gavras szturchnął ją.

— Nóż. Gdybym chciał, mógłbym kazać pobrać odciski palców. Ale komu by się chciało z powodu psa? — Roześmiał się. — Może załatwimy to między sobą? Panie Morris, wykonawca musi znaleźć nowego psa. Sam pan rozumie. Wartościowe maszyny trzeba chronić. — Powiedział coś po grecku do człowieka z rzadką bródką, który odpowiedział. Potem Gavras odwrócił się do mnie. — Dwieście euro i po problemie.

Zacząłem protestować.

— Dwieście euro i nie ma sprawy. — Pełnym znużenia gestem ogarnął dom, basen, Alice, która usiadła i zakryła dłońmi twarz. — To drobiazg, tak? I dzisiaj przynajmniej się wyśpicie. A ja będę mógł wrócić do poważniejszych śledztw.

— Ja tego nie zrobiłem — oświadczyłem — i nie rozumiem, czemu miałbym płacić.

Andrew odezwał się nad wyraz rozsądnym tonem:

— Daj spokój, po prostu zrobmy tak, jak proponuje.

— Nie mam pieniędzy. Patrzcie... — Wstałem, poszedłem do pokoju, skąd przyniosłem portfel, który podałem Gavrasowi. — Mam tylko tyle.

Rozpiął i rozłożył portfel. Było tam dziesięć euro z łóżka Lou-isa, moja karta, parę kwitów i — co uświadomiłem sobie zbyt późno — trzy złote prezerwatywy Andrew.

— Rozumiem — powiedział.

Zapiął portfel, zamyślił się, otworzył go znowu, by przyjrzeć się złotym kondomom, zamknął z powrotem i mi oddał. Stwierdził z pełnym zawodu, bladym uśmiechem:

— Taką miałem nadzieję, że to skończymy. Teraz to już sam nie wiem. Papierologia. — Wzruszył ramionami i odwrócił się do dwóch pozostałych mężczyzn, którzy na widok jego pustych rąk zaczęli wymachiwać rękami i mówić coś ze złością.

Andrew wkroczył do akcji. Mruknął coś cicho do Gavrasa, który dał znak tamtym dwóm, i wszyscy przeszli na drugą stronę tarasu. Andrew otworzył zewnętrzne drzwi do swojego pokoju i zniknął w nim na chwilę. Wyszedł z przezroczyстым portfelem z kantoru, który otworzył. Podał kilka banknotów mężczyźnie z rzadką bródką, parę robotnikowi w bladoniebieskiej koszuli i jeszcze kilka Gavrasowi.

Gavras skinął głową i włożył notes do kieszeni.

Po krótkiej rozmowie wszyscy trzej odeszli.

Andrew wrócił niepewnym krokiem zawstydzonego.

— Przepraszam, ale tak było chyba najprościej.

— Ale ja tego nie zrobiłem — odezwałem się — a ty praktycznie przyznałeś, że to ja. Taka spleta to przyznanie się do winy.

— Byle mieć święty spokój. — Andrew otworzył drzwi do kuchni. Po chwili z sykiem otworzyły się drzwi lodówki.

— Nie zdziwiłbym się, gdyby to oni podcięli psu gardło — powiedziałem na głos, żeby mnie usłyszał. — Nawet nie dawali mu jeść. Był wygłodzony. Zrobili sobie z nas jaja.

Alice odsunęła krzesło i wsparła czoło na brzegu stołu.

— W takim razie kto to zrobił? — ciągnąłem. — Kto mógłby zrobić coś takiego?

— Przypomniało mi się coś, co powiedział wcześniej Andrew. — A Artan? Andrew, rozmawiałeś z nim? Poleciałeś mu, aby się tym zajął?

Andrew wyszedł z butelką piwa.

— Tak, rozmawiałem z Artanem.

— Może źle zrozumiał twoje intencje?

Andrew westchnął.

— Tak, być może. Nie zna za dobrze angielskiego.

— Czy byłby zdolny zabić psa? — Zdawałem sobie sprawę, że krzywię twarz w grymasie przerażenia.

Daisy, która siedziała cicho na ziemi przy drzwiach do kuchni, teraz odchrząknęła.

— Nie — odezwała się chrapliwym głosem.

— Na pewno? — zapytałem, zaglądając jej w oczy.

Przypatrywała mi się spod opuszczonych rzęs, stanowczo zaciskając usta, i wreszcie pokiwała głową.

— On jest miły — odpowiedziała w końcu i lekko się skrzywiła, tak żebym tylko ja to widział.

— Kiedy człowiek patrzył, jak umiera jego własna rodzina — zauważyła Alice — robi się mniej sentymentalny w stosunku do zwierząt.

Andrew delikatnie położył wolną rękę na jej ramieniu. W dusznym powietrzu czułem sztywność tej pozy, coś w rodzaju elektrycznego prądu, wzajemnego porozumienia, i zalała mnie fala nienawiści do niego. Alice nie była jego własnością i któregoś dnia mu to udowodnię. Będę cierpliwie czekał, ale za wszystko mi zapłaci.

## Rozdział 17

W nocy padało i rano poduszki były przemoczone, a krzesła z posrebrzanego drewna pokryły się czarnymi smugami. Woda stała w kałużach na brzegu tarasu i kapłała przez pęknięcia w daszku. Zakrwawiona koszula i spodnie, które wyprałem i powiesiłem na gałęzi wielkiej oliwki, obwisły nasączone wilgocią. Niebo było zachmurzone, morze szare, posępne, nisko wiszące chmury zasłaniały widok na Albanię.

Nie było świeżego chleba. Nikt po niego nie pojechał. Skończyło się także mleko. W kredensie znalazłem parę herbatników i zrobiłem sobie czarną kawę, którą wypilem na stojąco przy blacie w kuchni. Brudne naczynia z wczoraj, po kolacji, a nawet jeszcze ze śniadania, leżały w zimnej, tłustej wodzie w zlewie. Powinienem był wziąć się za nie, ale nie miałem siły. Czuję się jak pod koniec urlopu czy imprezy, gdy nic nie da się już wskrzesić. Na zewnątrz panowała cisza, wszystkie dźwięki zostały dosłownie stłumione — nawet cykady milczały, czasem rozlegał się tylko bulgot piejącego w oddali koguta i drapanie miotły Artana, który sprzątał wodę i liście z tarasu. Obserwowałem go z progu kuchni. Miał na sobie czarną koszulkę i dżinsy, czapka opadała na twarz. Przeciągał miotłą krótko i gwałtownie, jakby nie lubił tej pracy. Zauważył, że go obserwuję, i zatrzymał się. Zamiast uśmiechu ułożył usta w coś wyrażającego zmieszanie; możliwe, że się skrzywił.

Weszła Tina, obciągając różowy szlafrok w talii. Artan wrócił do zamykania.

— Zapytamy, czy zabił psa? — odezwałem się, nie spuszczać z niego wzroku.

Ziewnęła, trąc zaspane oczy.

— Nie. Po prostu daj sobie spokój.

— Przynajmniej ustała budowa. — Odwróciłem się.

— Prawdopodobnie jest za mokro.

Wtedy zjawiła się Alice w dżinsach i w krótkim niebieskim topie w stylu lat pięćdziesiątych. Powiedziała, że dobrze jej się spało. Wzięła cudowny prysznic.

— Jak cicho, dzięki Bogu. Mam nadzieję, że natrafili na skalny występ i postanowili przenieść inwestycję bardziej na południe.

— Być może. — Pocałowałem ją w czubek głowy, czując zapach szamponu. Wzruszyły mnie jej starania, by podnieść nas — lub siebie samą — na duchu.

— Może ugrillujemy coś na obiad, Artan? — zawołała do niego. — Masz czas oczyścić palenisko przy basenie? Grill? Na dole? Gotowanie? — Pokazywała ruchami ciała.

— Coś mi się zdaje, że zna angielski lepiej, niż sądzimy — stwierdziłem.

— Czemu tak myślisz? — zapytała Tina.

Już miałem zrobić aluzję do tego, co wiedziałem, ale zmieniłem zdanie.

Alice wróciła i zaczęła robić listę, przygryzając zębami część wargi. Wyglądało to seksownie. Pamiętam, że tak sobie pomyślałem.

— Paul, zrobisz zakupy, dobrze? — zaproponowała, podając mi zwitek pieniędzy. — Trzeba będzie jechać do większego supermarketu, w Trigaki. To jakieś pięć kilometrów na trasie do Pyros.

Zdziwiłem się, że mnie o to prosi, ale i ucieszyłem. To oznaczało, że powróciłem

do jej łask. Byłem facetem, na którym można polegać. Skinąłem głową, biorąc gotówkę.

— Mam jechać Hermesem? Trochę boję się nim parkować.

Zastanowiła się przez chwilę.

— Nie, możesz wziąć hyundaia.

Tina znalazła kluczyki i wsiadłem do auta, odsuwając siedzenie, żeby zmieściły mi się nogi. Gdy przekręciłem kluczyk, zabrzmiała składanka z płyty — znowu leciało *Charmless Callous Ways*. Wyłączyłem muzykę i ruszyłem. Jechałem powoli w stronę podjazdu, kiedy wybiegła za mną Tina. Opuściłem szybę.

— Jeszcze jedna pozycja na liście — powiedziała. — Alice zapomniała o ługu.

— Alice zapomniała o długu?

— Ługu. Do robienia marynat. Wszędzie walają się surowe oliwki. Alice odkryła w internecie sprytny i szybki sposób marynowania ich. Ale do tego potrzeba ługu. Można go dostać wszędzie — jesteśmy w Grecji.

— Okej — zgodziłem się. — Tina?

Już się odwróciła.

— Tak?

— To nie ja zabiłem tego psa. Wierzysz mi, prawda?

— To pomyłka. — Skinęła głową. — Wiem.

Zrobiło mi się lżej na sercu, choć jej odpowiedź była oczywiście dwuznaczna.

\*

Trigaki było przybrudzonym miasteczkiem na wzgórzu, z dala od głównej szosy. Obrzeża wyglądały jak tereny półprzemysłowe, z małymi rondami i siecią dróg dojazdowych do hurtowni z armaturą sanitarną i artykułami ogrodniczymi. Pod pochmurnym niebem w centrum, obok lśniącego nowoczesnej apteki starzy mężczyźni grali w tryktraka, a kobiety w chustkach na głowach stały w kolejce do gdaczącej furgonetki pełnej kur.

Przez chwilę wyobraziłem sobie, jak przejeżdżam miasto i kieruję się na lotnisko lub w jakiegokolwiek inne miejsce. Urlop rozminął się z moimi oczekiwaniami, nasycony był śmiercią i smutkiem, i przemocą — chociaż nie taką, jaką można by było przewidzieć.

Nigdzie nie pojechałem. Być może do tego potrzeba byłoby innego człowieka. Za to wszystko ułożyłoby się o wiele lepiej, gdybym tak postąpił.

Tymczasem jednak znalazłem supermarket i stanąłem na wyznaczonym parkingu. Wnętrze było klimatyzowane — raptowny chłodny dreszcz. Łatwo znalazłem wszystko z listy — uduka kurczaka, kotlety baranie, suszony makaron, fetę, pomidory, piwo, węgiel drzewny, podpałki. Za to nigdzie ani śladu ługu, choć nie bardzo wiedziałem, gdzie go szukać. Nie ma przy oliwkach. Ani przy occie. Spytałem w kasie, ale kobieta wzruszyła ramionami i pokazała przez okno w kierunku centrum miasta. Wstawiłem pudło z zakupami do bagażnika i wróciłem główną ulicą, brudną, o rynsztokach wypełnionych śmieciami. Nie zauważyłem żadnych sklepów, gdzie sprzedawano by ług, mijałem za to „kafejkę internetową” i postanowiłem do niej zajrzeć. Była pusta i jednym z banknotów od Alice zapłaciłem za kawę i kwadrans przy komputerze.

Zacząłem od skrzynki pocztowej. Dostałem sto dwadzieścia siedem maili,

przeważnie spamu i powiadomień z Amazonu i Abe Books. Jedna wiadomość przyszła od jakiejś dziewczyny, która przepraszała, że się nie odzywała. Jeździła po Wietnamie i Laosie („super”), ale wróciła i chciałaby kiedyś dowiedzieć się ode mnie czegoś na temat dziennikarstwa. Katie, jak sobie w końcu przypomniałem, była młodą laską poznaną wiele miesięcy temu w Koronie i Jeleniu. Zdawało się, że od tamtej pory minęło strasznie dużo czasu. Jak bardzo odtąd się zmieniłem. Niby czemu dziewczynie takiej jak ona zależy na moim zdaniu? Albo mnie na jej poglądach?

Mailował także agent. Przeczytał to, co mu ostatnio przesłałem, i było mu przykro, ale „niezbyt mu to pasuje”. „Zastanawiał się” też nad „odchudzeniem swojej listy” i nie miał pewności, czy się na niej „mieszczę”.

Dwoma łykami wypilem gorzką kawę i usunąłem jego maila do kosza razem z całym spamem.

Analogowy zegar na ekranie pokazywał, że zostało jeszcze pięć minut. Już miałem się wylogować, gdy wpadłem na pewien pomysł. Otworłem nowe okno i w wyszukiwarce Google wpisałem: „Florence Hopkins, samobójstwo”.

Internet szukał: na ekranie obracał się krążek. Kilka wyników.

Akta zgonu Florence Hopkins.

Usługi w sprawie niechcianych aktów urodzenia, małżeństwa i zgonu.

Związek między osiemdziesięcioma samobójstwami a oszczędnościami rządu koalicyjnego.

Alan Sugar masakruje Katie Hopkins za kontrowersyjne uwagi.

Ale w połowie listy: Pogrzeb tragicznie zmarłej studentki Cambridge.

Kliknąłem, krążek znów zaczął wirować, aż na ekranie otworzyło się okno — artykuł z „Hampshire Chronicle”. Komputer zaczął wolno pobierać dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało rodzinę, tulących się do siebie rodziców i młodego człowieka, który wyciągał rękę i kierował ich do samochodu. Na drugim widniała młoda dziewczyna trzymająca zraszacz i refleksy światła na wodzie, które padały jej na twarz. Miała postawione włosy i szeroki uśmiech, i znajomą, dużą przerwę między zębami.

Tekst był krótki: „David Hopkins, miejscowy biznesmen, i jego żona Cynthia wsparci na ramieniu syna, Andrew, na pogrzebie ukochanej córki, Florence, która zmarła dwa tygodnie temu. Florence, znana jako Florrie, studentka na Uniwersytecie Cambridge, od wiosny cierpiała na depresję. »Była cudownym człowiekiem i bardzo wdzięczną uczennicą — oświadczyła jej była nauczycielka. — To wielka strata dla college’u i rodziny«. David Hopkins, który ustąpił ze stanowiska dyrektora zarządzającego Akorn Investments, odmówił komentarzy”.

Zerknąłem na datę nad artykułem: lipiec 1994.

Dopiero po chwili skojarzyłem fakty. Pogrzeb miał miejsce miesiąc po moim ukończeniu Cambridge.

Przed kafejką z wyciem silnika przejechał skuter. Poczułem, jak nóżki plastikowego krzesła uginają się, gdy odruchowo przechyliłem się w tył. Palcami przytrzymałem się stołu. Poczułem drapanie kryształków cukru na laminowanym blacie, kleistość pod paznokciami.

Sprzymierzyłem się z okrucieństwem... i pozbawionymi wdzięku, bezdusznymi

postępkami.

Zabiła się kilka tygodni po tym, jak ze sobą chodziliśmy — o ile to właściwe określenie. Kurczę: chodziliśmy ze sobą. Wydawało mi się, że jej śmierć nie ma ze mną nic wspólnego. Ale miała. Zabiła się dziewczyna, którą znałem, a nie jakaś teoretyczna osoba, którą stała się w mojej głowie. Poznaliśmy się w kwietniu albo maju tamtego roku. Popełniła samobójstwo niedługo potem, w lipcu — miesiącu, w którym rozpierzchły mnie wydawnictwa, gdy dopinałem umowę, udzielałem wywiadów „Booksellerowi”, mojemu talentowi przyglądano się i podziwiano go jak szlachetny kamień.

Siedziałem w kawiarni i pierwszy raz, odkąd doszło do tego wszystkiego, intensywnie myślałem o Florrie. Pamiętałem słuchanie muzyki w jej pokoju, szorstką ścianę nad jej łóżkiem, fakturę cienkiej, taniej poszewki na poduszkę. Motyw słonecznika. Śliską tkaninę topu w grochy. Pocałunki. Zapewne też z nią spałem, ale nie mogłem przypomnieć sobie szczegółów. Uwiodłem kilka dziewczyn na jej roku — szczególną aktywnością wykazałem się w czasie tygodnia integracyjnego — ale Florrie? Na pewno. Wszystkie moje związki opierały się na seksie. Dlaczego z nią miałoby być inaczej? Czułem żal, smutek i niejasne wyrzuty sumienia — list, który zmiałem i wyrzuciłem do kosza. Biedna Florrie. A czy te nowe informacje wpłynęły na mój stosunek do Andrew? Do Alice? Czy należało wrócić do pewnych rozmów? Swoich zachowań, nad którymi trzeba się było lepiej zastanowić? Na pewno nie. Florrie miała depresję, była chora psychicznie. Nie miało to nic wspólnego ze mną.

Facet za ladą gapił się na mnie.

— Jeszcze pieniądze? — spytał. — Jeszcze Internet?

Pokręciłem głową i odsunąłem krzesło. Plastikowe nóżki zakleszczyły się z nogami innego krzesła i kopnąłem, żeby je rozdzielić. Potem wyszedłem i ruszyłem ulicą.

Uruchomiłem już silnik, kiedy przypomniał mi się ług. W normalnych okolicznościach dałbym sobie spokój. Ale byłem w szczególnym nastroju, ciągle oszołomiony nowinami na temat Florrie, i cieszyłem się z zadania, które zarazem zajmie myśli i opóźni powrót.

Człowiek spytany przed supermarketem zasugerował inny sklep — pięć minut drogi w kierunku przeciwnym niż centrum miasta. Była to raczej budka z mydłem i powidłem dla domu, paczkowanym jedzeniem i czymś wyglądającym na części samochodowe. Siedziało przed nią dwóch mężczyzn w koszulkach na ramiączkach, pijących kawę z miniaturowych filiżanek. Jeden z nich, słysząc moją rozmowę z właścicielem, machnął, żebym podszedł, i po ustaleniu, że mam do dyspozycji cztery kółka, w skomplikowany sposób, którego nie do końca zrozumiałem, wyjaśnił mi drogę do Praktykera na drugim końcu miasta.

Wróciłem do auta i jakiś czas jeździłem na chybił trafił, zataczając koła obrzeżami Trigaki. Dopiero w głębi dzielnicy małego biznesu, za niskim budynkiem z centrum budowlanym dostrzegłem czerwony znak z napisem „Praktiker”.

W środku, wśród alejek z farbami, wiadrami i małymi maszynami rolniczymi, skierowano mnie do rzędu dużych plastikowych butelek, które wedle zapewnień sprzedawcy w firmowej bluzie zawierały ług — wodorotlenek sodu. Płacąc, zwróciłem uwagę, że pojemnik jest taki sam jak ten w szopie z pikapem. Być może wszystkie moje

starania były niepotrzebne.

Policja wróciła. Na podwórku stał ten sam samochód — biały z niebieskim napisem i pasmem rdzy przy prawym przednim nadkolu. Cholera by to wzięła. Dzień Świstaka. Czy dadzą nam kiedyś spokój? Stałem najbliżej nich, jak się dało.

Tina wyszła do mnie, gdy wysiadałem z samochodu.

— Masz gościa.

— Ja mam gościa? Co to znaczy?

— Nie przejmuj się. Na pewno nic poważnego.

Wzięła z bagażnika pudełko z zakupami i poniosła je dokoła domu. Poszedłem za nią tylko z reklamówką, w której stała butelka ługu.

Bez słońca taras wyglądał inaczej, widok stał się płaski. Bez światłocienia, kałuż słońecznego blasku i ciemnych wnęk, wszystko ponure. Szpilki lawendy w doniczkach z czarnymi smugami robiły wrażenie groźnych.

Głosy gdzieś dalej, w pobliżu drzwi kuchennych. Gavras stojący z filiżanką kawy, wybuch śmiechu, po prostu równy gość.

Zauważył, że idę, i oddał kawę komuś stojącemu na progu kuchni, potem postukał zaciśniętymi rękami, żeby strząsnąć okruchy.

— Panie Morris — zaczął — już myśleliśmy, że nigdy pan nie wróci.

— Po prostu byłem na zakupach — odparłem. — Urządzamy grilla.

Alice wyszła z kuchni. Miała na sobie bikini z Topshopu i przerzucony przez ramię ręcznik — dziwny wybór, zdążyłem jeszcze pomyśleć, jak na pochmurny dzień. Zrobiła to coś z wargą, przygryzając, a potem krzywiąc ją.

— Paul. Porucznik Gavras ma kilka pytań... Mógłbyś... — Uniosła ręce dłońmi do góry. — Czy chcecie zrobić to tutaj?

— Oczywiście — odparłem, zanim zorientowałem się, że pytanie nie jest skierowane do mnie. Już siedziałem. Poduszka była wilgotna; czułem, jak wilgoć wsąca się w siedzenie spodni. Reklamówkę postawiłem przy nogach.

Gavras spojrzał na Alice, potem na zegarek, po czym, podejmując decyzję, odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko mnie. Miał przy sobie dyplomatkę, teraz otworzył zatrzask i wyciągnął notatnik z poprzedniego dnia.

Odwróciłem się w stronę Alice. Tina krzątała się po kuchni, rozpakowując zakupy. Syk lodówki, stukanie szafek. Poza tym dom robił wrażenie cichego.

— Gdzie reszta? — zapytałem.

— Pojechali do Stefanos na kawę.

Skinąłem głową, jak gdyby moje zdanie miało jakieś znaczenie w tej kwestii, i z powrotem spojrzałem na policjanta.

— Dobrze. Więc o co chodzi? W czym mogę panu pomóc?

— Przykro mi, panie Morris, że muszę zakłócać pański spokój w trakcie urlopu. Nic... nic... bardzo ważnego.

— To dobrze.

— Aż trudno uwierzyć, ile działo się w tym tygodniu. Gwałt, pies z poderżniętym gardłem. Zwykle życie w Agios Stefanos jest takie spokojne, a od pańskiego przyjazdu, panie Morris, stało się o wiele ciekawsze.

— Żadna z tych rzeczy nie ma ze mną nic wspólnego. — Wzruszyłem ramionami. Gavras obrócił otwarty notes i nachylił się nad nim.

— Kilka drobnych pytań — zagaił niezobowiązującym tonem. — Parę ciekawostek.

— Proszę bardzo.

— Mówi pan, że przyleciał lotem linii Thomas Cook z Gat-wick w poniedziałek?

Usiłowałem powstrzymać napływ krwi do twarzy. Miałem ułamek sekundy na decyzję. Gdyby nie obecność Alice, powiedziałbym prawdę. Ale w tym momencie zależało mi bardziej na zdaniu jej niż jego. Zdobyłem się na:

— Tak...

— Ma pan jeszcze kartę pokładową albo bilet?

— Nie — potrząsnąłem głową.

On lekko pokiwał swoją.

— Czyli w niedzielę wieczorem był pan jeszcze w domu?

— Tak.

— W będącej pańską własnością nieruchomości na... — Zajrzał do notatnika i odczytał adres Aleksa w Bloomsbury.

— Zgadza się — potwierdziłem bez specjalnego wahania.

— To dziwne — powiedział z zadumą. — Jako właściciel nieruchomości figuruje niejaki Alex Young.

Alice podeszła o krok. Marszczyła czoło, przechylała głowę na bok.

— Alex Young jest formalnie właścicielem.

Gavras przypatrywał mi się z wysuniętą brodą i opadającymi kącikami ust.

— Aha. Rozumiem. Być może jeszcze do tego wrócimy. W każdym razie niezależnie od tego, gdzie pan nocował, rano pojechał pan na samolot linii Thomas Cook, odlatujący z lot-niska Gatwick w Londynie o piątej dziesiątej i lądujący na Lotnis-ku Międzynarodowym Ionnasisa Vikelasa w Pyros o siódmej czterdzieści.

— Tak.

— Panie Morris — powiedział ciepło. — Sprawdzenie takich rzeczy nie trwa długo. Spisy pasażerów.

Wykonałem ruch obrotowy barkami, jak gdyby zeszywniały.

— Do czego pan zmierza? — odezwała się Alice.

— Zależy mi tylko na ustaleniu, czy pan Morris przebywał w barze Gwizdek na Świnię w Pyros w niedzielę wieczorem.

— Nie — powiedziałem.

— I nie zna pan Laury Cratchet?

— Nie.

— Pomimo że pan Hopkins pamięta, jak witał się pan z nią w Stefanos wieczorem w dniu gwałtu... — popatrzył na notatki — „jak ze starą znajomą”.

— O ile pamiętam, to ona przywitała się ze mną. Widziałem ją w autobusie.

— I zwrócił pan na nią uwagę?

Zamknąłem oczy na chwilę.

— Na tyle, że potem ją rozpoznałem, nic więcej.



— A gdy w czwartek wieczorem widziałem, jak zachodzi pan sam do klubu, zdarzyło się to przypadkiem?

— Nie przypadkiem, tylko — jak tłumaczyłem — dlatego, że zdawało mi się, że widzę idącego tam Andrew.

Alice stała zaraz przy mnie. Uniosła złożoną w pięść rękę i tarła nią oko. Gdy przestała, wtrąciła się chłodno:

— Pan Morris potwierdził swoje miejsce zamieszkania i przylot z Londynu, zapewnił, że ani nie był w Pyros w niedzielę wieczorem, ani nie jest bliskim znajomym ofiary gwałtu. Czy to już wszystko, poruczniku Gavras?

Gavras coś sobie notował. Położył długopis na stole.

— Jeszcze jedna ciekawostka — westchnął. — Nasza rozmowa na temat psa.

— Ja tego nie zrobiłem — wie pan o tym. To prawie na pewno sprawka gospodarza Alice, Artana.

— Moje pytanie — ciągnął, jak gdybym nie powiedział ani słowa — dotyczy miejsca pańskiego pobytu w dniu, w którym temu stworzeniu podcięto gardło. A mówiąc dokładnie, pana wycieczki do osady helladzkiej w Okarcie.

— Nie rozumiem, co policja może do tego mieć.

— Miło było?

— Tak.

Odchylił się, wkładając koszulę za spodnie.

— Zdumiewa mnie, panie Morris, że tak bardzo zainteresowała pana osada, która jest czasowo zamknięta z powodu renowacji.

— O czym pan mówi? — zdziwiła się Alice.

Poczułem, jak coś drapie mnie w oczy, a język puchnie.

— Pojechałem tam. I widziałem ruiny. W kasie nie było nikogo; trochę mnie to zdziwiło. Ale dostałem się do środka i trochę sobie pochodziłem.

— I pojechał pan autobusem?

Kiwnąłem głową.

— Jakże szczęśliwie się złożyło, że znalazł pan „autobus” jadący w głąb wyspy. To doprawdy niezwykle.

— Moja matka mawiała, że mam diabelne szczęście. — Popatrzyliśmy na siebie. Zmrużył oczy. — Tak że jeśli to koniec, chętnie poszedłbym wziąć prysznic.

Wstałem, nie czekając na odpowiedź, i ruszyłem nonszalanckim krokiem w stronę drzwi naszego pokoju. Gdy tylko odwróciłem się do niego plecami, opadło mnie pragnienie rzucenia się do ucieczki, poczułem coś w rodzaju paniki rozsadzającej nogi. Szykowałem się na odgłos kroków, echo zwalistego ciała Gavrasa, na wykręcenie ręki. Ale nie zdarzyło się nic. Pisk moich butów. Dalekie pianie koguta. Cykady.

Reszta popołudnia upłynęła na odgrywaniu roli wzorowego narzeczonego. Stałem bez słowa skargi przy grillu, obracając i podlewając wodą upieczone mięso: oczy piekły od dymu, ręce parzyły kropelki rozgrzanej oliwy. Podawałem i sprzątałem naczynia. Dolewałem napoje. Znalazłem świeży lód. Słońce przebiło się przez chmury i przypomniało nam, że jesteśmy na wakacjach. Budowa jeszcze nie ruszyła i ten spokój był jak dar z nieba. Gołębie gruchały, jaskółki zniżały lot i przemykały nad basenem jak

strzałki. Słyszało się żarty i śmiech. Ktoś popłynął — ciche pluski, gwałtowne wdechy, westchnienia przyjemności. Zazwyczaj po obiedzie uciałbym sobie drzemkę, ale dziś byłem wyczulony na potrzeby innych. Tina zapomniała farb, więc wróciłem po nie do domu. Yvonne było gorąco na słońcu, więc przesunąłem jej leżak w cień. Frank i Archie potrzebowali trzeciego do gry karcianej o nazwie cygan i pierwszy zgłosiłem się na ochotnika.

Graliśmy na stole w altanie, obok rośliny z wielkimi trąbkami białych kwiatów i ciemnoróżowymi środkami, o żółtych słupkach. Płatki padały na ziemię, gdzie leżały zmarszczone jak chusteczki higieniczne. Wygrałem — okazałem się najlepszym cyganem — po czym chłopcy wskoczyli do wody. Alice siedziała na krześle obok leżaka Yvonne i posłała mi uśmiech.

— Dzięki — wypowiedziała ruchami warg i zmarszczyła nos.

Jeden z kwiatów wylądował na stole. Podniosłem go i muskałem nim usta. Był miękki, aksamitny i pachniał jak migdały. Kojarzył się z obietnicą, seksem, nadzieją.

Gavrasem się nie przejmowałem — już sobie poszedł. Pozwoliłem sobie tylko na drobne kłamstewka; teraz liczyła się Alice. Powiem jej prawdę później, gdy tylko zostaniemy sami. Nie będę już popełniał błędów, które kiedyś przychodziły mi odruchowo, skoro już jestem z nią. Drobne kłamstwa, małe pomyłki — one się sumowały. Lepiej być prawdomównym, szczerym, dbać o innych. Na przykład taka Florrie. Biedaczka. Powinienem się zorientować, że jest wrażliwa, przeczuć niebezpieczeństwo. Kochała mnie — słyszałem, jak szepcze mi to do ucha; czułem jej wargi na karku, pamiętałem język wpychany w jej usta, ciało napierające na jej ciało. Ale pojechałem do Londynu i zostawiłem ją. Ten zmięty list. Telefony, na które nie odpowiadałem. Powinienem być miłszy.

Znów popatrzyłem w stronę Alice, mając nadzieję, że nasze spojrzenia ponownie się spotkają, że dam jej do zrozumienia, co czuję. Byłem inny, otwierałem nowy rozdział życia, wszystko ze względu na nią. Ale siedziała sztywno wyprostowana na krześle, z zamkniętymi oczami. Yvonne przeważnie ją ignorowała albo burczała na nią. Yvonne nigdy nic nie pasowało — mięso było przypalone, wino za ciepłe, Karl opowiadał anegdotę, którą słyszała o wiele za często. Była zgorzkniała i dziwnie rozżalona na cały świat i w kimś takim jak ja mogłoby wzbudzić to podejrzenia, lecz Alice stała po jej stronie, nie poddawała się. Tak rozumiała dobroć, serdeczność. Nauczę się tego. Być może wyznam coś w związku z Florrie, wytłumaczę się. I co jeszcze? Artan i Daisy? Czy powinienem zdradzić, co widziałem? Czy raczej dotrzymać słowa? Co było właściwe, najbardziej uczciwe? O Boże, to istne pole minowe. Samolubna reakcja na zdarzenia była o wiele prostsza niż moralna poprawność.

— Przysypiamy, co?

Najwidoczniej przymknąłem na chwilę oczy i oto Andrew patrzył na mnie z ukosa.

— Nie. Myślimy.

— Planujesz następną książkę?

— Coś w tym stylu.

— Tobie to dobrze. — Klepnął mnie w ramię i skierował się w stronę stopni. — Muszę wykonać kilka telefonów — oznajmił głośno.

— Przecież jest sobota — zaprotestowała Tina. — Zdawało mi się, że skoro zostałeś już partnerem...

Cmoknął, zadowolony z siebie.

— Bezbożnicy nie znają ukojenia.

Oczywiście wszystko zepsułem, za dużo pijąc. Nie wiem, co się stało. Zdaje się, że baranina na obiad była za słona i dla ugaszenia pragnienia wypilem jedno piwo albo jeden kieliszek wina za dużo. Być może sęk w tym, że mieszałem. A może chodziło o ciężki dzień, męczące zakupy, a potem starania o wywarcie dobrego wrażenia. Wiedziałem, że zapada zmrok, w domu mrugają światła, stopnie na taras są chwiejne i nierówne, a chaszcze napierają na mnie, kiedy się wspinam. Wiedziałem, że Andrew świetnie bawi się tym wszystkim.

— Bam — powiedział, kiedy się potknąłem.

Usiłowałem odpowiedzieć żartem:

— Bam to chyba twoja Daisy — ale raczej nie bardzo mi wyszło.

Ręka pod moją pachą, upadające talerze, rozmowa robi się głośniejsza, potem cichnie. Ciemny pokój. Chłód poduszki na twarzy. Głowa pełna Florrie i Jasmine, martwych i zaginionych dziewczyn, pewności i niepewności. Zaczęło mi w niej pulsować i czułem trwogę podobną do złogu, który tamował obieg krwi.

Gdy weszła Alice, pociągnąłem ją w dół.

— Leż przy mnie długo.

Jej ciało przywarło do mojego, wzgórki i stoki.

— Przepraszam, Alice — mruknąłem.

— Nazwałeś mnie właśnie Florrie.

— Co zrobiłem? Gdzie popełniłem błąd?

Byłem półprzytomny, ale pamiętam jej usta na moich.

## Rozdział 18

Nazajutrz wcześniej rano w zagajniku tuż za basenem zaczęły się prace budowlane. Wszystkich zbudził młot pneumatyczny niszczący resztki muru.

— Nie przejmuj się — szepnęła mi do ucha Alice. Miała wilgotny i rozgrzany oddech. Szarpnięcie prześcieradłem, gdy się odwracała. — To jedyne wyjście. Zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

Pokazało się słońce, niebo przybrało kolor świeżego błękitu, świat wysechł, zapanował żar, od którego pęka ziemia. Wczoraj było pochmurno, potem nastąpiła zmienna pogoda. A to był upał, po jaki tu przyjechaliśmy — na jaki zasłużyliśmy. Alice wstała i zeszła nad basen, mając nadzieję na zawstydzenie robotników i wstrzymanie budowy, a ja poszedłem za nią. Artan czyścił filtr. Pamiętam jego czapkę, wetkniętą w tylną kieszeń dżinsów, jego kark, odgłos drapania. Pojawili się Andrew i Tina, która spytała, jak tam moja głowa.

— Mam w domu trochę aspiryny — powiedziała. — Powinieneś pić dużo wody.

— Już trochę za późno — zakpił sobie Andrew.

Niedługo potem przyszła Daisy, zrzucając letnią sukienkę na ramiączkach i pokazując szczupłe, oliwkowobrazowe ciało. Artan patrzył, jak układa się na ręczniku. Pamiętam to. Pamiętam też, jak pomyślałem, że ona wie, iż on ją obserwuje, i ta świadomość lekko mnie podnieciła, poczułem też wyrzuty sumienia, jak gdybym zapomniał jeszcze coś zrobić. Czy Phoebe już przyszła? Takie szczegóły są ważne w tym momencie. Tak. Pamiętam, jak mijałem ją po drodze na pusty leżak. Pamiętam, jak zwróciłem uwagę na rozjaśnione włosy z ciemnymi odrostami, i jej świadomą próbę zakrycia swoich kształtów na mój widok.

Nie pamiętam, w której dokładnie chwili zostały przerwane roboty. Cały ranek zdarzały się krótkie przerwy. Nie pamiętam alarmu, pierwszego podniesienia krzyku. Gdybym go usłyszał, założyłbym, że wystąpił jakiś problem z maszynami. Możliwe, że krzyki z oddali stopniowo docierały do mojej świadomości. Wciąż miałem kaca. Domyślałem się, że gdy harmider ucichł, z wdzięcznością rozkoszowałem się ciszą.

Świat na leżaku wydawał się nieruchomy — z perspektywy czasu takie mam właśnie wrażenie. Alice leżąca na brzuchu — głowa przekręcona na bok, sztywny kark, ręka z książką opadająca na ziemię. Kratkowane odbicie basenu na spodzie parasolki. Komary w trawie. Drzewa oliwkowe srebrzące się w słońcu. Groźne buczenie szerszenia po drugiej stronie basenu, bulgot filtru.

Ale wtedy głosy zmieniły się i stały donośne — pojawił się w nich niepokój, popłoch. Krzyki jak kule. Warkot samochodu nadjeżdżającego polem. Ryk motoru. Tupot biegnących stóp. Robocze buty na zeschniętych roślinach, coraz bliżej. Pamiętam, że usiadłem i wolno budzącym się wzrokiem ujrzałem Gavrasa. W chaszczach tuż poniżej basenu, w cętkowanym cieniu niskich drzew. Napęczniałe mięśnie pod rękawami koszuli. W półmroku nie widać twarzy, tylko strzałę w głowie — nie, to gałązka zaplątana we włosach, stercząca pod kątem. Gavras postąpił kilka kroków po zбочu, wyszedł z cienia. W wyrazie jego twarzy było coś okropnego. Czy przekazał coś Alice ruchami warg? Do dziś nie mam pewności.

Następnie pamiętam gwałtowny stukot, gdy leżak Andrew złożył się wpół. Alice biegnie w stronę Gavrasa, potem zawraca ku mnie, potyka się, nadziewa na coś palcem nogi, twarz ma ściągniętą. Tina narzuca sukienkę tył do przodu i pyta: — Co jest? — a Phoebe i Daisy owijają się ręcznikami i stają obok paleniska; Andrew jest zgięty wpół, barki ma różowe od oparzenia słonecznego, maca pod złożonym leżakiem w poszukiwaniu telefonu. Pamiętam, jak Artan powiedział coś szybko, w nieznanym mi języku, do jednego z robotników, a Gavras krzyczał coś po grecku przez telefon.

Ale nade wszystko pamiętam głos Alice powtarzającej:

— Znaleźli ją, znaleźli.

Byłem niezwykle spokojny. Czuję się jak przypadkowy przechodzień, świadek. Gavras odłożył telefon do kieszeni i gestem obu dłoni pokazywał, żebyśmy poszli do domu. Wyprostowałem leżak Andrew i odnalazłem jego telefon. Uratowałem ręcznik zamoczony w basenie. Objąłem też Alice i zmusiłem ją do pójścia ścieżką za innymi. Utykała. Palec u nogi krwawił. Na każdym stopniu zostawiała smugi krwi. Posadziłem ją na krzesło i zabrałem się do zmywania plam. Ująłem stopę i obejrzałem luźny skrawek skóry na boku palca, a po zatamowaniu krwotoku owinąłem go mocno papierem toaletowym. Krew zaczęła niebawem przesiąkać.

Louis, ogromny i niezgrabny w spodniach od piżamy, wyszedł ze swojego pokoju.

— Co się dzieje?

— To ma jakiś związek z Jasmine — oznajmiła Alice.

— Nie wiadomo. — Tina potrząsnęła głową.

Uniosłem głowę znad drobnej, krwawiącej stopy Alice.

— Nic nie wiadomo — zawtórowałem.

Całymi godzinami nikt się nie zjawiał. Skupiliśmy się na tarasie jak aktorzy na planie filmu według powieści Agathy Christie i czekaliśmy na polecenia. Andrew, już w beżowych chinosach i jasnoróżowej bluzce Freda Perry’ego, zszedł nad basen dowiedzieć się, „co się u diabła święci”, i został odesłany z kwitkiem. Gavras poprosił o pozwolenie wykorzystania domu do celów komunikacji i Andrew się zgodził.

— Może tak być, Alice?

Skinęła głową.

Tina wyniosła zimne kotlety baranie, które zostały z wczoraj, i pomidory. Nikt ich nie tknął. Otworzyłem piwo i, na celowniku wszystkich, natychmiast tego pożałowałem.

Archie i Frank zeszli do końca podjazdu i wrócili z wieścią, że drogę blokują auta policyjne. Na bramie przeciągnęli taśmę.

— Nie może chodzić o kolejnego psa — stwierdził Frank. — Nie rozwieszali taśmy z powodu psa Paula.

— Zabitego przez Paula — poprawiła go Phoebe.

— To nie był mój pies — zaoponowałem. — Nie miał ze mną nic wspólnego. Zupełnie nic.

— Powinniśmy zadzwonić do Yvonne — powtarzała Alice. Nogę trzymała cały czas na krzesle, zakrwawiony papier powoli się rozwijał. Nie zwracała na to uwagi. Mocowałem go, gdy tylko udawało mi się do niej zbliżyć. — Na wszelki wypadek. Powinna wiedzieć.

— Raczej nie. — Andrew pokręcił głową, a potem kiwał dla upewnienia się, że ona go rozumie. — Trzeba zaczekać, aż będzie wiadomo na pewno.

— On kiwał na mnie tak samo — zauważyła Alice. — Nie mogę o tym zapomnieć.

Wtulila twarz w ręce i oparła je, skrzyżowane, na stole. Co kilka sekund jej ciało przebiegał bezgłośny dreszcz.

— Możliwe, że niczego nie znaleźli. Że to tylko jeden z robotników miał wypadek — mówiła Tina. — Złamał nogę czy coś podobnego. Wypadek przy pracy. Jeżeli był poważny, wezwali policję. Jeśli miało to coś wspólnego z maszynami. Albo wina leżała po stronie firmy.

— To Jasmine — oświadczyła Alice, podnosząc głowę. — Ja to wiem.

Cienie najpierw się skurczyły, potem zaczęły się wydłużać. Chłopcy siedzieli w domu i grali na xboxie. Tina sprzątała w kuchni. Phoebe i Daisy usiadły w mojej palarni i oglądały coś na iPadzie. Alice i Andrew siedzieli obok siebie zapatrzeni na morze. Ja udawałem, że czytam książkę.

Zza węgła wyłonił się ubrany w niebieski garnitur mężczyzna z dyplomatką, który minął nas i wszedł na ścieżkę prowadzącą do basenu. Kilka minut później jego śladem podążyły dwie młodsze kobiety w białych kombinezonach, niosące ciężkie torby wypchane sprzętem. Jedna skinęła głową, lecz żadna się nie odezwała. Kilka minut później powrócił mężczyzna w garniturze, stając na brzegu tarasu, plecami do nas, i wykonując telefon. Marynarkę miał tanią i przyciasną — szew na środku zaczynał pękać.

Alice podniosła głowę.

— Szkoda, że nie znamy greckiego.

— Skąd on wie, że nie znamy? Skąd wie, że nie rozumiemy ani słowa? — zastanawiał się Andrew.

— To takie niekulturalne. Traktować nas tak, jakbyśmy się nie liczyli.

Patrzyłem na nią, kiedy to mówiła, więc zauważyłem to na jej twarzy: chwilę, kiedy zjawili się na ścieżce. Zobaczyłem, jak jej oczy stają się ciemne, policzki zapadają się bardziej, a krew odpływa z warg.

Mała procesja. Kobiety w białych kombinezonach pierwsze. Po dotarciu na taras stanęły z obu stron ścieżki, czekając. Dwaj mężczyźni nieśli coś w opuszczonych nisko rękach, powoli, ostrożnie, trzymając ładunek równo, starając się nim nie rzucać. Był lekki. Mężczyźni nie uginali się pod ciężarem fizycznym. Ale coś w ułożeniu ich ciał i wyrazach twarzy sugerowało, że to największe brzemie, jakie przyszło im w życiu nieść. Pierwszy, przystojny asystent Gavrasa, znalazł się na szczycie ścieżki; za nim szedł łysy policjant z plaży. Gdy znaleźli się na płaskiej powierzchni tarasu, odłożyli ładunek.

Były to nosze przykryte kawałkiem folii. A pod folią leżał kanciasty kształt, płaski, blady, miękki, coś ciemnego, bryła błota. Tkanina i kości, i ścięgna. Niedużo. Garść prochu i brudu. Łysy policjant nachylił się z łokciami wspartymi na kolanach dla odzyskania tchu. Angelo, pomocnik Gavrasa, kucnął, aby poprawić plastik z jednego boku. Robił to delikatnie, z szacunkiem. Jego grdyka poruszała się; przełknął ślinę, zamykając oczy.

— Bardzo mi przykro. — Gavras z posępną miną stanął na szczycie ścieżki. —

Pani Mackenzie... tak... tak bardzo mi przykro.

Alice wstała. Dłonie trzymała przyciśnięte do policzków. Wpatrywała się w zwłoki na ziemi z grozą i litością w oczach. Na szyi wystąpiły jej plamy.

Andrew postąpił kilka kroków do przodu i krzesło za nim przewróciło się. Miał pusty wzrok.

— Czy to Jasmine? — zapytał. — Znaleźliście ją?

Stojąca w progu kuchni Tina wydała z siebie jęk.

— Niczego nie mogę stwierdzić na pewno, lecz znaleźliśmy ciało młodej kobiety. Przykro mi.

Poczułem, jak w gardle staje mi twarda gula. Jeszcze wtedy spodziewałem się innego wyjaśnienia. Jakiegoś starodawnego horroru, mechanicznej usterki czy nieporozumienia. Teraz czułem ich szok jak bryłkę lodu na własnej skórze. Czułem, jak piecze w każde zakończenie nerwowe.

Angelo zajął z powrotem miejsce przy noszach, upewnił się, że stoją równo, i dwaj policjanci znowu je podjęli i ponieśli obok nastolatek, by zniknąć za rogiem domu. Za nimi poszły kobiety w białych kombinezonach. Gavras został na miejscu.

— Nie mogę uwierzyć, że była tutaj cały czas, tak blisko domu — odezwałem się.

Po raz pierwszy przemówiła Alice. Głos, jaki z siebie wydała, był zgrzytliwy, nieomal niesłyszalny:

— Powiedzieliście Yvonne? — Odchrząknęła i głośniejszym głosem powtórzyła pytanie: — Powiedzieliście Yvonne?

Gavras przechylił głowę.

— Nie mamy pewności, czy to Jasmine Hurley. Należy przeprowadzić stosowne procedury.

— Znaleźliście ciało młodej kobiety, tak? To na pewno Jasmine.

— Pani Mackenzie, rozumiem, że jest pani wzburzona...

— **POWIEDZIELIŚCIE YVONNE?**

Gavras wstał.

— Właśnie jadę porozmawiać z panią Hurley. Część moich ludzi tu zostanie i starannie przeczeszymy teren. — Szybko pokręcił głową na prawo i lewo, najwyraźniej niezdecydowany. — Hm, przepraszam za niedogodności. Czy można... Będziemy musieli przeszukać. Porozmawiać z państwem, jeżeli to jest... A nawet jeśli to nie... — Zdawało się, że stracił gdzieś pewność siebie, rezon.

Andrew wstał i przejął inicjatywę. Wyciągnął rękę, by Gavras ją uścisnął.

— Będziemy na miejscu. Nikt nigdzie się nie wybiera. Możemy korzystać z domu? Tak? Można? Po prostu tu będziemy.

Gavras ujął jego dłoń.

— Dziękuję. Tak. Tak. Na pewno można... Tak. Wrócę, hm, niedługo. — Odwrócił się, zrobił krok, po czym zatrzymał się. — Panie Hopkins? Można na słowo?

Andrew oderwał się od stołu, przelotnie dotykając ręką barku Alice, i obaj mężczyźni przeszli na drugą stronę tarasu, gdzie zaczęli rozmawiać.

Usiłowałem odczytać z ruchów warg, o czym mówią.

— Jak sądzisz, o czym rozmawiają? — zapytałem Alice.

Nie odpowiadała. Odwróciłem się. Zniknęli. Na stole leżał tylko telefon Alice.

— Alice? — zawołałem. — Tina?

Bez odzewu.

Andrew wracał przez taras.

— Paul, można na słowo?

Można na słowo? Wyrażenie, którego użył Gavras. Nic nie powiedziałem, skinąłem tylko głową. Musiał wszystkim kierować, zorganizować każdemu życie.

— Oczywiście — odparłem.

— Chcesz sobie usiąść?

— Nie.

— No dobra. Muszę ci powiedzieć, że porucznikowi szczególnie zależy na tym, żebyś ty póki co nie oddalał się z domu. Obiecałem, że tego dopilnuję.

— Ja?

— Ma do ciebie jeszcze kilka pytań na temat twojego związku z Laurą Cratchet. Nie ma się czym specjalnie przejmować.

— Laurą Cratchet? — Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, kogo ma na myśli.

— Nie mam żadnego związku z Laurą Cratchet.

— Ja tylko powtarzam, co powiedział. — Świetnie się bawił. Gnojek.

Wpiłem się w niego wzrokiem, ale nie zdołałem zbić go z pantafelku. Na morzu za jego plecami zapanowało poruszenie. Przemknęła motorówka, zostawiając za sobą wąską, białą smugę niczym ślad samolotu.

Poszedłem prosto do pokoju poszukać Alice. W progu minąłem się z Tiną.

— Bądź miły — mruknęła.

Alice leżała na łóżku, zmiętą sukienkę miała podwiniętą do ud i wilgotną, twarz skryła w poduszce.

— Tak mi przykro — zacząłem. — Przykro mi. Tak mi przykro, że się myliłaś. — Siadłem na brzegu łóżka i głaskałem ją po włosach. Zauważyłem kropelki potu na czole. — Tak mi przykro. To straszne — dla Yvonne, dla ciebie, dla wszystkich.

Wydobyła z siebie głębokie, długie, pełne drżenia westchnienie i pod wpływem kolejnej wszechogarniającej fali czułości i litości zapomniałem o własnych zmartwieniach. Myślałem o czasie i pieniądzu, jakie poświęciła na kampanię, ile serca oddała tej sprawie, jak utrata Jasmine, dziewczyny, której w ogóle nie znała, doprowadziła ją na skraj obłądzenia. Miałem ochotę opatulić ją kocem i objąć, przycisnąć do piersi.

Wyprostowałem i przygładziłem kosmyk włosów. Powiedziałem jeszcze o wiele więcej o tym, jak ludzie na nią liczyli, i o jej nadzwyczajnym oddaniu, o wsparciu dla Yvonne, o brzemieniu, które musiała sama nosić, brzemieniu nadziei, i jaką jest fantastyczną matką.

— Uważam, że jesteś... — zacząłem i wtedy załamał mi się głos — cudowna.

Nic nie mówiła.

Popołudnie przedłużało się, upał przemijał. Po chwili położyłem się obok niej.

Andrew stał w progu. Ciemny kształt. Niemożliwe, żeby obserwował nas długo. Wyciągnął rękę. Na dłoni trzymał telefon Alice. Nakrywając go drugą ręką, powiedział:



— To Karl. Odebrałem. Nie można było inaczej.

Usiadła, wbiła w niego wzrok. Wilgotne włosy lepiły się do jej twarzy. Czerwone odciski poduszki.

Przypomniała mi się Salome, przynosząca Herodiadzie głowę Jana Chrzciciela.

— Chce z tobą rozmawiać — oznajmił Andrew.

Alice zdjęła nogi z łóżka i zatoczyła się w jego stronę w zmiętej sukience. Założyła włosy za uszy, wzięła telefon i pchnęła drzwi na taras. Wyraźnie słyszałem jej głos dochodzący z zewnątrz.

— Drogi Karlu. Jak ona się czuje?... Na pewno... Niewyobrażalne... Najgorsze...

— Odgłos pomiędzy westchnieniem a wzdrygnięciem się. — Da radę? Jeśli chce. Jeśli może. Tak, oczywiście.

Długa cisza, potem znów jej wyraźny głos:

— Kochana. Moja kochana. Słowa nie mogą wyrazić... — Długie milczenie i: — Tak. Wiem.

Andrew wyszedł za nią. Zastanawiałem się, czy ją objął.

— Mamy się stąd nie ruszać. Ale odwiedzę cię, jak tylko będę mogła. — Po dłuższej chwili jej głos złagodniał. — Nie wiemy... — Znowu cisza. — Wszystkie moje myśli, cała miłość... Yvonne. Przykro mi. Tak mi przykro. — Po chwili powiedziała jeszcze: — Koniec. Rozłączyła się.

Alice wróciła do pokoju sama. Leżałem tak, jak w chwili, kiedy wyszła. Nie zmieniłem położenia.

— Jak to znosi? — spytałem.

— Cały czas w szoku. Jest u niej policja.

— Oczywiście. Przynajmniej przekonają się, jak zareaguje.

— Co masz na myśli?

— Nigdy się nie zastanawiałaś?

— Paul. Przestań.

— Wiedziała o studni? Zabójca Jasmine wiedział o istnieniu studni. Jak daleko stąd były apartamenty, w których mieszkali?

— Na litość boską, Paul, nie teraz.

Przeszła do łazienki i usłyszałem plusk wody lejącej się do zlewu. Chyba myła twarz i zęby. Poczułem wilgoć policzków, kiedy wróciła się położyć, miętowy zapach z ust.

Nie ja zacząłem. Nie ośmieliłbym się. To ona zdjęła sukienkę, a po niej czerwone bikini — i naga położyła się na mnie, mocno przywarła całym ciałem i ustami. Całowałem ją niepewnie, a jednocześnie tak mocno, jak moim zdaniem się tego spodziewała. Przytrzymała mi ręce ponad głową i zadarła koszulkę. Dłonie wsunęły się pod gumkę moich spodenek, kolano wdarło się pomiędzy uda, piersi wylądowały na mojej klatce. Ocierała się o mnie, napierając o wiele silniej, niż ja bym się odważył.

Jednym ruchem wyswobodziłem ręce i przeniósłem ją tak, że wylądowała pode mną. Dyszała szybko, mocno zaciskała powieki. Znowu szarpnęła za suwak. Nachyliłem się do jej ust, a potem kazałem jej czekać na siebie, jak dało się najdłużej, żeby w końcu w nią wejść. Otworzyła usta, język szukał mojego. Gdy pochyliłem twarz, poczułem, jak jej

zęby napierają na moją dolną wargę. Odsunąłem się. Zaplątanymi we włosy rękami ujęła moją głowę.

— Nie przerywaj — powiedziała — tylko mi, kurwa, nie przerywaj.

Więc nie przerywałem. Za to zwolniłem. Zwolniłem tak bardzo, że nie mogła już tego znieść. I obserwowałem jej twarz, gdy krzyknęła i kiedy wreszcie doszła.

Wieczorem nic nie jedliśmy, nie wychodziliśmy też z pokoju. Nie wiem, co porabiali inni, czy Andrew zmusił ich do zachowywania się jakby nigdy nic. Nie wiem, czy policja zostawiła dom na noc w spokoju, czy raczej któryś z ludzi Gavrasa został na straży przy bramie. My z Alice nie ruszyliśmy się nigdzie. Gdy chciało nam się pić, piliśmy wodę z kranu. Większość czasu spała, a ja leżałem przy niej, słuchając, jak oddycha.

Powinno mi być cudownie. Wielki mężczyzna. Jej pierwszy orgazm od ponad dziesięciu lat. Mówiła, że przestała go osiągać. „Nie dochodzę”. Czemu nie byłem zadowolony z siebie? Jeszcze pół roku temu myślałbym tylko o tym. Ale coś się we mnie zmieniło. Czuję wobec niej głęboką, rozdzierającą serce czułość, której towarzyszyła niezrozumiała groza.

## Rozdział 19

Gavras wrócił nazajutrz wcześniej rano z nakazem rewizji domu i działki. Wszędzie kręcili się ludzie w kombinezonach, na podwórku i w garażu, przy basenie, w zagajniku. Całkiem jak po inwazji mrówek. Wszystko mnie swędziało i czułem się jak w potrzasku, zależało mi na wydostaniu się stamtąd.

Siedziałem na tarasie z Alice, Andrew i Tiną — wszyscy w nastroju zarazem nonszalanckim i pełnym napięcia, gdy podszedł do nas Gavras. Świeżo ogolony i w odprasowanej białej koszuli, która wyglądała na przyciasną w kołnierzyku. Bez przerwy poruszał szyją i wysuwał podbródek, jakby chciał poluzować kołnierz. Siadł obok mnie, z dłonią na moim krześle, przeprosił za „zepsucie nam urlopu” i na znak od Andrew ostrożnie przekazał nam wszystko, co wiedział.

Szczątki przesłano do lekarza medycyny sądowej w mieście Pyros na badania DNA, ale nikt nie miał wątpliwości, że należały do Jasmine. Koroner — czyli mężczyzna w średnim wieku w niebieskim garniturze — nie był w stanie dokładnie określić daty zgonu, ale zgodził się, że zwłoki leżały w studni „od pięciu do dziesięciu lat”. Chrzątki nasadowe, skład kości i szwy na czaszce wskazywały, że mamy do czynienia z nastolatką rasy białej kaukaskiej od trzynastego do szesnastego roku życia, jeszcze nie w pełni wyrosniętą. Szkielet miał żeńską budowę miednicy. Większość znalezionych fragmentów tkaniny odpowiadała opisowi ubrania Jasmine, chociaż nie w stu procentach. Nie uległo wątpliwości, że śledztwo dotyczy morderstwa. Nie wpadła do studni, została tam wrzucona po śmierci. Uderzenie tępym narzędziem w głowę. W dodatku niedawno ktoś usiłował zniszczyć dowody.

— Nie mogę uwierzyć, że leżała tam cały ten czas — odezwała się Tina. — Po prostu nie rozumiem.

Gavras mówił, że osobiście nie będzie odgrywał głównej roli w śledztwie — niebawem zjawi się wyższy rangą oficer, któremu przekaze sprawę. Tymczasem chciałby doprowadzić do końca śledztwa w sprawie innych niedawnych zająć. Był już blisko, oznajmił z uśmiechem.

Zwrócił się do mnie.

— I właśnie, panie Morris, mam jeszcze kilka pytań na temat pewnych nieścisłości, o których rozmawialiśmy w sobotę.

Skinąłem głową, niewzruszony. Wiedziałem, że ta chwila nadejdzie.

— Tak. Rozumiem.

— Może porozmawialibyśmy za kilka godzin w cztery oczy?

— Mnie to odpowiada.

Patrzył na mnie przez chwilę i również skinął głową. Przenosząc uwagę na Alice, powiedział, że Yvonne jest w „stanie skrajnego poruszenia”. Wezwano lekarza, który jedzie z Trigaki. Ale Yvonne chciała koniecznie porozmawiać przedtem z Alice. Spojrzenia moje i Tyny spotkały się.

— Ciekawe.

— Dlatego udzielam pani zgody — ciągnął Gavras — na odwiedzenie jej w hotelu. Zastanie tam pani jednego z moich kolegów.

Alice wstała.

— Już jadę. — Wzięła ze stołu kluczyki. — Tina, dopilnujesz, żeby dzieciom nie brakowało, kiedy się zbudzą? Nie miałam czasu spokojnie z nimi porozmawiać. Andrew, powinniśmy zacząć przygotowywać komunikat dla prasy. Informacja przedostanie się do nich, tak? Musimy uprzedzić fakty.

— Odprowadzę cię do auta — powiedziałem.

Po drodze objąłem ją i poczułem, jak się trzęsie.

Otworzyłem jej drzwi, usiadła za kierownicą. Obszedłem samochód od przodu i przysiadłem się do niej.

— Ja też pojadę. Tylko do wsi. Miło będzie wyrwać się choć na chwilę.

Popatrzyła na mnie.

— Dobrze. — Włączyła silnik. Wnętrze wypełniła muzyka z lat osiemdziesiątych. Tracey Thorn śpiewała o tym, że o wiele bezpieczniej jest się załamać i popłakać. Alice nastawiła klimatyzację na maksimum — podmuchy rozgrzanego powietrza — i obróciła auto. Angelo, młody, przystojny policjant, stał przy wjeździe na podwórko. Alice opuściła szybę.

— Porucznik Gavras powiedział, że mogę jechać do miasta.

— Pani tak. Ale on... — pokazał na mnie ruchem brody — musi zostać.

— Na pewno nic się nie stanie — przekonywała Alice. — Niedługo wrócimy.

Funkcjonariusz pokręcił głową. Nie poruszałem się, za to Alice przechyliła się nade mną. Powiew kwiatu pomarańczy i figi; nuta chloru. Pociągnęła za klamkę i uchyliła drzwi od strony pasażera na tyle, na ile mogła.

— Może lepiej posłuchasz.

— Naprawdę?

— Tak. — Ucałowała mnie w policzek. — Zaraz wracam.

Angelo przeszedł na moją stronę i szeroko otworzył drzwi. Wysiadłem, unosząc rękę w ironicznym geście kapitulacji. Drzwi zamknęły się za mną i usłyszałem, jak policjant uderza ręką w dach. Silnik zaskoczył i Alice powoli ruszyła. Patrzyłem, jak auto podskakuje na podjeździe, potem odwróciłem się i szybko obszedłem dom, kierując się do swojej palarni. Słyszałem, jak w domu Andrew rozmawia przez telefon — nadęty prawnik.

— ...należałoby zweryfikować podstawy...

Zapałem, w nadziei, że nikt mnie nie widzi. Byłem nieco skrepowany, że muszę tu tkwić jak w matni, znudzony. Nic więcej.

Andrew wyszedł ze swojego pokoju, wsuwając telefon do tylnej kieszeni. Z początku mnie nie zobaczył, ale rozejrzał się, wysuwając podbródek, jego oczy rozszerzyły się i podszedł do mnie.

— Paul — zagaił, siadając na ławce — zdawało mi się, że pojechałeś z Alice.

— Wygląda na to, że tylko ona może się stąd ruszać.

Wolno, ostrożnie kiwnął głową.

— Hm. To nudne, wiem. Niektóre sprawy po prostu nie chcą się skończyć.

— Nie rozumiem, dlaczego on ciągle chce rozmawiać ze mną o gwałcie na tej biedaczce.

— Tak się nieszczęśliwie składa, że doszło do niego wieczorem w dniu, w którym przyjechałeś do Stefanos.

— To zwykły zbieg okoliczności.

— Zwróć uwagę — zaśmiał się — że nie powiedziałem „wieczorem w dniu, w którym przyjechałeś do Pyros”.

— Drobne nieporozumienie — stwierdziłem, uważnie przyglądając się Andrew. — Wyjaśnię to w czasie rozmowy z Gavrasem.

Strzepnął z szortów jakiś niewidoczny pyłek.

— To oczywiście nieporozumienie, ale rozumiesz, dlaczego Gavras może skojarzyć te fakty. Policjanci tacy już są.

— Na szczęście wtedy wieczorem siedziałem tutaj w domu. Nawet nie zbliżyłem się do Stefanos. Mam alibi. Była ze mną Alice.

— Wydaje mi się, że Gavrasowi chodzi o to, że bynajmniej nie masz alibi? — Przeszedł na wznoszącą intonację swoich dzieci, która sprawiała, że w ich ustach twierdzenia brzmiały jak pytania. — Tak się fatalnie składa, że nie była z tobą? Bo była ze mną?

Wysunąłem z paczki kolejnego papierosa, chociaż nie zapaliłem go, a tylko obracałem w palcach.

— Tak — powiedziałem ostrożnie. — Wiem. Przywieźliście Louisa znad zatoki, później od wszystkich innych... — Wzruszyłem lekko ramionami. — To znaczy później, niż to wiadome Gavrasowi. Mam nadzieję, że nie będzie się przy tym upierał, bo naprawdę wolałbym nie wchodzić tu w szczegóły.

— Tak. — Odczekał chwilę, gładząc rzeźbione drewno ławki między nami. — Moim zdaniem nie musi wiedzieć, że Louis był we wsi. A ty jak sądzisz?

— Nie chcę mu o tym mówić, ale w razie potrzeby powiem prawdę. Alice na pewno też tak zrobi, jeżeli uzna, że jestem w opałach. Ona mnie kocha. Stanie za mną.

Wciągnął podbródek.

— Za tobą, a przeciwko własnemu synowi? Wątpię.

Poczułem, jak coś podchodzi mi do gardła.

— Moim zdaniem on tego nie zrobił, mimo to powinien się przyznać. Alice na pewno też jest tego zdania. Nie wiem, dlaczego chciałbyś na nią wpłynąć.

— Nie, Paul. Nikt nie zmusi Louisa do niczego. Bądź realistą. Alice będzie za wszelką cenę chronić syna, a w tych okolicznościach ja postąpię podobnie.

— Ale prawda — to jest ważne.

— Prawda to dziwna rzecz, Paul. Każda jest subiektywna. Wszyscy mamy obowiązki. Czyż nie słyszeliśmy wszyscy, jak sugerujesz, że Louis potrzebuje stosunku seksualnego? Wydaje ci się, że chłopcy mu tego przekazali? I czy nie nazwałeś tych półnagich dziewcząt dziwkami czy też lolitkami? Umknęło mi dokładne określenie, jakiego użyłeś.

— A jeśli istnieje choćby cień podejrzenia, że Louis może być gwałcicielem?

— O, i znowu subiektywne określenie. Weźmy Florrie... — Mówił tak swobodnie, że nie sposób było się domyślać, ile w tych słowach kryje się emocji. — Moją siostrę. Zrobiłeś pewne założenia, na które ci pozwoliła, bo zdawało jej się, że jest zakochana.

— Co znowu za „założenia”?

— No, wiesz: że jest bardziej doświadczona niż w rzeczywistości, „chętna”, łatwa.

— Wątpię, żebym...

— Tak było, Paul. Była dziewczicą i miało to dla niej duże znaczenie. Bądź tak dobry i nie udawaj, że dla ciebie też miało.

Ścisnęło mnie w piersi. Czułem się zapędzony w kozi róg, z trudem łapałem oddech.

— Przepraszam — odezwałem się, niezdolny do spojrzenia mu w oczy.

Zacząłem szukać papierosów.

— Biorąc pod uwagę to, ile o niej myślałeś, można by to równie dobrze określić mianem gwałtu. Ani przez chwilę nie zastanowiłeś się nad szkodami, jakie być może wyrządzasz.

Uniosłem do ust papierosa, ale nie mogłem go już zapalić.

— Przepraszam — powtórzyłem. — Nie zdawałem sobie sprawy...

— Właśnie. — Czułem, że na mnie patrzy, lustruje mnie wzrokiem, i wołałem, żeby tego nie robił. — Ona cię kochała — dodał po chwili — w tym rzecz.

— Gdybym się był domyślał...

— Że tak bardzo jej zależy? Czy że popełni samobójstwo? — Wybuchnął śmiechem pozbawionym radości.

Zdołałem zapalić papierosa.

— To był błąd.

— Tak. Wszyscy je popełniamy. I czasami musimy żyć z konsekwencjami.

Wtedy wstałem i odszedłem, mało co widząc, mając przez sobą rozmazany świat. W pokoju usiadłem na łóżku. Nogi uginały się pode mną, serce waliło jak młot. Upał, leniwy, bezsensowny szum wiatraka. Ubrania wysypały się z torby. Książki — Dickens, Truman Capote, *Moby Dick* — leżały na ziemi. Torba z zakupami, którą przyniosłem tutaj przez pomyłkę. Włożyłem głowę między nogi i wykonałem parę głębokich oddechów. Ściany chyliły się w moją stronę. Nie mogłem zostać tutaj ani chwili dłużej. Musiałem się wydostać. Nie chciałem już nigdy patrzeć w oczy Andrew. Ani myśleć o Florrie. Musieć rozmawiać z Gavrasem, więc się tłumaczyć. Musiałem wydostać się z domu. Jeśli dotrę do wioski i odnajdę Alice wcześniej niż oni, gdy wszystko wyjaśnię i przeciągnę ją na swoją stronę, wtedy będzie w porządku. Ta cała Grecja — ona miała rację, to straszna pomyłka. Musiałem wrócić do Londynu, gdzie będziemy razem naprawdę, bez Andrew, bez Gavrasa, gdzie wszystko się ułoży. Właśnie. Tylko trzeba wszystko obmyślić. Wziąłem długi prysznic, intensywnie się zastanawiając. Wyszedłem, włożyłem płócienne spodnie, uprane, ale trochę zmięte, i dzinsową koszulę na guziki. Wsunąłem paszport i portfel do tylnej kieszeni, zabrałem *Z zimną krwią*.

Za oknem przemknął jakiś cień, zatrzymując się w pionowej szparze między żaluzjami. Usłyszałem chrząknięcie.

Otwarłem drzwi. Stał tam Angelo, przystojny policjant. Odsunął się.

— Okej? — odezwałem się.

Kiwnął głową.

Tina siedziała przy stole, czytając stary numer „Vogue’a”. Wysunąłem spod stołu

jedno z wiklinowych krzeseł i postawiłem je metr od niej.

— Alice nie wróciła? — zapytałem.

— Nie.

Bzyknęła mucha. Puszka coli leżała z boku na skraju klombu z kwiatami, unosiły się nad nią osy, aż jedna z nich usiadła i weszła do środka, trzęsąc odwłokiem. Tina westchnęła głęboko. Podniosłem głowę. U jej stóp leżały farby i akwarele. Dłubała przy paznokciach, potem ogryzała skórkę na kciuku, marszcząc czoło, jak gdyby było to ważne zadanie.

Trochę czytałem, potem ostrożnie odłożyłem książkę na ziemię.

— Przynieść ci coś? Filiżankę kawy? Szklankę wody?

Patrzyła na mnie chwilę, jakby potrzebowała czasu na zrozumienie sensu moich słów, i wreszcie powiedziała:

— Ach. Kawa. Tak. Jeśli już robisz.

Wstałem.

— A dla pana? — zwróciłem się do Angelo. — Kawa?

Rozstawił lekko nogi, zastygając w miejscu, i potrząsnął głową.

— Porucznik Gavras? Wie pan, gdzie on jest? Może miałby ochotę.

Policjant wzruszył ramionami. Przeszedłem przed dom i stanąłem na podwórku, rozglądając się. Ani śladu Gavrasa. Zszedłem kawałek podjazdem i wtedy go ujrzałem, w odległości około stu metrów. Stał plecami do mnie i rozmawiał przez telefon, kopiąc zeschnięte rośliny przy drodze.

Wróciłem tam, skąd przyszedłem.

— Nie mogę go znaleźć — rzuciłem.

W kuchni nalałem pełen czajnik wody i nasypałem kawy do kawiarki. Potem znowu wyszedłem.

— Andrew będzie miał ochotę, jak ci się zdaje?

— Nie wiem.

— A pana koledzy? — zwróciłem się do policjanta. — Zrobić im coś do picia? Tam musi być gorąco.

Sprawa miała wrażenie zdezorientowanego. Gestami pokazałem, że piję z filiżanki, i wskazałem w kierunku basenu. Wzruszył ramionami.

— Może wody? Mogę się przejść i zapytać.

Znów wzruszył ramionami.

— Dobra. Zajmę się tym.

— Może po prostu zanieziesz dzbanek? — zawołała Tina, ale ja już schodziłem po stopniach, po dwa naraz, pierś rozpierała adrenalina, w oczach wybuchały błyski światła i barw.

Potknąłem się na ostatnim schodku i upadłem na kolana. Wstałem, otrząsnąłem się i ostrożnie przebyłem kilka stopni dzielących mnie od tarasu nad basenem. Po drugiej stronie wody, wśród drzew na zboczu po prawej — gdzie zapuściłem się kilka dni temu — mignęło dwóch ludzi Gavrasa. Błysk białej koszuli. Schylona głowa. Jeden z mężczyzn przeszedł mały kawałek, potem zatrzymał się i coś powiedział. Drugi stęknął. Obaj stali plecami do mnie.

Z tej strony basen zabudowano podestem. Za nim zaczynał się raptowny spadek: skarpa rudej ziemi zarośnięta niskimi chaszczami, które kończyły się zwałami betonu, kamieni i cegieł: gruzu zostawionego przez budowniczych basenu. Musiałbym zejść tędy, nie zwracając na siebie uwagi, jeżeli chciałem przedostać się na leżące dalej pole.

Podszedłem do krawędzi i wolno zsunąłem się w dół na tyłku, podpierając się rękami. U podnóża stoku kucnąłem, nasłuchując, czy nikt nie ogłasza alarmu. Jak na razie w porządku. Ze spuszczoną głową, schylony najniżej, jak się dało, nie tyle biegłem, co przemieszczałem się skulony po kamienistym, porośniętym ostami podłożu, aż dotarłem do chaszczy, gdzie opadłem na kolana i czekałem. Przed sobą miałem stertę białych kamieni pozostałych po murze, zagłębienie terenu, rów, a za nim pole, na którym widziałem masyw zardzewiałej żółtej koparki z łyżką opartą jak łokieć na odwróconej ziemi. Na czoło i klatkę piersiową wystąpił mi pot. Czuję w gardle smak krwi. Ręce piekły w miejscu, gdzie podrapałem się o jakieś kolce. Cholera. Zostało mi niewiele czasu.

Wyjrzałem zza sterty kamieni, za którą się chowałem. W dali widać było przylądek, za którym leżało Agios Stefanos, i trójkąt ciemnoniebieskiego morza. Chętnie bym nieco odczekał, zlustrował ze swojego przyczółka pole, sprawdził, czy za grzbietem pagórka nie ma więcej ludzi Gavrasa, ale nie miałem czasu. Zarzuciłem nogę na kupę głazów. Obsunęły się pod moim ciężarem i stoczyły z łoskotem jak mała lawina. Otarłem sobie plecy, wskakując do rowu. Znalazłem się na skraju placu budowy, gdzie ziemię znaczyły głębokie koleiny. W odległości stu metrów stały zaczątki hotelu podobne do lądowiska kosmitów. Z jednego boku kupa piachu, z drugiego góra żwiru: przez chwilę zastanawiałem się, czy nie ukryć się w jednej z nich, pozwalając, żeby materiał się na mnie osypał, czekając, aż minie najgorętszy czas.

Nie. Obłąd. Ruszać się, tak brzmiała odpowiedź. Biegłem szybko, długimi susami, brzegiem pola, do bramy; dopiero tam zatrzymałem się i rozejrzałem po polnej drodze. Ani śladu Gavrasa. Być może wrócił już do domu; może mnie szukał.

Przegramoliłem się przez bramę i pobiegłem w stronę drogi głównej. Teraz liczyła się szybkość, znalezienie się jak najdalej od niego, od nich; otarte pięty, ból w piersi, ucieczka stamtąd.

Przystanąłem na skrzyżowaniu. Czy porzucić nadzieję odnalezienia Alice i skrócić w lewo, z dala od portu, w stronę względnie anonimowego Trigaki, a po drodze złapać okazję lub autobus? Dostać się jakoś na lotnisko? I wtedy przypomniała mi się jej twarz, skrzywienie ust, kiedy myślała, śmiech z najzwyklejszych czasami rzeczy, jakie mówiłem. Chwila wahania. Czy całe moje życie zawisło od tej chwili? Nie wiem. Można oszaleć, zastanawiając się.

Skręciłem w prawo. Szosa była tutaj szeroka, choć w miarę opadania zwężała się pod naporem gajów oliwnych z obu stron. Białe żar, czarny cień: szachownica. Zwolniłem, biegłem ryszotkiem. Nadjechał minibus z napisem „Klub Plażowy Delfinos” na boku, a ja odsunąłem się, jak tylko było można, by przejechał.

Dotarłem do zatoczki, gdzie autobus wysadził mnie pierwszego dnia, przy kapliczce, gdy usłyszałem nadjeżdżający za moimi plecami samochód. Skoczyłem za kapliczkę, kuląc się. Auto przejechało — smuga bieli i niebieskiego. Nadstawiłem



uszu — przyspieszenie, zwolnienie, świst i grzechot koła na drodze, kolejny wóz — a potem silnik zgasł. Trzaskanie drzwiami. Głosy.

Zastygłem w bezruchu. Pamiętam smak dłoni na wargach: sól, ziarna kawy, kurz. Motorower zbliżający się z drugiej strony, zjeżdżający na moją stronę. A potem odgłos kroków, więcej głosów, coraz bliżej.

Jak oszalały obróciłem się i pognałem w głąb zagajnika, gdzie czarna siatka była najgrubsza. Rzuciłem się na ziemię, przetoczyłem, ale stopa w coś się zaplątała, więc nakryłem się, czym tylko mogłem, i zaryłem twarzą w ziemię.

Starałem się leżeć bezgłośnie, czułem mdłości. Kroki na drodze, głosy — Gavrasa i innego mężczyzny, i Alice. Trzaskanie w krótkofalówce. Gavras: „Proszę wracać do domu, pani Macken-zie. Proszę zostawić sprawę w moich rękach. Znajdziemy go i sprowadzimy z powrotem. Wiem, dokąd się wybiera”. I płaczliwa odpowiedź Alice: „Proszę go znaleźć”. Ich głosy cichną, przepadają. Pojazdy wracają. Inny głos, głębszy, mówiący po grecku. Usłyszałem słowo „Trigaki”.

Oddychałem z trudem. Czułem ucisk w piersi, jak gdybym wciągnął w płuca ziemię. „Znajdziemy go i sprowadzimy z powrotem”. Drobne kamyki wbijały mi się w pierś i ramiona. Uniosłem nieco głowę, skupiłem wzrok na stosie zwiędłych kwiatów i czymś, co wyglądało jak czerwie. Nie, białe ogarki świec. Wilgotny zapach gleby i rozkładającej się roślinności. Zwróciłem uwagę na mikroskopijne poruszenia koło ucha, drganie miliona owadów — pajaków? żuków? Łaskotanie po twarzy. Mięśnie protestowały. Zmuszałem się do bezruchu.

Czas mijał. Światło zmieniało się, cienie przesuwaly. Lekki wietrzyk zamarł i nasilił się upał. Przejeżdżały kolejne pojazdy. Gdzieś w pobliżu kręciły się kury. Jakaś staruszka przeszła kilka kroków ode mnie. Minęła godzina, może dwie. „Proszę go znaleźć”. Czy w tym błaganiu była miłość? Nie wiedziałem. Nie zdążę się już dowiedzieć.

Kapitulacja była bardziej fizyczna niż psychiczna. Zdrętwiała mi prawa stopa. Zmieniła się w twardą bryłę, martwe ciało. Wyobraziłem sobie, jak leżę we własnym grobie. Wyrzucone kwiaty, niepotrzebne ogarki układały się w całość: odpady z kapliczki na skrzyżowaniu. Przestały być potrzebne i pozostawiono je tu, aby zgniły. Moja własna kapliczka zgnilizny.

Gdy próbowałem wstać, dopiero po chwili nogi zaczęły się poruszać, a krew krążyć w żyłach. Stopa była bezużyteczną pałką. Musiałem parę razy tupnąć, żeby odzyskać czucie. Wyłuskałem pestki oliwek, które utkwily mi w ramionach jak śrut, i ostrożnie zbliżyłem się do skraju zagajnika.

Rozejrzałem się po drodze. Pusta. „Trigaki” — powiedział Gavras. Przypuszczał, że tam się udałem. Kto przy zdrowych zmysłach ruszyłby tędy? Ze Stefanos nie było wyjścia. Przynajmniej drogą. Ale wodą? Pomyślałem o małych pomostach i łódkach rybackich, jachtach rozrywkowych, łodziach do wynajęcia. To było ryzykowne, ale mogłem tam dotrzeć w dziesięć minut, a po kolejnych pięciu odbić od brzegu i patrzeć, jak Agios Stefanos znika za rufą. Przejdę opłotkami, tak jak pierwszego dnia; mnóstwo zaułków, w których można się ukryć, i mogłem stanąć nad zatoką, nie przy supermarketach, ale na końcu, naprzeciwko głównego pontonu.

Ruszyłem równym truchtem, oszczędzając energię. Gdy dotarłem do białego domu

na rogu, staruszka siedziała na plastikowym krzeselku, a białe kury dziobały coś na zapuszczonym podwórku. Skręciłem w prawo, potykając się na nierównych stopniach w górę, a potem w dół, i bardzo szybko się zdyszałem. Dwa razy mało się nie przewróciłem, raz na wąsach rośliny, która wyrosła w szczelinie kamienia, a drugi raz o śpiącego kota. Miąłem kilka opuszczonych budynków ze złamanymi prętami w oknach. Czulem zapach pomarańczy, świeżego chleba i moczu. Tylko spokojnie, tylko spokojnie. Powtarzałem to jak mantrę, trzeźwość umysłu zachowując dzięki głosowi, który rozbrzmiewał gdzieś w myślach: „Nie zrobiłeś nic złego”.

Pasmo wody w odstępie między budowlami — miękki aksamit zarzucony na cumujące łodzie. Takty jakiejś muzyki. Kilka głosów. Środek popołudnia — niezbyt dużo ludzi. Dotarłem do rogu, gdzie dróżka się rozszerzała, i stanąłem oparty o ścianę. Czy powinienem przeczekać tutaj, czy uderzać prosto nad zatokę? Czy to bez sensu? Czy zostałem złapany w potrzask? Czulem, jak tracę wszelką pewność siebie. Czy już za późno na powrót? „Proszę go znaleźć” — w jej głosie z pewnością brzmiała troska. W głowie zaczęło pulsować. Opadłem na ziemię plecami do muru i wtedy dobiegły mnie tony muzyki, zniekształcone, unoszące się w górę. W tawernach puszczała europop. Oto buzuki, z początku wolne, coraz szybsze: *Grek Zorba*. Nadlatywało z wody. Rozległ się dźwięk syreny. Właśnie na niego nie zareagowałem dziesięć lat temu. Saffron wymagała ode mnie decyzji w sprawie tego, co stanie się „po powrocie”, mówiąc, że „pora się ustatkować”. Specjalnie spóźniłem się na statek.

Zbiegłem ostatnim ciągiem splekanych stopni na drogę dojazdową za Klubem 19 i zajrzałem w zaułek ku zatoce. Głosy i śmiechy brzmiały tu donośniej. Kilka łodzi rybackich stało przycumowanych do mola, a na końcu był duży galeon ze światłami rozwieszonymi na pustym olinowaniu. Grupa dziewczyn w opaskach na głowach i długich odblaskowych koszulkach szła w tamtą stronę; za nimi podążało paru opalonych chłopaków, wymachujących torbami z piwem. I wtedy zza rogu wynurzyło się czterech starszych mężczyzn pod czterdziestkę — wieczór paniński albo spotkanie absolwentów — z rozsądnie krótkimi fryzurami, w sportowych butach i skarpetkach. Odliczyłem do trzech i nonszalancko wyszedłem na uliczkę, a stamtąd na otwartą przestrzeń. Moment na widoku, gdy włoski na karku zaczęły stawać dęba, ale zaraz trzy dłuższe kroki i jestem już na pontonie. Woda połyskiwała w szczelinach między deskami; podest lekko się kołysał. Czulem drżenie czyichś kroków za mną, ale nie przyspieszałem, nie zwracając uwagi na przebiegające po plecach ciarki, na chęć, by się odwrócić i rzucić do ucieczki, wrzasnąć, aż w końcu dotarłem do łodzi.

Kolejka się przerzedziła i dwaj ostatni mężczyźni przede mną wchodzili na trap. Była to stuprocentowa imitacja okrętu pirackiego, lśniąca pomarańczowym pokostem, z ogromnym szpicem steru, ciasnym pokładem górnym i przestronnym dolnym, gdzie przy burcie umieszczono w kręgu siedzenia. Napis głosił: „Kapitan Jolly”. Większość miejsc była zajęta; ludzie przechylali się przez ścianę poziomą górnego: donośne śmiechy, pijackie wrzaski, brzęk butelek.

Czekałem, zapatrzony w przestrzeń, aż przyszła moja kolej. Poczulem uścisk mocnej ręki na łokciu. Podskoczyłem, podminowany. Był to kapitan — na koszulce miał napisane „Boss”.

— Bilet? — zapytał.

— Nie mam.

Wyprzedziłem go i znalazłem się na pokładzie: kadłub bujał, woda chlustała o drewno pod moimi nogami; czułem ulgę. Zapach wina i ryb. Głośny łomot i świst *Greka Zorby* w uszach. Silnik już drżał.

— Ale mogę zapłacić. Mam pieniądze.

Wyjąłem z portfela dziesięcioeurowy banknot Louisa. Facet, który przytrzymał mnie za rękę — miniaturowe szorty, czarna broda, czerwona twarz — pokręcił głową.

— Bilet trzeba kupić w Elcondzie — oznajmił.

— Mogę dopłacić, gdy dopłyniemy na miejsce. — Nie była to do końca prawda, ale takie wyjście dawało mi przynajmniej czas do namysłu. — Karta kredytowa! — Potrząsnął głową. — Ile potrzeba? — Rozejrzałem się. — Ktoś może mi pożyczyć?

Jakaś para idąca na miejsce przy burcie odwróciła się. Spojrzeli na mnie, a potem na wodę za moimi plecami.

— Proszę — powiedziałem. — Ktoś mi pomoże? — Uniosłem głos. — Oddam z procentem, jak tylko wylądujemy. Muszę tylko wydostać się z Agios Stefanos.

Jeśli brudne ubranie i zaniedbany wygląd nie odstraszyły tłumu, te słowa dokonały dzieła. Jeden z chłopaków, z butelką piwa w ręce, stanął, dla utrzymania równowagi szeroko rozstawiając nogi.

— Spadaj, kolego — powiedział. — Posłuchaj tego miłego pana i spierdalaj.

Kapitan złapał mnie w łokciu i wyprowadził z pokładu.

— Tylko za okazaniem biletu — mówił. — Tylko z biletem. Następnym razem kup bilet w Elcondzie. W obie strony.

— Proszę.

Ale odwiązał już cumę, wskoczył na pokład i wciągnął pomost. Silnik zawarczał, zakrzuszył się, woda zawirowała, odstęp między statkiem a pontonem rósł. Krzyki z kabiny. Boss coś odkrzyknął. Lina opadła, silnik zaczął mleć wodę i łódź odpłynęła.

Nogi ugięły się pode mną i usiadłem na krawędzi pontonu. Jeszcze czułem na przedramieniu dotyk kciuka tego kutasa. Nozdrza napełniał odór paliwa i zdechłej ryby. Patrzyłem na plamę oleju, rozszerzającą się na zmąconej wodzie. Powinienem znów się gdzieś zaszyć, nasłuchiwać, czy nie odpływa kolejny statek.

Lecz póki co nie byłem w stanie ruszyć się z miejsca. „Kapitan Jolly” wycofał na wody zatoki i skręcał na wyższych obrotach silnika, a lampy na olinowaniu łopotały. Siedziałem i patrzyłem, jak pruje w kierunku cypla, mija tę jebaną skałę Sereny i przepada.

Wstałem, nachyliłem się, żeby strzepnąć brudną wodę ze spodni, i odwróciłem się.

Na drugim końcu mola stał mężczyzna z ręką w tylnej kieszeni spodni. Widziałem zagłębienia w jego twarzy, cienie pod oczami i szparę w zębach, kiedy się uśmiechnął.

Postąpił krok. Andrew: osoba, której — jak zdałem sobie sprawę — bałem się najbardziej na świecie.

## Rozdział 20

Wsadził mnie na tylne siedzenie — to zabolalo — i pojechał wzdłuż zatoki, a potem przez wieś.

— Wiedziałem, że tu będziesz — zagał. — Gavras i wszyscy inni byli przekonani, że skierujesz się do Trigaki i złapiesz okazję na lotnisko. Ale pamiętasz, powiedziałaś mi.

— Co?

— Że znajdziesz statek, uciekniesz morzem.

Zauważył moje spojrzenie w lusterku wstecznym i postukał się palcem w czoło.

Gdy dotarliśmy do Domu Kirke, wysiadł i rozciągnął mięśnie pleców, pokazując, jaki jest wolny, jaką ma władzę — a potem mnie wypuścił, przeprowadził na tył domu i wepchnął do swojego pokoju. Zamknął drzwi na klucz i sobie poszedł.

Zacząłem walić w szklane drzwi na taras.

— Tina! — krzyczałem. — Alice. — Siliłem się na lekkość tonu, chciałem ukryć popłoch. — Pomocy! Ratunku!

Przez całą wieczność nikt się nie zjawiał. Siadłem na brzegu łóżka. W pomieszczeniu panował nieskazitelny porządek — nawet biżuteria Tiny wisiała równo nad lusterkiem. W końcu rozległo się pukanie do wewnętrznych drzwi, wychodzących na salon, i otworzyła je Alice. Weszła, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

— Paul — zaczęła — co się do diabła dzieje?

Miała na sobie jedwabną sukienkę, która opinała piersi, włosy związała w koński ogon. Wyciągnąłem ręce.

— Andrew trzyma mnie, kurwa, w więzieniu. Zachowuje się tak, jakbym był niebezpieczny, jakbym miał kogoś zabić albo coś w tym stylu. Chociaż ze złości mógłbym zabić jego.

Odsunęła się.

— Głupi jestem — oświadczyłem, starając się uspokoić. — Wiem o tym. Niepotrzebnie uciekłem. To było idiotyczne.

— Tak, to prawda. — Zmarszczyła czoło. — I teraz wszyscy zachowują się tak, jakbyś to ty... Sama nie wiem. Ale skąd przyszedł ci do głowy taki pomysł? Po co uciekałeś?

Co miałem powiedzieć? Że wydawało mi się, iż Andrew albo Gavras, albo obydwaj naraz, chcą mnie zrobić? Czy prawdę — że rzeczywiście po prostu uciekałem? Tak postąpiłem z Florrie i Saffron, i ze wszystkimi innymi kobietami. Że dlatego mieszkam w cudzym mieszkaniu, na czyjś koszt, że zmieniam prace i związki jak rękawiczki, przekonany, że dopóki jestem w ruchu, nic nigdy nie jest moją winą?

Znow usiadłem na brzegu łóżka i patrzyłem na własne dłonie.

— Nie wiem. Boję się Andrew. Wygadywał przedtem jakieś dziwactwa na temat gwałtu, jak gdybym mógł mieć z tym cokolwiek wspólnego. A potem gonił mnie po wsi, przywiózł tutaj i zamknął jak bandytę...

— Nie wygłupiaj się. Jeśli nie masz nic do ukrycia, nie masz powodów do obaw. Nikt nie ma zamiaru cię wrabiać ani czegokolwiek zmyślać.

— Chyba wiem, w czym rzecz. Andrew nienawidzi mnie z powodu Florrie.

Krzyczał na mnie, twierdząc, że ją zabiłem. — Przyłożyłem rękę do serca i popatrzyłem na nią. — Nie wiedziałem, że jest taka wrażliwa; oczywiście żałuję swoich postępów. Nie potraktowałbym jej w ten sposób, gdybym wiedział. Ale nie popełniła samobójstwa z mojego powodu.

Alice uśmiechnęła się półgębkiem. Zdjęła znad lusterka naszyjnik i opuściła go między palcami. Nie patrzyła na mnie.

— Nie myślisz tak, prawda? To niemożliwe, tak?

Zwinęła naszyjnik w dłoni i zapytała obojętnie:

— Czego ode mnie chcesz? Żebym skłamała?

— Nie. Chcę prawdy.

— W takim razie tak, uważam, że jesteś winny.

— Alice...

Rzuciła naszyjnik na komodę i odwróciła się do mnie.

— Przecież wiedziałeś, że jest wrażliwa. Powiedziałam ci o tym. Na jej urodzinach. Przestrzegłam cię wtedy, gdy ona za tobą szalała. Nie pamiętasz? W ogrodzie. Znalazłam cię przy barze i ochrzaniłam. Błagałam, żebyś się nią zaopiekował albo dał jej spokój. Popatrzyłam ci w oczy. Zapowiedziałam, że cię zabiję, jeśli zrobisz jej krzywdę.

— Co miałaś na sobie?

— Na litość boską, Paul. Jak możesz zadawać takie pytanie? Nie wiem. Czarną sukienkę. Byłam wtedy grubsza i miałam więcej krost. Prawdopodobnie nie popisywałam się dekoltem. Dlatego nic nie pamiętasz — nie masz żadnych skojarzeń seksualnych. Jezus, gdybyś zwrócił na mnie uwagę i ze mną poszedł, i porzucił ją wtedy, a nie dwa tygodnie później, gdy było już za późno, kiedy się z nią przespałeś i dałeś jej odczuć, że jest nic niewarta.

I teraz zacząłem sobie przypominać. Niska, gruba dziewczyna przy barze, krzyżąca na mnie. Ale Florrie na pewno czeka na drinka, a koledzy podśmiewają się po kątach, gdy jakoś się wywijam. Gdybym wiedział, że to Alice, wiedział to, co wiem teraz. Ale nie wiedziałem; kobieta była przeciętna, w niczym niepodobna do tej stojącej tutaj.

Znów wyciągnąłem ręce, tak bardzo chciałem, żeby się przybliżyła.

— Przepraszam, Alice. Naprawdę. Gdybym mógł cofnąć czas... Byłem młody. Tak niedojrzały. Wyrządziłem dużo szkód, wiem o tym. Ale to nie powód, żeby traktować mnie jak bandytę.

Alice zawahała się, potem usiadła przy mnie. Ton jej głosu stał się spokojniejszy.

— Tamtego wieczoru u Giorgia dziesięć lat temu wygadywałeś okropieństwa. Sądzę, że właśnie dlatego Andrew jest taki zły. Pobyt tutaj prawdopodobnie o wszystkim mu przypomniał.

— Co za okropieństwa?

— Pytałeś o Florrie.

— Skąd miałem wiedzieć, że nie żyje? Nie można mi mieć za złe tego, że nie wiedziałem.

— Paul. — Ujęła rękami moją głowę, by móc mi patrzeć w oczy. — Mówiłeś: „Co tam u siostrzyczki? Ciągłe czeka na faceta, którego można złapać? Ciągłe martwa od szyi w dół?”. — Puściła mnie, jakby dość się już napatrzyła. — Nigdy tego nie zapomnę.

— Przepraszam. Coś ze mną jest nie tak. Tak mi przykro. Proszę.

— Siedzieliśmy tam sobie i z całych sił udawaliśmy, że wszystko jest w porządku, niedługo po śmierci Harry’ego. Byłam w proszku. Andrew starał się, jak mógł, żebym miło spędzała urlop. I nagle ty wchodzisz i wypełniasz sobą restaurację — taki niekulturalny gbur. Nie miałeś pojęcia, co zrobiłeś. Ile zadałeś cierpienia. Niczego się nie domyślałeś. Nigdy tego nie czułeś. Przede wszystkim dlatego musiałam uciec. Niepotrzebnie piłam. Nie powinnam była prowadzić. — Jęknęła. — Nigdy tego nie czułeś — powtórzyła. — Po prostu uszło ci płazem.

Wzięłam jej dłoń, przyciągnąłem do ust i usiłowałem tam przytrzymać. Oczy napełniły mi się łzami. Mówiłem:

— Przepraszam. Przepraszam. Zmienię się. Już to czuję — ale wyrwała rękę, kręcąc głową.

— Pozostali pojechali do portu, ale jest tutaj Gavras. Kazał mi cię przyprowadzić. Czeka na zewnątrz.

Zmierzchało. Gavras siedział sam na tarasie. Komary fruwały w świetle padającym z kuchni.

— O, pan Morris — powiedział na nasz widok. — Słyszałem, że chciał się pan dzisiaj pospiesznie oddalić. Można by pomyśleć, że chciał pan uniknąć pytań. Ale może po prostu znudziło się panu nasze towarzystwo? W każdym razie dzisiejszy dzień okazał się bardzo ciekawy i przyniósł wiele rewelacji. Wdzięczny jestem panu Hopkinsowi za zadbanie o pański powrót.

Usiadłem naprzeciw niego.

— Proszę pana. Przejdźmy do rzeczy. Odpowiem na wszystkie pytania. Będę mówił prawdę. — Popatrzyłem błagalnie na Alice, która stała przy drzwiach do kuchni. — Chcę wyjaśnić całą sytuację.

— Tak, lubię takie ujęcie sprawy — powiedział Gavras.

Na stole przed nim leżała skórzana teczka, z której ostrożnie wyjął folder A4. Położył go sobie na kolanach, wyciągnął z niego jakąś fotografię i położył przede mną na stole.

— Ta kobieta. Czy zna ją pan?

To była ta dziewczyna z Newcastle, Laura Cratchet. Zdjęcie zrobiono na tle białej ściany. Pełne usta, oczy naturalne, bez dużych ilości cienia.

— Tak, znam. To Laura Cratchet.

— A kiedy się poznaliście?

— Jechaliśmy jednym autobusem, ale nie rozmawialiśmy. Nasze spojrzenia się spotkały.

— Wasze spojrzenia się spotkały? To znaczy zainteresowaliście się sobą?

— Nie. Nie to mam na myśli. Uśmiechnęliśmy się, nic więcej. Nie pamiętam dlaczego.

— Czy mrugnął pan do niej okiem w sposób wyrażający aluzje seksualne?

— Nie.

— Ale wsiadł pan za nią do autobusu po zapoznaniu się z nią wieczorem poprzedniego dnia, w Gwizdku na Świnię w Pyros, gdzie panna Cratchet, wedle jej

własnych słów, wesoło odrzuciła pańskie zaloty. Bardzo się pan upił i na koniec wieczoru trzeba było pana wyprowadzić z baru. Ale nie ustępował pan. Podśluchał pan ich rozmowę i wsiadł do tego samego autobusu na północ, którym ona i jej znajomi planowali pojechać.

Popatrzyłem na Alice i pokręciłem głową.

— Czyżbym pana z kimś mylił? — ciągnął Gavras. — Polegamy tutaj na słowie panny Cratchet — była ze mną przed kilku dniami w Klubie 19, gdy pan tam zaszedł. Ale możliwe, że pomyliła pana z kimś innym. W sumie prawdziwość pana zeznań zależy od tego, czy był pan w Pyros drugiego sierpnia, czy też — jak pan utrzymuje — przyleciał nazajutrz rano lotem linii Thomas Cook.

— Tak, skłamałem co do przylotu — mówiłem, starannie dobierając słowa. — Ale to nie jest tak, jak się zdaje. — Zwróciłem się do Alice: — Przepraszam. Chciałem ukryć przed tobą to, jaki jestem biedny. Wyszukałem najtańszy lot, jaki się dało, i byłem na wyspie tamtego dnia wieczorem.

Postąpiła krok w moją stronę, marszcząc czoło.

— A spotkanie z wydawcą?

— Zmyśłone.

— I umowa na książkę?

Wzruszyłem ramionami.

— Jeszcze jedno kłamstwo — stwierdził Gavras. — Zdaje się, że weszło to panu w krew.

— Ale jej nie śledziłem — odwróciłem się do niego. — Pierwszy wsiadłem do autobusu. Nawet nie mieszkała w Pyros, tylko w Elcondzie. Widziałem ją po kolacji, ale to zwykły zbieg okoliczności. I z pewnością nie czekałem na nią przed klubem. Wiesz o tym, Alice — wtedy wieczorem wróciliśmy razem do domu.

Uniosła brodę, ale milczała.

Gavras wyjmował z folderu następną fotografię, którą położył na zdjęciu Laury Cratchet.

— Czy to coś panu mówi?

Pochyliłem się nad fotografią. Było to zbliżenie na mały, zmarszczony przedmiot, złoty, leżący przy jakimś żwirze.

— Nie bardzo. Jakieś opakowanie.

— Ma pan przy sobie portfel, panie Morris?

— Tak.

— Czy miałby pan coś przeciwko podaniu mi go? Ma pan prawo odmówić.

— Nie ma sprawy. Nie mam nic do ukrycia.

Wyjąłem portfel z tylnej kieszeni i rzuciłem go na stół.

Otworzył go ostrożnie i z uśmiechem pokazał trzy złote prezerwatywy.

— To ciekawe. Zdjęcie przedstawia opakowanie po prezerwatywie znalezione w zaułku, w którym była napastowana panna Cratchet. Tej marki nie ma na greckim rynku. LifeStyles Skyn. — Skrzywił się. — Identyczne, nieotwarte prezerwatywy znajdujemy w pańskim portfelu.

— Nie są moje, tylko Andrew. To znaczy... zabrałem mu je z kosmetyczki. Dla

żartu.

Alice sapnęła cicho.

— Żartu? — Gavras machnął ręką, jakby odganiał niewidoczną muchę.

Wstałem.

— Proszę posłuchać. Nie zgwałciłem Laury Cratchet. Nie było takiej możliwości. Byłem tutaj, leżałem już w łóżku, gdy to się stało. Alice, powiedz mu. Byłem z tobą. Alice... — Odwróciłem się.

Stała zupełnie nieruchomo, z uniesioną głową, wstrzymując oddech.

— Alice, cały wieczór spędziłem w łóżku. Powiedz mu.

— Ale to nieprawda. — Cała zeszywniała.

Gavras wstał. Gdzieś w żołądku poczułem ukłucie strachu.

— Tak było — oświadczyłem. — Wstałem i... a, rozumiem, chodzi o Louisa. Powiedz mu prawdę. Tak trzeba.

Kąciki jej ust opadły. Palce kurczyły się i prostowały.

— Jaką prawdę?

Przyjrzałem jej się przez chwilę. Andrew się nie mylił. To jasne, że wybierze syna, a nie mnie. Która matka zrobiłaby inaczej? Czy znienawidzi mnie za powiedzenie prawdy? Nie miałem innego wyjścia. Zwróciłem się z powrotem do Gavrasa.

— W nocy wstałem i zobaczyłem, jak Alice i Andrew wyciągają jej syna, Louisa, z samochodu. Było wpół do drugiej lub jeszcze później.

— Nie wiem, o czym on mówi — ożywiła się Alice. Mówiła wolno i wyraźnie, splecione ręce trzymała przed sobą, jak gdyby już przygotowywała się do wystąpienia w sądzie. — Obudziłam się w środku nocy i zobaczyłam pana Morrisa stojącego na tarasie. Ubranego. Nie wiem, gdzie podziewał się cały wieczór. O ile mi wiadomo, nie położył się jeszcze do łóżka.

— Alice, czemu tak mówisz? Nie rób tego.

Wbijałem w nią błagalny wzrok. Ale w półmroku, ze światłem za plecami, jej twarz tonęła w cieniu.



## Rozdział 21

Gavras zawiózł mnie do budynku na obrzeżach Trigaki. Było już ciemno. Na zewnątrz skraj skarpy, wyschnięta fontanna; w środku betonowe słupy, sieć wąskich korytarzy. W pokoju stały tylko cuchnące wiadro i drewniana ławka, na której ległem bez ruchu, gapiąc się na komary błędzące po brudnoszarych ścianach.

Upał przygniatał, był nieznośny, duszny. Zabrali mi telefon i straciłem rachubę czasu. Blade światło w wysokim oknie. Talerz jedzenia — jakaś kiełbasa i kupa sflaczałej cukinii — stygł przy drzwiach. Moje wnętrzności stwardniały, obróciły się w krede, może glinę. Do tej pory wierzyłem w siłę uroku osobistego. Przez całe usłane różami życie oddał mi mnóstwo usług, ale zwietrzył. Wygląd, zręczne słówka, kłamstwa — wszystko na nic.

Rano niski, krępy urzędnik nieznający angielskiego zabrał mnie do innego pomieszczenia w tym samym budynku. Gavras czekał na mnie za masywnym, drewnianym biurkiem. Kobieta z mocnym makijażem i okularami nasuniętymi na czubek głowy siedziała przy znacznie mniejszym biurku w kącie. Na kolanie trzymała notatnik. W pokoju unosił się zapach sosny i potu. W wazonie z aksamitnymi kwiatami na parapecie zbierał się kurz.

Gdy usiadłem, Gavras pchnął ku mnie kartkę.

— To nakaz aresztowania.

Przekręciłem dokument, przyjrzałem się mu i odwróciłem z powrotem w jego stronę.

— Mogę zapoznać się z tłumaczeniem?

— W odpowiednim czasie dostanie pan tłumacza.

— Czy potrzebuję adwokata?

— Panie Morris, ma pan dużo szczęścia w postaci bardzo użytecznych przyjaciół.

Pan Hopkins zaofiarował się jako pana pełnomocnik procesowy.

— Nie chcę. Siedzę tutaj przez Andrew.

— Odrzuca pan pomoc pana Hopkinsa?

— Nie chcę oglądać pana Hopkinsa na oczy.

— Aha. Aletea, możesz odnotować, że pan Morris odrzuca oferowanego prawnika?

Roześmiałem się pusto.

— Specjalnie chce mnie pan sprowokować?

— Zapisz też, że pan Morris mnie obraża.

— Mógłby mnie pan zapoznać z moimi prawami? — zapytałem przez zaciśnięte zęby. — A może nie przysługują mi tutaj żadne prawa? Trzymał mnie pan zamkniętego przez całą noc. Jestem niewinny. Oni mnie wrobili. Trzeba zająć się Louisem, synem Alice. Ja nie zrobiłem nic złego.

Gavras bacznie mi się przyglądał.

— Dlaczego usiłował pan uciec, panie Morris?

— I tak pan nie zrozumie.

— Czy w związku ze znalezieniem ciała Jasmine Hurley?

— Nie. Nie wiem, o czym pan mówi. Nie.

— Nie ma pan obowiązku udzielania mi odpowiedzi. Milczenie nie może zostać wykorzystane przeciwko panu. To właśnie, panie Morris, jedno z pańskich praw.

Uśmiechnął się, po czym skinął na kobietę, żeby zanotowała każde słowo.

W innym pomieszczeniu zrobiono mi zdjęcie i wymaz DNA. Myślałem, czy nie odmówić, ale po co? I tak go sobie wezmą — wyrwą włos albo wydrapią brud spod paznokcia, gdy będę spał. Komenda robiła wrażenie na poły opuszczonej — szereg pustych pokoi, echo zamykających się drzwi, senne, apatyczne powietrze. Ale rozleniwienie tej policji, jej ociężałość były tylko pozorne. Znalazłem się pod strażą wilków.

W celi muchy bzyczały nad jedzeniem z wczoraj i obijały się o wąskie, wysoko umieszczone okno. Od świeżych ukąszeń komarów na szyi i kostkach wyskoczyły mi bąble. Słyszałem wycie silnika motocykla i ryczenie osła. Woda, którą przynieśli, miała kwaśny, chemiczny posmak. Położyłem się na drewnianej ławce, czując każdą kość w głowie, i nareszcie zasnąłem.

Zjadłem. Przynieśli mi świeże jedzenie, o ile w ogóle „świeże” to dobre słowo. Kawalek kościstej i tłustej baraniny w wodnistym sosie. Obok gotowany ziemniak i surowy pomidor. Byłem zbyt głodny, żeby sobie odmówić, choć obawiałem się o skutki dla żołądka. Wiadro pozostawione w kącie już śmierdziało.

Czas włókł się. Czuję, jak pokrywam się brudnym potem. Kilka razy waliłem w drzwi i po piątej próbie pojawiła się w nich szpara i oczy przysadzistego strażnika. Poruszył głową. Usta ułożyły się w kształt pytania: „E?”.

— Jak długo tu zostanę? Nie możecie trzymać mnie tu bez końca. Bez postawienia zarzutów. Na pewno minęły już dwadzieścia cztery godziny. Musicie mnie wypuścić.

Szpara została zasunięta.

Później, gdy się ściemniło, zacząłem znów uderzać, aż rozboleł mnie grzbiet dłoni. Nikt się nie zjawił.

Nie miałem powodu do narzekań, oznajmił mi spokojnie Gavras, gdy przyszedł po mnie nazajutrz. Trzydzieści sześć godzin to drobiazg. Mieli do tego pełne prawo. Powiniennem oszczędzać energię.

Coś w jego zachowaniu uległo zmianie, senność ustąpiła miejsca podnieceniu, swego rodzaju głodowi.

Zaprowadził mnie, trzymając mocno za łokieć, do pomieszczenia, gdzie przedstawiono mi nakaz. Kto inny siedział za biurkiem — większy mężczyzna w czarnym garniturze, bladej koszuli w paski i szerokim granatowym krawacie. Siwe włosy, czarne brwi: kolejny wilk. Był to przełożony, którego oczekiwał Gavras. Widać to było po nieznacznym, karnym skinieniu głowy, z którym Gavras wszedł do pokoju. Jednocześnie emanował od niego autorytet, swoista bezczelność: nisko opuszczony podbródek, zmrużone oczy. Mimo zwalistej sylwetki garnitur był zbyt szeroki w barach, a obrączka, którą obracał, luźno schodziła z palca. Być może ostatnio schudł.

Został mi przedstawiony ze stanowiska:

— Anakritis — oświadczył Gavras z lekkim skinieniem. — Jest sędzią śledczym. Gromadzi dowody.

— Rozumiem.

Gavras znów spytał, czy chciałbym adwokata. Odpowiedziałem, że nie, że bez sensu robi się zamieszanie wokół bzdury, że nie zrobiłem nic złego. Zasiadł obok kolegi i położył na stole przed sobą skórzaną teczkę. Kobieta w kącie położyła na stole obok niewielkie urządzenie do nagrywania. Ujęła notes i długopis.

Zapytałem, dlaczego mnie tu trzymają.

Długa chwila ciszy.

— Czy jest pan człowiekiem uczciwym, panie Morris? — Spojrzenie Gavrasa było niewzruszone.

— Mam taką nadzieję.

— Czy zwykle mówi pan prawdę?

— Teraz tak.

— I mówił pan prawdę, utrzymując, że zwiedził pan helladzką osadę w Okarcie — ruiny, które są zamknięte z powodu renowacji? I pojechał pan tam autobusem, który nie jeździ już w piątki?

Starłem się wytrzymać jego wzrok.

— Okej. Nie pojechałem do ruin autobusem. Szczere wytłumaczenie brzmi tak, że byłem na wakacjach z grupą ludzi, którzy mają dzieci. Po prostu potrzebowałem samotności.

— Czy mieszka pan pod adresem, który mi pan podał?

— Cóż, w tej chwili nie. Ale mieszkałem tam aż do... Jakie to ma właściwie znaczenie?

Uniosłem głos. Anakritis nie odezwał się do tej pory ani słowem, ale w tej chwili przemówił z nienagannym angielskim akcentem.

— Czy jest pan człowiekiem gwałtownym, panie Morris?

— Nie — oznajmiłem stanowczo. — Nie mam gwałtownej natury.

Oparłem się o krzesło, zerkając w stronę kobiety, która notowała. Patrzyła na mnie, ale spuściła głowę i wzięła się z powrotem do pisania.

— Gdy coś nie układa się po pana myśli? Gdy jest pan zmęczony. Gdy... — Udał, że pociąga z butelki. Nie przestawał się uśmiechać.

— Nie — powtórzyłem.

— A czy swoje apetyty opisałby pan jako normalne?

— Apetyty? Normalne? No tak, oczywiście, że tak bym je opisał. Moje „apetyty”, jak je pan nazywa, są normalne.

— Czy widział pan Laurę Cratchet przed Klubem 19 o godzinie pierwszej dwadzieścia w nocy z piątego na szóstego sierpnia i macał ją pan od tyłu? — spytał sędzia.

— Nie.

— Czy zaprowadził ją pan w zaułek pomiędzy Klubem 19 a sklepem jubilerskim Atena, przyparł do ściany i zdjął jej bieliznę?

— Nie.

— Czy założył pan prezerwatywę i zgwałcił ją, panie Morris?

— Nie. Z całą pewnością nie. Nie było mnie tam i nigdy bym... Nie.

Słyszałem dźwięk długopisu przyciskanego do notatnika kobiety, widziałem

kwadrat słonecznego blasku na podłodze, grubą warstwę kurzu na sztucznych kwiatach, muchę walącą o szybę.

— Czy chciałby pan przemyśleć swoją decyzję w sprawie adwokata, panie Morris?  
— odezwał się Gavras.

— Nie potrzebuję adwokata — burknąłem. — Nic nie zrobiłem. Nie było mnie tam i jestem całkowicie niewinny przestępstwa, o które mnie oskarżacie. W związku z czym nie mamy tu nic więcej do roboty i chciałbym, żebyście mnie panowie wypuścili.

Kobieta przewróciła kartkę w notesie. Uniosła długopis. Anakritis poprawił pasek spodni. Gavras złożył ręce, jak gdyby był w kościele. Wziął głęboki oddech.

— Tak więc, panie Morris, przejdźmy do innej sprawy.

— Jakiej znów sprawy?

Obdarzył mnie obojętnym spojrzeniem.

— Pani Hurley wspomniała wczoraj, w czasie pańskiej próby opuszczenia Agios Stefanos, że był pan we wsi przed dziesięciu laty. Miałem wrażenie, że to pana pierwsza wizyta na wyspie, ale okazuje się, że zawitał pan tutaj wieczorem dnia, w którym zaginęła jej córka.

Moje serce zaczęło walić jak młot.

— Yvonne to panu powiedziała? Że byłem we wsi?

— Naturalnie pragnie poruszyć niebo i ziemię.

— A może po prostu jest złośliwa — przyszło to panu do głowy? Nie jest tajemnicą, że byłem tamtej nocy w Stefanos. Lecz wyjechałem na długo przed dramatycznymi zdarzeniami. Andrew wsadził mnie do taksówki.

Wtedy przypomniało mi się określenie Alice: „władował cię do taksówki”. Okruchy: trzaśnięcie drzwi, wąska twarz Andrew widziana bokiem przez okno, klepięcie w dach, gdy pojazd ruszał, wirowanie świata, mdłości.

— Dwóch świadków widziało pana później w Stefanos — jeden z nich, Angielka, która mieszka obecnie w Epitarze, pamięta pana z Klubu 19.

— Jaka Angielka? Niki Stenhouse? Poznałem ją dopiero w środę. Wtedy nie wspominała, że się znamy.

— Drugi świadek, starsza mieszkanka wioski, pamięta, jak szedł pan wzgórzem w kierunku wejścia do obecnego ośrodka Delfinos, który wówczas nosił nazwę Apartamenty Plaża Barbati.

— Co? To nie ma sensu.

— W towarzystwie młodej dziewczyny.

— To absurdalne.

— Nie było z panem młodej dziewczyny?

Gorączkowo się zastanawiałem.

— Prawdą jest, że poznałem w klubie dziewczynę — chociaż o wiele wcześniej, po południu. Była Holenderką. Poszedłem do jej pokoju, ale wtedy nie było nawet ciemno. I proszę mnie nie pytać, jak się nazywała — zapomniałem, o ile w ogóle kiedykolwiek wiedziałem.

— A ta dziewczyna, ta Holenderka, ile miała lat?

— Nie wiem. Osiemnaście? Dziewiętnaście?

— A nie czternaście?

Żyła na moim karku zaczęła pulsować.

— To bez sensu. Czy na serio przesłuchujecie mnie w sprawie śmierci Jasmine? — Popatrzyłem na obu mężczyzn, usiłując znaleźć w ich twarzach jakąś szparę, jakiś znak, że to wszystko żart. — To szaleństwo.

Gavras popatrzył na notatki i nie unosząc głowy, spytał:

— Po co kupował pan wodorotlenek sodu?

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, o co chodzi w tym pytaniu.

— Do oliwek — odpowiedziałem w końcu.

— Jakich oliwek?

— Alice chciała zamarynować oliwki.

Policjant pokręcił głową.

— Po co miałyby marynować oliwki? Przecież nie ma oliwek. Nie uprawia ich.

— No, ale miała. Kupiła przez pomyłkę surowe i trzeba je było zamarynować.

— Kiedy to było?

— Czwartek? Piątek? Nie wiem.

— Czyli w tym tygodniu. Miała gości, dopiero co przyjechali Yvonne i Karl, zbliżała się rocznica zniknięcia Jasmine Hurley. Powinna mieć na głowie inne sprawy, a nie marynowanie oliwek.

— Prosiła, żebym kupił ług. Był na liście zakupów, którą mi dała. — Wzruszyłem ramionami. — Robiłem tylko to, co mi kazano.

Krótką naradę w języku greckim. Gavras otworzył skórzaną teczkę i wyjął zabezpieczony folią kawałek papieru.

— To ta lista?

Ksero pisma Alice, kawałek papieru ułożony pod kątem, rozmazany po brzegach.

— Uduka kurczaka, kotlety baranie, suszony makaron, feta...

Pamiętałem, jak to pisała, skupienie, skrzywienie przygryzanej dolnej wargi.

— Wodorotlenku sodu nie ma — stwierdził Gavras.

Głośne wołanie Tiny, jej obraz zmniejszony we wstecznym lusterku.

— Tina za mną wybiegła. Alice zapomniała zapisać. Spytajcie ją. Tinę. Jedną z nich wam powie.

— Butelkę ługu znaleziono w pana pokoju, panie Morris. Nie w kuchni razem z innymi zakupami.

— Nie pamiętam, gdzie ją położyłem.

— I na działce znaleziono jeszcze jedną pustą butelkę z pańskimi odciskami palców.

Wspomnienie przedarło się przez zamieszanie, zmęczenie i popłoch. Skinąłem głową.

— W szopie. Tak.

— Z pańskimi odciskami palców.

— Podparłem nią drzwi szopy, żeby się nie zamknęły.

Gavras zrobił minę i pokręcił głową, jakby usłyszał jakąś niedorzeczną wymówkę.

— Mówię prawdę.

Wtedy anakritis pochylił się do przodu, maksymalnie przysuwając się do mnie twarzą.

— Morderca Jasmine Hurley podejmował w ciągu ostatnich kilku dni próby dalszego zniszczenia dowodów przez wlewanie do studni wodorotlenku sodu, zwanego także ługiem.

— To nie ja. Na litość boską, nie ja. — Gorączkowo się zastanawiałem. — Artan. Gospodarz Alice. Rozmawialiście z nim? Bez przerwy kręci się po szopie. Był we wsi dziesięć lat temu. I jest nieprzyjemny. — Nachyliłem się. — Ma romans z Daisy. Córką Andrew Hopkinsa.

Gavras machnął ręką, zbywając plotki, które go nie interesowały.

— Idźmy dalej. Po ekshumacji przy zwłokach Jasmine Hurley odnaleziono rozmaite przedmioty. — Wyjął z teczki większą torebkę i szturchał w nią, obracając i rozdzielając zawartość, kilka obiektów w osobnych opakowaniach z tworzywa sztucznego. — Czy to coś panu przypomina, panie Morris?

W torebce, którą wyciągnął, znajdował się duży, zardzewiały klucz maszynowy.

— Tak — odpowiedziałem, wpatrując się w niego. — Już go kiedyś widziałem.

— Dziesięć lat temu, panie Morris?

— Nie, całkiem niedawno.

— Całkiem niedawno? Szczerze wątpię. Został odkryty w studni, panie Morris, razem z ciałem Jasmine.

— W takim razie to inny. Niedawno widziałem taki klucz, ale w szopie, pod maską toyoty.

— Co powiedziałby pan na informację, że czaszka Jasmine Hurley ma ślady pęknięć, które mogą być skutkiem uderzenia tego rodzaju narzędziem?

— Powiedziałbym, że nie wiem, o czym pan mówi.

— Co powiedziałby pan na informację, że klucz jest pokryty pańskimi odciskami palców?

— To nie ma sensu. Na pewno ktoś wrzucił do studni klucz z szopy. Nie wiem dlaczego. — Ręce zaczynały mi się trząść.

— Co gorsza, panie Morris — westchnął ciężko — pańskie DNA znaleziono również na tym.

Podniósł z podłogi kolejną torebkę z materiałami dowodowymi. Jej zawartość nie przypominała niczego konkretnego, była obca i dobrze znajoma jednocześnie: zwitek tkaniny, stara szmata, miejscami poczerniała, gdzie indziej szara, bledy ślad deseni w kwiatki. Już ją widziałem, niedawno, ale gdy teraz okazywano ją z takim szacunkiem, przypominało mi się, że zetknąłem się z nią także dawno temu, w innych okolicznościach. W innym kraju.

— Co to? — spytałem.

Gavras wydobył z siebie śmiech pozbawiony wesołości.

— Ależ, panie Morris. Proszę już przestać udawać.

— Nie wiem, co to jest.

Anakritis się nie śmiał.

— To chustka na głowę należąca do Jasmine Hurley, pokryta pańskim DNA,

również znaleziona przy jej zwłokach.

Przyjrzałem się bliżej. Plakat na latarni i ulotki na stole w kuchni Alice: bandana, którą miała na sobie Jasmine. Siedzenie furgonetki. Kluczyk, który się nie obracał. Kawałek starej szmaty, która pomogła mi go lepiej schwycić.

— To także było w pikapie. Wytarłem w nią rękę. Za jej pomocą przekręciłem kluczyk. Zapytajcie Alice. Prosiła, żebym zajął się autem. Żebym kupił ług. Nie wiem, jakim cudem klucz i chustka znalazły się w studni. Ale to nie ma ze mną nic wspólnego.

Dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia.

— Jestem zmęczony — powiedziałem. — To obłąd. Chcę wrócić do celi. Chcę adwokata. I chcę zobaczyć się z Alice. — Położyłem głowę na stole.

— Ależ, panie Morris. — Głos Gavrasa brzmiał jak syrop z melasy. — Tak dobrze panu szło.

Uniosłem głowę.

— Powiedzcie mi, co waszym zdaniem zrobiłem. Po prostu mi powiedzcie.

Anakritis wstał. Włożył koszulę w spodnie i skinął na kobietę w kącie. Przewróciła kartkę w notesie: szelest papieru, skrzypnięcie oprawy, rozciąganych nici. Gdy anakritis upewnił się, że jest gotowa, usiadł. Oznajmił:

— Wieczorem dnia dziesiątego sierpnia 2004 roku po przyplłynięciu z Elcondy oddalił się pan od swoich towarzyszy. Pan Andrew Hopkins dał panu pieniądze na taksówkę, które wydał pan jednak na alkohol w Klubie 19. Czy tak nie było?

— Nie... nie wiem — odparłem zdezorientowany.

— Wyszedł pan z klubu pijany, a po napotkaniu Jasmine Hurley, która szła z Apartamentów Plaża Barbati, nie był pan w stanie się opanować.

— To nieprawda.

— Zgwałcił ją pan, czyż nie?

— Czy Jasmine Hurley została zgwałcona? Czy macie na to dowody? To było jeszcze dziecko.

Pominał moje słowa milczeniem.

— I żeby nic nie powiedziała, zabił ją pan.

— Po prostu zmyśla pan na bieżąco.

— Następnie przeniósł pan jej ciało przez gaje oliwne, aż znalazł pan odpowiednie miejsce: studnię w lesie na granicy Domu Kirke. Tu ukrył pan Jasmine Hurley wraz z kluczem maszynowym, przy użyciu którego ją pan zabił.

— To kłamstwo. Nie zabiłem jej.

— Pańskie DNA jest na całej bandanie Jasmine i na narzędziu zbrodni znalezionych przy zwłokach. Jak pan to wytłumaczy?

— Nie potrafię, ale to tak nie było. To nie ja.

— Chciałbym w to uwierzyć. Ale do tego dochodzi jeszcze koszula.

— Koszula?

Gavras wyjął z torby następny kawałek papieru i obrócił go, żebym mógł się przypatrzeć.

Było to zdjęcie brudnego, porwanego ubrania: fioletowej koszulki z czarnym napisem „Niech Zeus zwali cię z nóg”.

Poczułem, jak jakiś potwór pełźnie mi przez żyły i zaciska szpony na sercu.

— Jest dość charakterystyczna, prawda? — spytał Gavras.

Przełknąłem ślinę. Tak strasznie zaschło mi w ustach.

— Mam taką. Ale to nie ta. Ja chodziłem w swojej niedawno.

Jego mina wyrażała niemal litość.

— DNA, panie Morris. — Wzruszył ramionami, wyciągając jedną rękę, jak gdyby chciał odmienić sytuację, gdyby tylko mógł.

— Nie wiem, jak znalazła się w studni, ale to pomyłka. Jakiś żart. Jeśli jest moja, nie mogła leżeć tam dziesięć lat. Włożyłem ją kilka tygodni temu w Londynie. Jeśli mnie wypuscicie, przyślę ją tutaj. Gdzieś ją zgubiłem, ale... — Potem jakby eksplozja pod czaszką, fajerwerk, wybuch nadziei. — Wystarczy spytać Alice. Widziała ją. Założyłem koszulkę dla niej. Parę tygodni... trzy, może cztery... przed przyjazdem tutaj.

— Zapytać Alice?

— Panią Mackenzie — spytajcie ją. Zadzwońcie do niej w tej chwili. Ona może wszystko wyjaśnić. Proszę.



## Rozdział 22

Po powrocie do celi zacząłem walić w drzwi i ją wzywać.

— Sprowadźcie Alice! Sprowadźcie Alice!

W ponurej nocnej ciszy stanąłem na ławce, spoglądając na kraty w wysokim okienku, i darłem się: „ALICE!”. Czy wydawało mi się, że prośby do niej dotrą, że moje słowa ulecą ponad wzgórzem, przekradną się pod drzwiami pokoju, w którym śpi, i wpelzną do jej ucha?

Gdy drzwi się otworzyły, nareszcie spałem — skrawek nieświadomości, ochryple gardło, zgięta szyja. W skrajnych warunkach ciało znajdzie odpoczynek w każdym miejscu: przekonałem się o tym.

Stała w progu, obok niej Gavras.

— Alice! — Wstałem z wysiłkiem. — Nareszcie. Dzięki Bogu, jesteś!

Zaciąłem się. Poszło częściowo o to, jak Gavras przesunął się minimalnie, żeby przepuścić ją tuż przy futrynie, bez zostawiania przerwy; jak zatrzaskał drzwi, gdy tylko znaleźli się oboje wewnątrz; jak się o nie oparł, przymykając powieki, niczego nie ujawniając. Po trosze o elegancję jej stroju podróżnego: czarnych spodni trzy czwarte, białej koszuli, swetra z miękkiej bawełny zawiązanego na ramionach, granatowych balerin. Czy całkowicie straciłem rachubę czasu? Czy to już niedziela? Jechała na samolot? Ale chodziło przede wszystkim o wyraz jej twarzy, pustkę w oczach. Miałem wrażenie, że serce przestanie mi bić.

— Paul — zaczęła. Trzymała w ręce mój tweedowy płaszcz. — Pomyślałam sobie, że to przyda ci się tam, dokąd pójdziesz.

— Alice — powiedziałem. Zrobiłem krok do przodu. Nie odbierałem płaszcza, więc położyła go na ziemi. Gavras wykonał gest oznaczający, że mam usiąść. Nie usłuchałem. Stałem. — Pomożesz mi, prawda? — odezwałem się w końcu. Wyciągnąłem rękę, usiłując jej dotknąć. Ale nie przysunęła się. Moja ręka opadła.

— Jak mam ci pomóc, Paul?

Czy Gavras powiedział coś, co nastawiło ją przeciwko mnie? Chciałem tylko, by zrozumiała.

— Alice — ściszyłem głos, mówiłem szybko, żeby nie mógł nadażyć. — Zmyślili to wszystko na mój temat. To sama nieprawda. — Spojrzałem na Gavrasa, który wzruszył ramionami. — Alice, proszę cię, wyjaśnij tylko, że nie mogłem mieć nic wspólnego ze śmiercią Jasmine. I z gwałtem. Sytuacja zrobiła się poważna. Musisz powiedzieć im prawdę

Stała zupełnie nieruchomo. Czy złagodzenie linii jej barków to tylko moja wyobraźnia?

— Co mam im powiedzieć, Paul?

— Zaczynając od Jasmine, opowiedz im o pikapie, koszulce, o ługu.

— O jakim ługu?

— Powiedz, że kazałaś mi kupić ług do konserwowania oliwek.

— Co to jest ług? — Zmarszczyła nos.

— Wodorotlenek sodu — włączył się z lekkim ukłonem Gavras.

Alice pokręciła głową, jakby nic z tego nie rozumiała.

— I że kazałaś mi naprawić pikapa — ciągnąłem. — Dlatego wszedłem do szopy, dlatego dotykałem klucza i bandany. Nie wiem, jakim cudem znalazły się w studni — ktoś musiał je tam wrzucić, żeby mnie wrobić.

Alice splotła ręce i ułożyła je na brzuchu. Jej oczy były puste.

— Gdybym chciała naprawić pikapa, dlaczego miałabym prosić ciebie?

— Bo wiedziałaś, że kiedyś pracowałem jako mechanik samochodowy.

— Naprawdę?

Wbijiała we mnie wzrok i otaczające mnie powietrze przemieniało się w lód.

— Przecież ci powiedziałem. Pamiętasz...?

— Prawdziwym mechanikiem? — zapytała.

Poczułem mroczną niepewność, drżenie na powierzchni skóry.

— Koszulka — cedziłem. — Ta z klubu nocnego Zeus, której nie znosiłaś. Możesz powiedzieć porucznikowi Gavrasowi, że przed kilkoma tygodniami włożyłem ją w Londynie? Widziałaś ją na mnie.

Pospiesznie oblizwała dolną wargę. Ciągłe zginając palce, potarła dłonie.

— Jaką koszulkę, Paul?

— Z klubu nocnego w Elcondzie. „Niech Zeus zwali cię z nóg”. — Widziałem, jak jej pierś porusza się wraz z powolnym wydechem.

— Którą miałaś na sobie w wieczór, gdy zaginęła Jasmine?

— Tak. Tak. Tę. Powiedz mu, że widziałaś ją na mnie w Londynie. Powiedz mu.

Obejrzała się przez ramię. Gavras przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, podniósł brodę.

— Włożyłem ją pod sweter i pokazałem ci w sypialni w Clapham — tamtego wieczoru. Przypomnij sobie. To był taki żart. „Zaraz zwalę cię z nóg”. — Ściszyłem głos. — Nie pamiętasz? Powiedziałaś, że jej nie cierpisz. Zerwałaś ją ze mnie. Kochaliśmy się.

Pokręciła głową.

— Alice. Ta koszulka. — Czułem, jak napręża się każde ścięgno mojej twarzy, świst powietrza przez zaciśnięte zęby. To była dla mnie ostatnia szansa, jej ostatnia szansa. — Dlaczego nie chcesz mu powiedzieć?

Gdy opadały jej kąciki ust i potrząsała głową, w moich piersiach rozwierała się przepaść.

Tylko Alice mogła zabrać moją koszulkę; tylko ona mogła ją wrzucić do studni.

Przypomniał mi się wyraz jej twarzy nad basenem, zanim dowiedzieliśmy się, co znalazł Gavras. Jak szybko się zerwała. Jak podobny do lęku wydawał się jej szok. Wszystko dlatego, że już wiedziała, że Jasmine tam jest. Spodziewała się tego od wielu dni, wsłuchując się w każde skrzypnięcie i obrót koparek i wiertła. Gdy zobaczyła Gavrasa stojącego w cieniu drzewa, wiedziała, co znalazł. Tylko czekała.

— Oj, Alice. — Siadłem gwałtownie na twardej ławce. — Ty wiesz, kto ją zabił.

Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. Jedna z balerin zsunęła się z jej stopy, nachyliła się, żeby ją poprawić. Skóra była miękka i zgięta w harmonijkę. Palce nie mogły trafić tam, gdzie należy.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Kryjesz kogoś, tak? Och, Alice. Tak samo jak kryjesz Louisa.

Zawahała się, popatrzyła w stronę Gavrasa, potem z powrotem na mnie. Nie miałem dużo czasu. Podjąłem:

— Czy to Yvonne? Czy Andrew? Jak możesz dopuścić, żeby myśleli, że to ja? Co ty wyprawiasz? Wiesz, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Jasmine.

Wahała się. Gavras otworzył drzwi i stanął w progu, dając znak ręką, żeby poszła za nim.

Trzęsły jej się ramiona. Wydało mi się, że płacze, ale tak nie było.

— Mogę zostać na chwilę sam na sam z panem Morrisem? — zapytała Gavrasa.

Naradzali się: ich szepty, potem odgłos zamykanych drzwi. Podeszła do ławki i kucnęła, przykładając wargi do mego ucha.

— Miałeś wiele wspólnego ze śmiercią Jasmine — oznajmiła.

Przysunęła się jeszcze bliżej, oparła się o mnie piersią, musnęła mnie policzkiem.

— U Giorgia w wieczór, gdy zginęła Jasmine.

— Nie rozumiem.

— Obrzydliwości, które plotłeś na temat Florrie. — Odchyliła się na piętach. Mówiła już spokojnie. — Jeżeli mówisz coś takiego, jeżeli jesteś tak okropnym człowiekiem, ma to swoje skutki, konsekwencje. Zaczynałam czuć się lepiej. Razem z Andrew nawiązaliśmy rozmowę z parą Francuzów. Na chwilę zapomniałam o smutku. I wtedy ty... TY. To było nie do zniesienia. Nie mogłam zostać tam ani chwili dłużej. Andrew błagał, żebym nie odchodziła, albo przynajmniej pozwoliła się odwiedzić, ale czułam taki przymus oddalenia się, znalezienia się na odludziu... Z dała od wszystkich ludzi. Nie... niepotrzebnie wsiadłam za kierownicę. Byłam pijana. Płakałam. Nie widziałam normalnie. Nie nadawałam się do prowadzenia auta. — Zaciskała zęby. — A wszystko to przez ciebie. Więc tak, to ty jesteś winien, ty miałeś coś wspólnego ze śmiercią Jasmine.

Długa chwila milczenia.

— Czujesz to? — zapytała. — Teraz to czujesz?

— Zabiłaś ją — stwierdziłem. — Zabiłaś Jasmine.

Przyglądała mi się, jak gdyby się zastanawiała, czy ma odpowiedzieć.

— To był wypadek — odparła niemal nonszalancko.

— Przez wszystkie te lata, dziesięć lat, siedziałaś przy Yvonne. Wiedziałaś, że jej córka nie żyje. Pozwalałaś jej cierpieć. Zdawało mi się, że wierzysz w prawdę i uczciwość. Że jesteś dobra.

Milczała. Jej plecy zeszywniały i wstała, rozciągając mięśnie nóg.

— Strażnik — zawołała.

Stałem naprzeciwko niej.

— A teraz wpuszczasz mnie w kanał. Mnie. Czy nasz związek nie ma żadnego znaczenia?

Popatrzyła mi prosto w oczy. Już nie szeptała, ale mówiła głosem cichym, tonem twardym i chłodnym, jakiego jeszcze nigdy u niej nie słyszałem.

— Oczywiście, że nie miał. Wydaje ci się, że coś do ciebie czułam? Musiałam znosić twoje niedorzecznie wygórowane pojęcie o własnej urodzie, twój snobizm

i pasożytowanie. Siłeś się na wstawki po francusku, rozpaczliwie zmyślaeś różne historyjki. Dlaczego miałby mnie interesować nieudacznik taki jak ty? Robiłam to wszystko dla Florrie, ale tak naprawdę to cię nienawidzę. Jesteś ohydną, egoistyczną, zadowoloną z siebie istotą ludzką. Zasługujesz na wszystko, co ci zrobiłam.

Tak bardzo mnie zatkało, że z trudem wydusiłem z siebie:

— Kochałem cię.

— To niemożliwe. — Przystawiła usta tak blisko moich, że już myślałem, że ma zamiar mnie pocałować. — Bo nie masz pojęcia, kim jestem. Nigdy nie chciało ci się dowiedzieć.

Przyjrzałem się jej twarzy, ściągniętym, wąskim policzkom, bladozielonym oczom, bliźnie zniekształcającej górną wargę. Przypomniał mi się orgazm, który osiągnęła w dniu znalezienia Jasmine: nie było to wyzwolenie seksualne, tylko ulga. Myślałem o swej czułości wobec niej, o tym, jak gładziłem jej mokre włosy, jak mocno tęskniłem nie tylko za byciem z nią, ale również za byciem nią, i czułem w żołądku skurcze.

Potem przewiązała sobie sweter na szyi, wyłożyła na niego klapy koszuli i odwróciła się do drzwi, do których zastukała.

— To jeszcze nie koniec — odezwałem się. — Kiedy wyjaśnię, co zrobiłaś...

Nawet nie raczyła ściszyć głosu.

— Jak sądzisz, komu ludzie uwierzą, Paul? Komu zawsze wierzyli? Tobie? Czy mnie?

Wtedy drzwi się otworzyły i zniknęła.

## PÓŹNIEJ

### Rozdział 23

Wieczorem przewieźli mnie z wyspy na ląd. Było okropnie gorąco, w policyjnym furgonie z przyciemnianymi szybami duszno, od nieustannych zakrętów dostawało się mdłości. Pamiętałem to z autobusu: hamowanie i przyspieszanie, grzechot, wielokrotne serpentyny. Tym razem nie spałem. W głowie, tak jak w żołądku, miałem mętlik. W czasie sześciogodzinnej przeprawy promem na Patras kilka razy wymiotowałem, najpierw w toalecie, ale potem było mi już tak niedobrze, że nie mogłem się ruszyć i zwracałem na siebie, na płaszcz, w ręce, przypięty do wartownika.

Gavras został na Pyros. Przed odjazdem zapowiedział, że przed rozpoczęciem procesu sądowego czeka mnie pobyt w areszcie, który mógł potrwać od sześciu miesięcy do roku. Postawiono mi oficjalne zarzuty zgwałcenia Laury Cratchet i zamordowania Jasmine Hurley, a na dokładkę w ostatniej chwili oskarżono jeszcze o napaść na trzecią kobietę, niejaką Gretę Muller, hipiskę z Epitary. Jako osobie groźnej dla otoczenia i znanej ze skłonności do ucieczki odmówiono mi wypuszczenia za kaucją. Sędzia śledczy przygotował akty oskarżenia. Jak na razie nie ma tłumaczeń, choć w Atenach to się poprawi. W opowieści Gavrasa Ateny jawiły się jako ziemia obiecana. Dostanę większą celę w towarzystwie innych przestępców. Odwiedzi mnie konsul brytyjski. Zostanie wyznaczony adwokat mówiący po angielsku. Pokręcił głową, na grubych wargach zagościł błądy uśmieszek.

— Wysłucha absurdalnych oskarżeń, jakie uparcie wysuwa pan przeciw pani Mackenzie, i udzieli panu odpowiedniej porady.

Przed wyjazdem pozwolono mi na jeden telefon. Michael odebrał w ogrodzie. Poznałem szemranie wody tryskającej z węża; warkot kosiarki gdzieś w oddali, wrzawę dzieci. Opowiedziałem mu o wszystkim, jak mogłem najkrócej. Słuchał, nie przerywając, nie komentował, spytał tylko, dokąd dokładnie mnie zabierają, i obiecał, że jutro wylatuje do Aten. Płakałem, rozłączając się. Wystarczył dźwięk jego głosu, świadomość, że jestem tak daleko od Beckenham. Letnie popołudnie w Anglii: chyba zdawałem już sobie sprawę, że nieprędko zobaczę coś takiego.

Prom dobił do Patras o świcie. Przez szparę w drzwiach furgonetki poczułem chłód porannego powietrza. Dostałem butelkę wody, która smakowała jak ciepły plastik, i paczuszkę suchych ciastek, ale nie dali mi czystych ubrań. Po jakiejś półgodzinie jazdy auto stanęło. Drzwi od tyłu otworzyły się i wepchnięto dwóch innych mężczyzn — umięśnionego blondyna w kamizelce i ciemnoskórego, żylastego. Siedzieli i gapili się na mnie z nieskrywaną wrogością, prawdopodobnie dlatego, że cuchnąłem rzygowinami. Było to moje pierwsze spotkanie z innymi kryminalistami, z nieustającą podejrzliwością, zagrożeniem, czającą się pod powierzchnią agresją. Teraz już się przyzwyczyłem. Wyuczyłem się własnych sposobów trzymania ich na odległość. Wtedy byłem jeszcze naiwny. Żylasty więzień miał papierosy. Widziałem zarys paczki w kieszeni jego koszulki. Byłem tak wygłodniały, że za pomocą języka migowego wymieniłem je na vansy.

Złożył klapki, które miał na nogach, i wepchnął je do tylnej kieszeni. Włożył vansy — o wiele za duże. Oddał mi jedną fajkę, nie całą paczkę, a gdy usiłowałem oponować, wykonał agresywny gest, wyciągając szyję i przystawiając twarz do mojej. Opadłem bosy na siedzenie i potem przestali już zwracać na mnie uwagę. Było mi wszystko jedno. Wyprany z wszelkich uczuć, świadomości własnego ja. Pozostały mi tylko próby pojęcia zdarzeń sprzed dziesięciu lat i z ostatnich sześciu miesięcy. Mogłem tylko analizować i układać w całość to, co się stało, w poszukiwaniu powodów i wyjaśnień.

Głowę miałem pełną Alice. Jej krzywy uśmiech, nawyk bawienia się włosami. Alice robiąca kolację, rozmawiająca przez telefon, w łóżku ze mną. Ta Alice zabiła Jasmine. Ta Alice, w której się zakochałem, kim ona była? Cały ten czas wiedziała, gdzie leży trup Jasmine, kłamała i ukrywała, i knuła. Było to trudne do wyobrażenia, a jednak ta jej twarz przy mojej w policyjnej celi — i niemal wypluwane słowa. Nie znałem jej. Nie miałem pojęcia, kim jest naprawdę. Tu miała rację — przypisałem jej cechy, których pragnąłem. I wszystko się zgadzało. Zabiła Jasmine, przejechała ją pikapem. Po pijaku. Wzburzona. A potem wpadła w popłoch, ukryła ciało w studni na skraju swojej działki. (Z Andrew czy bez niego?) I jak sprytnie potem włączyła się w poszukiwania, trzymała się blisko Yvonne i śledztwa. Czy z początku miało to trwać tylko jedną noc, by stać się tygodniem i miesiącem? Rozrosnąć się ponad oczekiwania? Zmienić w nałóg? Bite dziesięć lat? Szukanie Jasmine, bal, kolacje, zbieranie funduszy — dlaczego? Jak ujęła to Tina? Alice sama wszystkim kieruje. Jeśli nie siedzi za kierownicą, wypadki wymykają się spod kontroli. Musiał to być jej sposób na pokierowanie wszystkim, odwrócenie uwagi policji, zdominowanie Yvonne. Dzięki temu sprawy nie umarzano — a dlaczego miałyby to robić, jeżeli w głębi duszy nie pragnęła odnalezienia Jasmine? Koniec: ile razy użyła tego słowa? Ale dla biednej, pogrążonej w żałobie matki czy dla siebie samej?

Czy spotkanie ze mną na kolacji u Andrew było zbiegiem okoliczności? Skoro już nienawidziła mnie za Florrie i w swój pokrętny sposób obwiniła o śmierć Jasmine, czy dostrzegła szansę na wykorzystanie mnie, wrobienie mnie w morderstwo? Jeśli tak, zachowała się bardzo przebiegle. W trakcie przebudowy działki zwłoki musiały zostać odkryte. Potrzebny był podejrzany. Przypomniałem sobie, jak tamtego wieczoru czułem, że się do mnie zaleca, jak mi to pochlebiało. Wyszła do ogrodu, szukając mnie. Wysepiła papierosa, pierwszego i ostatniego w życiu, którym mała się nie udławiła. Ale sposób okazał się skuteczny. Zwróciłem na nią uwagę.

Cały czas wydawało mi się, że ją wykorzystuję, a to ona wykorzystywała mnie. Kusila obietnicą następnego etapu, ale nigdy jej nie spełniła. Zaproponowała wakacje w Domu Kirke, a potem się z tego wycofała. Same aluzje i odwlekanie, i trudno o konkrety. Zostałem zmanipulowany. Podniecał mnie pościg. Właśnie brak zaproszenia na Pyros sprawił, że tak bardzo zależało mi na przyjeździe. A kiedy już tu dotarłem, wpychała mnie do bagażnika minivana, dawała odczuć, że jestem piątym kołem u wozu, podczas gdy od początku byłem najważniejszą częścią. Cała zabawa i zasłony dymne, sztucznie podsycana histeria z powodu rzekomych „widzeń” Jasmine; myślałem, że jestem świadkiem cudzego dramatu, podczas gdy cały czas grałem główną rolę w jej przedstawieniu.

Jak pięknie to odegrałem. Każda z moich wad obróciła się na jej korzyść. Zarozumiałstwo, chciwość, potrzeba udowodnienia męskości, tendencja do popisywania się. Czerstwy podryw na koszulkę — musiało jej się to strasznie spodobać: koronny dowód, jakiego potrzebowała. I wpuszczenie mnie do pikapa, w którym pozostawiła klucz i chustkę na głowę: jak łatwo dałem się złapać, chcąc się jej przypodobać, pchany złudnym poczuciem, że może dam radę go naprawić. Cudownie nie doceniając własnej niekompetencji, grzebałem w aucie, zostawiłem DNA tam, gdzie go potrzebowała: na kluczu, na bawełnianej bandanie Jasmine — wystarczyło jedynie przenieść je do studni.

Na każdym kroku strzelałem sobie samobóje — lenistwo, tchórzostwo moralne. Gdybym nie skłamał w sprawie lotu; gdybym nie ukradł prezerwatyw. Nie powinienem był uciekać z Domu Kirke, ale stało się. Taki już jestem: uciekam. Obserwowała mnie, przygotowywała od samego początku, na każdym kroku wykorzystywała moje słabości. Złapała mnie na przynętę. Ale jak bardzo jej to ułatwiłem.

Furgonetka gwałtownie się zatrzymała. Tylne drzwi otworzono; w wąskim przejściu stał człowiek z bronią u boku. Za nim płaska budowla bez wyrazu o żółknących ścianach z zaciekami i wiele rzędów małych okien z kratami.

— Witamy w Korydallos, waszym nowym domu.

Wysiadłem, pozostawiając na siedzeniu tweedowy płaszcz.

## Rozdział 24

Piszę to nocą w celi — chciałem zanotować wszystko przed procesem na wypadek, gdyby nie poszło po mojej myśli. Czynność pisania stała się swoistą formą terapii. Rozjaśniła mi w głowie. Siedzę tu od piętnastu miesięcy. Wiecie, że jak czasami patrzy się wstecz na swoje życie, człowiek żałuje siebie, swojej naiwności i głupoty? Ja w każdym razie nie żałuję. Nie jestem już człowiekiem tego pokroju.

Jak na ironię odnalazłem nareszcie miejsce, które mogę nazywać swoim.

Zdarzało mi się mieszkać wygodniej, nie da się ukryć. Sześciu ludzi w celi, często więcej — zwłaszcza po zamieszkach z powodu cięć rządowych. Był czas, gdy jeden szczególnie podły handlarz narkotykami z Macedonii wyrzucił mnie na podłogę, ale przeniósł się już gdzie indziej i znowu mam własny materac. Do niewygodny fizycznej — otarć, czarnej skóry na palcach, w porach naskórka (nie ma ciepłej wody), lodowatego zimna, wszy, łuszczyca, blizn po zatargach i pobiciach — można się przyzwyczać. Najtrudniejsza jest presja psychiczna. Strach przed przemocą, przeraźliwa nuda, poczucie winy.

Sprawa rozpocznie się lada dzień. Andrea Karella, wyznaczona mi adwokatka, ma nadzieję, że staniemy przed sądem w ciągu kilku najbliższych tygodni, chociaż ten etap już przerabialiśmy. Zawsze jakaś zwłoka, zagubione dokumenty, niewytłumaczalna niedyspozycja świadka. Czasami nie mam pewności, czy jest warta swojego honorarium. A może jednocześnie płaci jej ktoś inny. Kiedy indziej jestem po prostu wdzięczny. Jest brzydką kobietą o ciężkim czole, ma słabość do ascetycznych, czarnych żakietów i zeskrobywania zarostu z twarzy. Nie maluje się, a w zeszłym tygodniu, gdy wzięła mnie za rękę, zauważyłem, że ogryza paznokcie. Ale jest dla mnie miła i dobra i ma piękne, kasztanowe oczy. Gdybym nie był przykuty kajdankami do krzesła, chętnie położyłbym jej głowę na kolanach. Boże, na samą myśl o czymś takim chce mi się płakać. Ożeniłbym się z nią, gdybym mógł.

Mój duch nie został złamany (takich wyrażen powinno się chyba używać w tego rodzaju pamiętnikach). Ciągłe liczę na wolność. W dwóch sprawach wystąpiły nowe, korzystne dla mnie okoliczności. Karella jest na przykład pewna, że zarzut fizycznej napaści na kobietę znaną nam jako Greta Muller nie zostanie nigdy wniesiony do sądu. Tak się dziwnie składa, że chociaż jesteśmy przekonani, iż to Alice namówiła ją do postawienia mi zarzutów, jest to jedyne przestępstwo, którego jestem w pewnym sensie winien. Rzeczywiście pchnąłem jej w twarz drzwi przyczepy i chociaż nie chciałem zrobić jej krzywdy, włożyłem w to pchnięcie siłę i agresję, chęć popisania się, z których nie jestem dumny. Karella twierdzi, że to nie ma znaczenia. Muller się miga. Nie ma jej już w Grecji; przebywa obecnie w Amsterdamie, gdzie bierze udział w festiwalu muzycznym pod nazwą „Puchar Marihuany”. Właściciel supermarketu w Stefanos rozpoznał w niej drobną złodziejkę. Nawet jeżeli wróci i będzie zeznawać przeciwko mnie, zdaniem Karelli jej wiarygodność została osłabiona przez „wybór trybu życia”. Proszę bardzo — tak jak cechy mojego charakteru szkodzą mi tam, gdzie jestem niewinny, jej cechy szkodzą jej w sytuacji, w której ponoszę winę.

To ja wymyśliłem to spotkanie. Jestem pewien, że Alice regularnie „widziała”



Jasmine, chcąc umocnić w sobie wiarę we własną niewinność, jaka musiała być zatem zbita z tropu, gdy ja uparłem się przy zbadaniu akurat tego przypadku. Ale szybko się przystosowała — przedstawiając mnie Niki Stenhouse, jednemu ze świadków mających zeznawać przeciw mnie. To jedno trzeba przyznać Alice, była bardzo pomysłowa i kreatywna. Nie mogła przewidzieć mojego ataku na Muller, choć potem go wykorzystała, tak samo jak wykorzystanie gwałtu nie mogło być elementem jej pierwotnego spisku przeciwko mnie. Potem wystarczyło tylko odebrać mi alibi i pozostawić całą resztę — kłamstwa, złodziejstwo, bezinteresowny seksizm zrobiły swoje. Ciągle nie wiem, czy to sprawka Louisa. W czasie pierwszego spotkania z Karellą, w pomieszczeniu bez okien w trzewiach więzienia, opowiedziałem, jak przywieźli go nieprzytomnego do domu i jak znalazłem prezerwatywy w kosmetyczce Andrew. Karella podeszła do tego ostrożnie. Wydaje mi się, że zakładała, iż zgwałciłem Laurę Cratchet, że to byłoby do mnie podobne. Mnóstwo ludzi nosi prezerwatywy, których nie używa — tłumaczyła — te w kosmetyczce Andrew mogły tam leżeć całe lata. Ale od tamtej pory zdarzyły się dwie ważne rzeczy. Prywatny detektyw wynajęty przez Michaela znalazł świadka, właściciela sklepu jubilerskiego w pobliżu Klubu 19, który pamięta, jak Alice i Andrew ładują Louisa do auta piętnaście po pierwszej w nocy — co pokazuje przynajmniej, że kłamała, twierdząc, że to ja nie spałem tamtej nocy. Michael też to i owo zrobił. To drobiazg, ale złote prezerwatywy LifeStyles Skyn, których nie kupi się w Grecji, sprzedają w Johnson and Co, małej aptece przy szkole Louisa. Z łatwością można je też dostać w oddziałach Bootsa i Superdrug, ale to pominiemy milczeniem.

Ani Alice, ani Andrew nie zareagowali jak dotąd na prośby Karelli o rozmowę na ten temat. Jej zdaniem wygląda to podejrzanie, „zwłaszcza że chodzi o kolegów po fachu, prawników”.

Interesująca jest rola Andrew. Długo się nad tym zastanawiałem. Okazuje się, że papiery Artana nie są w porządku, dzięki czemu bez konieczności nadużywania przemocy przyznał się prywatnemu detektywowi, że Andrew zapłacił mu za „pozbycie się” psa. Nie miało tu miejsca żadne nieporozumienie. To było zlecenie. Czy to lepiej, czy gorzej niż własnoręczne splamienie się krwią? Z pewnością gorzej. Bo co za człowiek mści się na psie? Jest także oczywiste, że Andrew pomógł Alice kryć Louisa. Ale w czym jeszcze maczał palce? Ich bliskość, język ich ciał. Wątpię, żeby romansowali. Było to coś głębszego i mroczniejszego. Pilnowali się — w strachu przed tym, co drugie może zdradzić. Wiedział o Jasmine. Jestem o tym przekonany. Pomógł Alice w ukryciu ciała, zachęcił ją do tego. Wyobrażałem sobie okropne uderzenie, jej bieg drogą w poszukiwaniu Andrew, który szedł właśnie sprawdzić, co się z nią dzieje. Na pewno namówił ją do zatajenia wszystkiego przed policją, powtarzał, że jest potrzebna dzieciom, że to nie jej wina. Doszedłem do wniosku, że to Andrew zmusił ją do zmiany tragicznego wypadku w poważne przestępstwo, do życia w kłamstwie.

Karella mówi, że przydałyby się jakieś dowody na istnienie romansu. Pytała, czy napiszę w tej sprawie do Tiny, ale sam nie wiem. Informację o Artanie i Daisy też zachowałem dla siebie. Tylko Tina była dla mnie naprawdę miła. Mimo wszystko nie chcę burzyć jej spokoju.

Sprawa jest w toku. Na bandanie, w którą wytarłem ręce, jest co prawda moje, ale

nie ma DNA Jasmine. Zdaniem prokuratury wyżarł je ług, ale Michael dowiedział się, że chustka wchodzi w skład „klasycznej” linii odzieży Cath Kidston. Twierdzimy, że oryginalna chustka nie została nigdy odnaleziona, a tę podrzucano później. Na kluczu maszynowym także brak DNA Jasmine. Zdaniem prokuratora wytarłem go. Lecz Karella znalazła lekarza sądowego, który zezna, że pęknięcia czaszki Jasmine mogą być także skutkiem zderzenia z samochodem, i biegłego gotowego pokazać, iż uszkodzenia przedniego zderzaka toyoty zgadzają się z tego rodzaju urazem. Karella pracuje nad podważeniem wiarygodności świadków. Niki Stenhouse, która widziała mnie w Agios Stefanos później tego samego wieczoru, jest znajomą Alice, a tym samym osobą nieobiektywną; natomiast staruszka, która widziała mnie z młodą dziewczyną, weszła ostatnio w posiadanie czterdziestocalowego telewizora z płaskim ekranem. Nasz detektyw jest pewien, że trzeba tylko ustalić dobrą cenę i jej pamięć zacznie szwankować. Jednocześnie ciągle usiłuje namierzyć holenderską turystkę, z którą uprawiałem seks tamtego wieczoru. Moje alibi. Gdybym tylko miał do niej numer. Gdybym znał jej imię.

Oskarżenie zasadza się na twierdzeniu, że zgwałciłem Jasmine i zabiłem ją, żeby nie puściła pary z ust. Jednak jej ciało wskutek rozkładu nie może stanowić materiału dowodowego, w związku z czym Gavras uzasadnił zarzuty moim charakterem. Stałem się głównym świadkiem oskarżenia. Jestem dosłownie swoim najgorszym wrogiem. A najwięcej szkód wyrządził opis moich wad moralnych sporządzony przez anakritisa.

Mówiąc szczerze, zwałił mnie z nóg. Nie spodziewałem się tego. Opisy mojego zachowania są przykre. Nic nie uszło uwagi. Rodziny Mackenzich i Hopkinsów zwały szeregi. Ich fundamentalny zarzut — że gdy dowiedziałem się o planach rozbudowy nieruchomości, „urobiłem” Alice, żeby mieć pretekst do powrotu do domu i zniszczenia dowodów — jest od rzeczy. Lecz nastawili przeciw mnie nawet Tinę, która dowie się teraz, jak potraktowałem Florrie. Spisali wszystkie moje kłamstwa — że mieszkam u matki, że od lat nie mam porządnej pracy, że wiecznie podaję nieprawdziwe miejsca pobytu. Twierdzą, że nie przebieram w środkach: oświadczenie od Hertza dowodzi, że prowadziłem minivana bez ubezpieczenia, że „bez skrupułów” łamię przepisy i zasady, uważając, że stoję ponad nimi. Że jestem „krętaczem”: nikt nie pamięta, żeby Alice albo Tina potrzebowały ługu. Alice podała też przykłady mojej „arogancji”, „obsesji” na punkcie pozycji społecznej i statusu. W opisie czytamy między innymi: „Utrzymywał, że dostał stypendium naukowe na naukę w szkole prywatnej, podczas gdy tak naprawdę było to stypendium socjalne, przyznawane biedniejszym uczniom, których rodzice pracowali w kościele”. Wielkie mi coś. Bardziej bolało coś takiego: „Kłamał w sprawie aukcji wydawnictw na jego najnowszą »powieść« i znacznie wyolbrzymia wcześniejsze sukcesy literackie. Utworu, o którym mówi jako o swoim »dziele« (to nieprawda — to określenie Andrew), *Notatek z życia*, sprzedało się jedynie 1500 egzemplarzy i nie jest on obecnie wznawiany. Lubi być uważany za ważną postać literacką. Niepokój budzi nieuczciwość połączona z wyolbrzymionym pojęciem o własnej inteligencji — coś, co psychologowie określają mianem »zaburzenia urojeniowego«”.

Andrew dołożył od siebie przykłady mojej nieuczciwości — nie tylko drobne sumy, które ukradłem w Domu Kirke, ale i świecznik Diptyque podwędzony u niego, pierwsze wydanie Martina Amisa (to był akurat prezent), które sprzedałem potem „na

wolnym rynku”, i prezent, który przynieśli z Tiną do Alice, zabrany przeze mnie i подарowany matce. Podzielili się informacjami. Tylko Alice wiedziała o Amisie; tylko Tina mogła przyłapać mnie na podprowadzaniu mydła.

Jeszcze bardziej bolesne są szczegóły dotyczące moich „apetytów seksualnych”. Phoebe opisała sytuacje, w których czuła się przy mnie „skrępowana”. Uwzględnia zdarzenie z puszką zimnej coli bez cukru, w trakcie którego, kiedy wpadliśmy do basenu, rzekomo „macałem” jej piersi, oraz liczne przypadki podglądania jej czy „rozbierania” wzrokiem, między innymi incydent z początków naszej znajomości, gdy przyglądałem jej się przez uchylone drzwi pokoju. Jednym z dowodów stała się komórka Andrew. W pierwszej chwili nie wiedziałem, o czym Karella mówi, ale potem przypomniałem sobie zdjęcie, na którym przypatruję się Daisy na plaży. Ciekawe, czy mają takich więcej.

Jedno ubodło mnie do żywego: dodatek od Tiny, w którym twierdzi, że próbowałem się do niej dobierać tego popołudnia, gdy zostaliśmy sami w domu. A nazajutrz byłem podobno „nieprzyjemnie spięty”. To chyba przesada. Chciałem być tylko miły.

Najpierw długo zastanawiałem się nad drobiazgami, które odmieniają życie. Gdyby nie deszcz, gdybym nie zaszedł do księgarni, gdyby nie odrzucenie przez dziewczynę za ladą... Lecz ostatnio uświadomiłem sobie, że to nie tylko przeznaczenie — choć ono także odgrywa pewną rolę, niczym tło. Człowiek obnaża się wskutek drobiazgów w swoim wnętrzu, tych wszystkich krzywizn i nierówności, i wad. Nocą z nową siłą czuję nienawiść Andrew. To spotkanie na Charing Cross Road nie było zbiegiem okoliczności. Wiedział, gdzie mnie szukać; zaplanował to. Gdyby nie natknął się na mnie tam, wpadlibyśmy na siebie gdzie indziej. I to nie przez niego, ale przeze mnie, przez mój brak serca dla Florrie. Było jedynie kwestią czasu, kiedy wskutek swego postępowania wpadnę w jakiś dołek. Biedna Florrie, słodka dziewczyna, która nigdy nie powinna mnie poznać, której zniszczyłem życie. Jednego się nauczyłem — bezmyślne okrucieństwo może wyrządzić długoterminowe szkody.

Ponoszę winę za jej śmierć, chociaż nie za śmierć, za którą wsadzono mnie tutaj.

Alice miała rację.

Świątobliwa Alice. Widziałem ją jeszcze raz przed wyjazdem z Pyros, po południu ostatniego dnia, gdy wytoczyłem się z posterunku policji prowadzony pod łokieć przez Gavrasa. Przebyliśmy niewielki plac w drodze do czekającej po drugiej stronie furgonetki i rozglądałem się rozpaczliwie, chłonąc każdy szczegół: oglądając plac, budynki i mur, kamienną fontannę, a za nią zbocze opadające ku dolinie. I oto one, stojące w cieniu przy niewielkiej fontannie, Alice i Yvonne Hurley, czekające na mnie. Szarą od żalu twarz Yvonne przeorały bruzdy. Alice ją podtrzymywała, lecz dostrzegłem w jej oczach wyraz grozy, popłochu. To ona robiła wrażenie schwytej w potrzask.

Zastanawiałem się potem, które z nas zafundowało sobie najgorsze piekło. Alice podpisała z diabłem cyrograf — dopuściła się okrucieństwa przemyślanego, nie przypadkowego. Tyle lat patrzyła, jak Yvonne żyje w nieświadomości, w najgorszego rodzaju mękach, jak sama często powtarzała. Teraz, oskarżając mnie, wpoila matce przekonanie, że jej dziecko zginęło nie w wypadku, tylko najgorszą możliwą śmiercią.

Gdyby nie to, być może nawet zrezygnowałbym z obrony i pogodził się z tym, co

mi szykują. Bo rzecz w tym, że pierwszy raz od lat zabrałem się do porządnego pisania. Słyszałem zdumiewające rzeczy, poznałem przedziwnych ludzi — czego to nie opowiedzą, jeśli tylko ich spytać. Tak że nie, nie żal mi siebie. Jestem innym człowiekiem. Dzięki temu przeżyciu stanę się może kimś.

## **Podziękowania**

Za bezcenną pomoc merytoryczną pragnę podziękować Benowi Thorne'owi, Andrew Watsonowi i Ruth -Bouratinos. Dziękuję redaktorce Ruth Tross i wszystkim ludziom z wydawnictwa Hodder; Grainne Fox z Fletcher and Co. oraz zespołowi Greene & Heaton, zwłaszcza Judith Murray i Kate Rizzo. Dziękuję Barneyowi, Joemu i Mabel, a szczególna wdzięczność należy się jak zwykle Gilesowi Smithowi.

SABINE DURRANT

SKŁAM  
ZE  
MINA

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO